Październik — 1856.

---

# O ZBRODNIARCZYCH DZIECIACH
## W ANGLII.

---

Zapobieganie złemu dopóki ono w samym zarodzie, jest największą przysługą dla społeczeństwa; gdy przeciwnie, wzywanie ramienia prawa karnego aby je przytłumić skoro już wzrosło, jest wielkim brakiem przezorności nagany godnym. *Quid leges sine moribus?* powinno być ciągle na baczeniu. Dla dobrych nie potrzeba praw, pobudki wewnętrzne są dostateczne do ustrzeżenia ich od występku; prawa stanowione są tylko dla złych, u których, na własne ich nieszczęście, tych pobudek niema, z powodu że albo ich nie rozwinięto, albo te przez zbieg nieprzyjaznych okoliczności przytarte w nich zostały. Do takich należy młodzież zbrodniarcza, osobliwie uboższych klas, w krajach przeludnionych i po wielkich miastach. Kto podróżował we Francyi przypomina zapewne sobie głosy obskakujących go dzieci wołających: *Monsieur, un sous!* a przybywszy do Paryża nie mógł bez politowania patrzeć na tak zwanych

*gamins*, żyjących ze zbierania łachmanów i co im się nadarzy po ulicach, a skorych do rozruchów i wszystkiego złego. Kto zaś przejeżdżał Anglię, musiał podobnież napotykać tam w znaczniejszych miastach a osobliwie w Londynie, na ulicach dziatwę mizerną, obdartą, żebrzącą wsparcia a często czepiającą się z tyłu przechodzących, osobliwie zaś w miejscach większego ścisku. Z trudnością zapewne przypuszczał jaką złą myśl o tych dzieciach, prócz litości nad ich nędzą i ubóstwem; a przecie wielka część tych młodych uliczników żyje zbrodnią: jedni wysyłani bywają przez rodziców, drudzy przez cech złodziejski, nie na samą żebraninę ale na złodziejstwo. Zgoła nie ma występku ani zbrodni, którychby się te dzieci nie dopuszczały; gdzie zbrodnia najpowabniejsza a dla starszych niepodobna do wykonania bez niebezpieczeństwa, tam młode te włóczęgi do niéj są używane. Codzienne stawianie ich przed policyę, i zeznania na nich wydobyte, dowodzą, jak dalece to złe się rozszerzyło; tém zaś ono jest groźniejsze, że systematycznie uorganizowane. Dziecię przebywszy taki nowicyat musiało zatrzeć w sobie na zawsze wszelkie zarody dobrego i zostać nie czém inném jak nieprzyjacielem społeczeństwa, jego zakałą i hańbą.

Dla uratowania młodego pokolenia od takowego zepsucia i aby ochronić kraj od wewnętrznych a najgorszych wrogów, różne w ciągu lat ostatnich przedsiębrane były w Anglii środki przez przyjaciół ludzkości. Pomnożono liczbę szkółek niemowlęcych dla roboczych klas, aby w nich dozór rodzicielski zastąpić. Hr. Shaftesbury, jeden z najgorliwszych w tym względzie filantropów, pozakładał w stolicy szkoły obdartusów (ragged schools), do których dzieci włóczące się po ulicach są zbierane, nagrodami przynęcane. On dał popęd, że w wielu większych miastach po prowincyach pozakła-

dano podobne szkoły, i takowe utrzymywane są z wielkim pożytkiem ku poprawie opuszczonych lub zaniedbanych dzieci. Lecz jakkolwiek dobroczynne były te zakłady, nie zdawały się jednak być dostatecznemi, ile że w części tylko mogły zaradzać złemu, a nie w całości. Aby potrzebie téj kwestyi socyalnéj zadość uczynić pod ostatnim względem, i niejako topór przyłożyć do korzenia złego, zawiązało się obecnie obszerniejsze towarzystwo czyli związek poprawczy pod tytułem: *National Reformatory Union*. Celem jego ma być zespolenie w sobie wszelkich miejscowych czynności, dla zwrócenia ich tém skuteczniéj na rozwinięcie szkół poprawczych.

Podług uchwały parlamentowéj z roku 1854, wolno jest zabierać włóczące się dzieci ubogie do szkół poprawczych, jakiegobądź one są wieku, byle nie były starsze nad 16 lat, i trzymać je w szkołach przez pięć lat. Uchwała ta ogranicza się jedynie do chłopców, i rząd płaci za każdego tygodniowo 5 szylingów, ale z resztą w nic się nie miesza. Wiele hrabstw korzystało już z tego zachęcenia od rządu i pozakładało u siebie szkoły poprawcze; inne zapewne niebawem pójdą za tym przykładem. Zamiarem więc *Związku* jest ułożyć pewny i stały plan, podług którego najlepiéj byłoby szkoły już istniejące prowadzić, a nowe w hrabstwach jeszcze ich niemających zakładać; słowem, przyjąć metodę poprawy, udzielać sobie nawzajem swych doświadczeń, i w razie potrzeby przedstawienia swe wnosić do parlamentu. Zgoda zdaje się być na to powszechna, że nie dość jest karać zbrodniarzy zwłaszcza młodego wieku, lecz trzeba obudzić w nich dobre skłonności i naprawić.

Pierwszy zjazd tego Związku Poprawczego miał miejsce w Brystolu przy końcu sierpnia r. b., i posiedzenia, na których cały ten przedmiot poprawy młodych zbrodniarzy był roztrząsany, ciągnęły się przez trzy dni.

Prezydował na nich lord Stanley, syn hr. Derby, liberalny torys. W zagajeniu swém wyłuszczył on cały przedmiot, który był należycie przez niego pojęty i zgłębiony; nie było pisma, nie było broszurki o nim — jak zaręczał — którejby nie czytał i nie rozważył. Sama okoliczność zniesienia w wielkiéj części wysyłania winowajców do osad karnych za morza, jużto dla kosztów przewozu, jużto dla niechęci wielu osad w przyjmowaniu u siebie zepsutéj ludności, natrącała te pytania: coby zrobić z złoczyńcami w domu? jakich środków użyć aby ich liczba nie wzrastała? czy niedałaby się zmniejszyć poprawą? — Poprawą — lecz tu zachodzi pytanie, czy poprawa jest podobną? W innych krajach zajęłaby się nią i zajmuje się władza wykonawcza, w Anglii przeciwnie, rząd się od niéj uchyla i inicyatywę poprawy zdał na rozsądek i obywatelskie chęci światlejszéj części narodu. Aby pokazać możność poprawy, lord Stanley wszedł w rozbiór statystyki kryminalnéj z lat ostatnich, rozgatunkował zbrodniarzy podług ich wieku, ilu było młodych a ilu starych. Z wywodu jego okazało się nadspodziewanie, że liczba pierwszych mało co była mniejsza od ostatnich, bo więcéj niż trzecia część i ledwie nie połowa winowajców w więzieniach składała się z młodzieży. Szczegóły tego wyliczenia są ciekawe a nawet uderzające, dla tego je przytaczam. Roku 1853 w liczbie 100,000 winowajców, było młodych, to jest niedochodzących do 17 lat wieku, 11,453, czyli 11$^1/_2$ od sta w stosunku do ogółu zbrodni. Ilość znów zbrodni jakich się młodzi od 17 do 20 lat wieku dopuszczali, wynosiła 25 od sta; a ilość ta występku trudną byłaby do uwierzenia, gdyby najściśléj zrobiony spis zbrodni z dwóch lat, mianowicie z 1851 i 1841, numerycznie tego nie był potwierdził. Za dziwną rzecz uważał lord Stanley, żeby liczba osób od 15 do 20 lat wieku stanowiąca 10tą część ogółu jednocześnie żyjącéj z nią ludności, miała się sto-

sunkowo dopuszczać blizko 4téj części wykrytych zbrodni, zbrodnie bowiem nie wszystkie dają się wykryć. Na takąto część występców, radził on, by zwrócić poprawę ile można; gdyż o starszych jako zbyt zatwardziałych w zbrodniach, tracił wcale nadzieję. Lecz aby prowadzić skutecznie tę poprawę i przez nią zmniejszyć liczbę występków, należy przedewszystkiém zbadać źródła zbrodni i co bywa do niéj początkiem. W tym względzie p. Clay zrobił nader ciekawe statystyczne postrzeżenie. Według niego, w 75 sprawach ze stu które on śledził, rodzice byli winnemi występstwa dzieci: w 57 przypadkach przez pijaństwo i brutalskie obchodzenie się ojców z dziećmi, a w drugich 18 przypadkach przez obojętność i zupełne ich zaniedbanie. Drugi pisarz statystyki p. Adshead, niemniéj ważne zrobił innego rodzaju postrzeżenie. Z pomiędzy 100 dzieci osadzonych roku 1840 w więzieniu w mieście Manchester, znalazł on, że:

| | |
|---|---|
| Z nierządnych i nieuczciwych rodziców zrodzonych dzieci było . . . . . . . . . . . . . . . . | 60. |
| Z rodziców rozwiązłych lecz niekryminalnéj klasy, dzieci . . . . . . . . . . . . . . . . . . | 30. |
| Z rodziców uczciwych i rządnych, dzieci . . . | 10. |
| Ogółem | 100. |

Z téj rubryki i rozgatunkowania kryminalistów młodych pod względem na ich urodzenie, widać jakoby zbrodnia groziła przechodem w dziedzictwo. Jeśli przeto dziecię nie wyrwie się zawczasu z atmosfery tak zepsutéj i skażonéj, niepodobna aby nienabrało téj saméj skazy. O ile poprawa mogłaby przydać się dla rodziców lub starszych, to może podpadać wątpliwości, lecz niema wątpliwości kiedy idzie o dzieci, aby je uratować ze steku zbrodni, ochronić od zarazy. Umieściwszy je w zakładach poprawczych, da się im poznać różnicę między złém a dobrém; da się rozbudzić w nich skłon-

ności ku dobremu, i skierować je na dobrą drogę. Wpoi się w młodociane umysły obowiązek do pracy, chęć do życia z niéj i osiągnienia niezawisłości; ku czemu można będzie im nastręczać miejsca do zarobkowania i rzemiosła. Mało jest dzieci z natury złych i niepoprawnych, najwięcéj ich zostaje takiemi przez okoliczności i brak dobrego przykładu. Twierdzenie to nie jest próżną tylko teoryą, ale jest wypadkiem opartym na doświadczeniu. W kilku szkołach poprawczych jakie dotąd znajdowały się w Anglii — jak biskup Bath'ski obecny na zgromadzeniu twierdził — osiągnięto jak najlepsze skutki. Na dowód przytoczył, że ze szkoły założonéj w Metray a liczącéj 900 dzieci, przyjęła się naprawa na 90 od sta; w drugiéj w Redhill z 945 chłopcami, na 80 od sta; a w trzeciéj niemniéj licznéj w Glasgowie, na 90 od sta.

Już w połowie przeszłego wieku sławny filantrop Howard zwracał uwagę na pomniejszenie zbrodni przez zakłady szkół poprawczych dla młodych kryminalistów. W tym celu roku 1788 zawiązało się *Philanthropic Sociéty* w Londynie, od którego szkoła na Redhil wzięła była swój początek. W krótce powstało kilka innych podobnych szkółek z dobrowolnych składek; a w czém szczególnie Kwakry okazali się czynnymi. Lecz zakłady takowe nie należą wyłącznie do Anglii; fundowano je także w innych krajach. W Szwajcaryi p. Fellenberg założył r. 1810 szkółkę pod Bernem, w któréj przyjmował na poprawę żebraków i dzieci opuszczone, których mnóstwo błąkało się wówczas bez sposobu do życia z przyczyny długo trwających wojen. Zakład jego który z początku był schronieniem tylko dla 10 ubogich, pomnożył się z czasem do 100 takich tułaczów, i trwał przez 40 lat. Drugi taki zakład znajdował się w Düsselthal pod Düsseldorf w Prusach, był pierwiastkowo ufundowany przez hr. von Recke, a teraz utrzymywany jest przez mieszczan düsseldorfskich. W nim także znajdują

przytułek i poprawę ubogie dzieci opuszczone od rodziców. Trzeci zakład o którym tu wspomnieć należy, jest Rauhes Haus, we wsi Horn pod Hamburgiem, fundacyi p. Wicherein, człowieka małych zasobów. Rozpoczął go był roku 1833 tylko na jednym morgu ziemi; jednakże ta osada tak ciągle wzrastała, że r. 1851 utworzyła się z niéj porządna wieś, i liczyła 95 wychowańców. Nie bez tego żeby i na wielu innych miejscach nieznajdowały się podobne instytuta, lecz nie widzę potrzeby wyliczania wszystkich; szło mi tu tylko o wskazanie ich użyteczności, i że ich coraz więcéj w Anglii zakładać będą. Co do szwajcarskiego instytutu p. Fellenberga pod Bernem, winienem dodać jeszcze to, że było ich tam dwa jakem Bern roku 1822 odwiedzał: jeden na wyższą skalę urządzony, gdzie dawano wychowanie dzieciom najmożniejszych familij które z różnych krajów były tam przysyłane, a drugi w którym wychowywano, jak się powiedziało, dzieci biednéj klasy. Dochody jakie Fellenberg miał od bogatych, dopomogły mu do utrzymania zakładu dla ubogich.

Zakładanie szkół poprawczych dla tak wielkiéj liczby zepsutéj młodzieży, albo na drodze zepsucia zostającéj, a liczą jéj do 11,000 stawianéj corocznie za różne przewinienia przed sądy, pociąga za sobą wiele kosztów i nakładu. Na utrzymanie roczne każdego chłopca w takich szkołach przeznacza rząd 15 fst., która to summa w części ściąga się od rodziców po 5 szylingów co tydzień, jeśli ją opłacać zdolni, a reszta dopłaca się ze skarbu publicznego. Nałożenie płacy na rodziców występnych dzieci, jest niejako karą za złe onych wychowanie. Lecz jakkolwiek uciążliwe wydają się być te koszta, nie są one zbytecznemi — jak lord Stanley uważał — w porównaniu z wydatkami na winowajców w więzieniu, na chwytanie ukrywających się przez policyę, i na koszta sądowe. Wedle obliczenia urzędowo zro-

bionego w Liverpoolu, straty przez kradzieże wynosiły do 700,000 fst. Jaką to klęską złodzieje muszą być dla społeczeństwa! Każdy złodziéj ma w przecięciu, jak rachują, 100 fst. dochodu nieprawnie sobie przywłaszczonego; a ujęcie takich złodziei, osądzenie i ukaranie, podług obliczenia przez p. Clay zrobionego, narażają ogólnie na 62 fst. straty dla skarbu. Niektórych złoczyńców łapanie i proces kosztowały niesłychane sumy. P. Rushton w liście roku 1842 pisanym do władz miejskich miasta Liverpool, wymienił 14 takich spraw złodziejskich, które kosztowały od 2000 do 3000 fst. czystéj straty dla kraju. Na więzienne cele niektórych wydawano częstokroć 150 do 200 fst., a czasem i więcéj. Korzyści z pracy więźniów są małe, a szkody ze zbrodni wielkie, jeśli w obliczaniu ich ma się wzgląd na zamieszanie, na przestrach i na inne kłopoty jakich stają się przyczyną, a w porównaniu z któremi pieniężne straty łatwiejsze bywają do zniesienia. Tamte przerywają regularny tok spraw, odrywają od zwykłych zatrudnień, zatruwają spokojność życia. Dla tego żadne koszta nie będą napróżno wyłożone, jeśli mogą stać się lekarstwem na tak wielkie złe. Nie znajdują w Anglii na to innego sposobu jak szkoły poprawcze tak męzkie jak żeńskie, aby wychowaniem odwracając od zepsucia ochronić społeczeństwo od najgorszéj bo wewnętrznéj plagi.

Jak dotąd, młodych winowajców przekonanych o zbrodnię sadzano za karę do domów karnych (prison, gaol, bridewell) odpowiadających niemieckiemu *Zuchthaus*, a nazwanym w Polsce domami poprawy, czem właściwie takie domy być powinny a nie są niemi. Posyłano ich tam podług rodzaju przewinienia na krótszy lub dłuższy przeciąg czasu, rzadko wszakże dłużéj nad 50 dni, zarówno jak i drugich starszych zbrodniarzy. Doświadczenie atoli nauczyło, że taki sposób karania chybiał swego celu:

zamiast bowiem poprawy lub odstraszenia od zbrodni, młodzi przez towarzystwo i styczność z dojrzałymi złoczyńcami wychodzili na najgorszych zbrodniarzy. W najlepszym nawet razie, gdyby i tego nie było, czas do sprowadzenia gruntownéj poprawy był za krótki, bo umysł raz zwichnięty nie da się od razu sprostować. Więzienie młodych na krótki czas nie sprawia pożądanego skutku: zgadzają się na to zeznania dozorców i kapelanów więzień równie jak władz sądowniczych. Jeden z sędziów lord Alderson potępił je publicznie jako postępowanie niewłaściwe i nieludzkie z młodzieżą. Na dowód tego przytaczał cyfry z tablicy statystycznéj więzienia Glasgowskiego, utrzymywanéj od 30 lat, z któréj się okazało, że z więźniów młodych po raz pierwszy na 14 dni kary do domu karności skazanych, zwykło 75 od sta w krótce wracać do więzień za nowe przewinienia; ze skazanych na 30 dni, 60 od sta; na 40 dni, 50 od sta; na 60 dni, 40 od sta; na 3 miesiące 25 od sta; na 6 miesięcy, 10 od sta; na 9 miesięcy, 7½ od sta; na rok cały, 4 od sta; na półtora roku, 1 od sta; na dwa lata, żaden całkowity; za dziesięć lat dopiero, wedle tablicy okazało się, że z całego tego przeciągu lat, było ich 93 od sta, co jeszcze dopuścili się wykroczeń. Do tego obliczenia jeszcze łączy się ten fakt, że z pośród tych co znowu po dwa lub trzy razy wracali do więzienia po wysiedzeniu krótkich terminów kary za pierwsze wykroczenie, wielu w końcu było skazanych na transportacyą lub szubienicę. Niemało jednak bywa tak prawornych, że się po cztery i po pięć razy dostają do więzienia nim ich spotka zasłużona kara.

Z tego stosunku wzrostu zbrodni przekonano się, że ani krótkość terminów na poprawę ani wtrącanie młodych winowajców do więzień jakto zwykle się działo, niebyły najlepszym środkiem do zmniejszenia zbrodni. Jakże bowiem można przypuścić, aby chłopiec ledwo

dorostek, a czasem prawie dziecię mógł się za parę tygodni lub za miesiąc zupełnie poprawić? To niepodobieństwem, tem zaś bardziéj jeśli pomyślemy o miejscu, w którem nie zobaczy dla siebie ani dobrego przykładu z innych, ani zachęty do lepszego sprawowania się na przyszłość. Po odsiedzeniu krótkiego terminu więzienia pytanie też zachodzi: co ma dziecię wypuszczone z sobą począć? Jego charakter jest nadwerężony; rodzice i krewni jeśli się go wcale niewyrzekną, wstydzą się go; dzieci sąsiedzkie z któremi się znał i bawił stronią od niego jak od zapowietrzonego. Ma-li ludzkość go także odrzucać, odmówić podania mu ręki? Nie; jeźli nam szczerze chodzi o to by niepowiększać liczby wrogów społecznego porządku. Myślmy raczéj, że nie przez złe chęci stają się te dzieci gorszemi od innych, lecz jedynie przez to iż niemiały sposobności rozpoznania dobrego od złego i zrobienia między niemi wyboru. Prawda i to, że zdarzają się tacy co bardziéj ze schorzałego stanu umysłu niż z zewnętrznych okoliczności dopuszczzają się złych czynów, lecz ci są rzadkiemi wyjątkami; a kto wie czy i takich zdrożne skłonności niedałyby się pod wpływem rozsądnego postępowania, jeźli nie zupełnie zatrzeć, to przynajmniéj tak ułożyć aby niebyły zbyt szkodliwe? W razach naturalnéj słabości lub nadwerężenia władz umysłowych, wiele może dobry przyklad i rozsądna rada do przełamania uporu; gdzie zaś władze umysłowe są mocne i czerstwe, w takich razach hańba ze zbrodni, nędza wygnania i przedstawienie ostrości różnych kar mogą skutecznie działać na przekonanie; w obudwóch zatem razach niema co rozpaczać ale tylko jąć się szczerze do dzieła. Trzecia klassa młodych winowajców i najliczniejsza jest ta która przy najlepszych usposobieniach dopuszcza się jednorazowego występku przez niewiadomość tego co on za sobą pociąga, a dla któréj prawo niemniéj jest surowe. Tacy

jako z usposobienia swego są inni, tak i w szkołach poprawczych powinniby składać oddzielną klasę. Siedzenie w więzieniu samo z siebie bywa haniebnem; plama ta trwa na całe życie. Zwykle mało ma się względu na młodość, pokusy i brak wiadomości; a uczucie moralne raz przytępione nieda się łatwo przywracać. W takich zdarzeniach, mniemaniem jest że za wykroczenia mniejsze możnaby obchodzić się wcale bez więzienia a nakładać pieniężne kary. One byłyby ukaraniem dostatecznem, a przecie nie tak poniżającem jak więzienie; byle te grzywny nie były wymagane od razu, lecz rozrzucone na termina, jużto aby napomnieniem stały się dla płacącego, jużto aby uciążliwością swą niesprowadziły go znów do więzienia.

Zajęcie się staranniejszém wychowaniem ubogich dzieci jest koniecznością; jako istotom władzami umysłowemi obdarzonym z natury im się należy rozwijanie i obracanie ich na własną ich korzyść i na dobro spółeczości. Tego zaś się dokaże przez szkoły poprawcze i stósowny w nich dozór. Dozorcy tych zakładów, jak lord Stanley wyraża się: oddalą młodzież od złego towarzystwa, przyzwyczają ją do pracy ochędóstwa i wstrzemięźliwości, obmyślą dla dorosłych i porządnych to co w ich stanie z trudnością przychodzi: miejsca do służby w warsztatach rzemieślniczych i fabrykach, i tym sposobem łatwo nastręczą im sposobność zapewnienia sobie na zawsze dobrego bytu, zamiast złych rad dadzą im dobrą i szczerą, ostrzegą ich jak nędzny jest stan dopuszczających się bezprawia i zbrodni, aby każdy z nich wiedział gdyby kiedy przeciw prawu wykraczał, że niebędzie dla niego pobłażania, ani będzie mógł narzekać na sędziów ani na kraj, jak nieraz zdarza się teraz słyszeć od winowajców przed sady stawianych: „Karzecie nas, a nigdy nieuczyliście nas nic lepszego.“ Uważano, ze z wszystkich wychowańców wychodzących ze

szkół poprawczych najlepiéj odznaczają się dobrem postępowaniem ci co wysyłani bywają na osiedlenie do osad; mniéj nierównie ich tam odpada niż między pozostałemi w kraju. Z tem wszystkiem, za pomnażaniem takich szkół i użytecznością ich zdaje się równie teorya jak doświadczenie przemawiać; zmniejszają one szerzenie się zbrodni i koszta ze zbrodni wynikłe.

Co do urządzenia szkół poprawczych, zamiarem jest ustanowić je jak najniekosztowniej, na wcale skromną stopę. Niema w nich być nic okazałego ani zbytkowego w budownictwie ani szczegółach wewnątrz: bo prostota i skromność są niezbędnemi warunkami poprawy. Nic zbytecznego, owszem brak wygód potrzebny do zahartowania w życiu, powinien się we wszystkiem przebijać. Przez sam wzgląd na inne rodziny ubogie a uczciwe według lorda Stanley przestrzegać tego należy, aby najuboższy włościanin tam się dostawszy nie znajdywał nic do zazdrości i niemógł powiedzieć: jakbyto dobrze było dla własnych jego dzieci gdyby to w domu miały. Niemniéj rodzaj nauk udzielanych zbrodniarczym dzieciom, powinien być do ich położenia zastosowany, aby wyższéj edukacyi nie przeznaczać za nagrodę zbrodni. Celem zakładów poprawczych nie jest ukształcenie intelektualne jak w innych instytutach naukowych, lecz poprawa moralna i wdrożenie do pracy, aby wychodzących z nich niewynosić nad poczciwe dzieci, ani nad ich stan pierwotny. Przestawać na tem, by odwracać ich od próżniactwa, a zaprawiać do pracy, aby przez nią choćby najcięższéj dorabiali się chleba. W zakładach tych wszakże przyjmuje się za zasadę postępowanie łagodne i ludzkie, bez kar cielesnych, aby nie zacierać w nich cechy poprawczéj i dla odróżnienia ich od zwyczajnych więzień. Robi się to przez wzgląd, aby hańba przywiązana zwykle do osób karanych więzieniem, nie ściągała się do tych które wychodzą ze szkół poprawczych.

Posiedzenie tego związku do poprawy młodych zbrodniarzy, w celu rozwinięcia różnych planów i widoków, trwało przez trzy dni w Bristolu. Na zebraniu tem czytane były rozprawy wyjaśniające całą sprawę, a między temi także ciekawą rozprawę panny Carpenter, nad wychowaniem w szkołach poprawy młodych dziewcząt. Przy zamknięciu posiedzeń, kilku członków podjęło się zwiedzić szkoły poprawcze w różnych miejscach już istniejące, dla przekonania się o ich skuteczności i mają o nich złożyć sprawozdanie. Dotychczas szkół tych było 26 na Anglię, a 11 na Szkocyę. Stowarzyszenie to postanowiło, nakształt Towarzystwa Brytańskiego naukowego, co rok zgromadzać się w innem miejscu, jakie uzna za najdogodniejsze dla swych działań. Prezesem jego na rok bieżący jest lord Brougham, były kanclerz państwa zaszczytnie znany z swych pism o prawodawstwie i polityce.

Jeślim się tu rozszerzył, aby dać wam obraz stanu społecznego w Anglii pod względem na złe jakie się w nim wyrodzilo, nie robię tego w téj myśli, aby środki jakie tu są przedsiębrane ku jego zapobieżeniu były u was potrzebne, bo powinszować muszę krajowi, że takowe złe pośród was nieznane; lecz podaję to tylko na przestrogę, gdyby to zepsucie rozwijać się miało, abyście wiedzieli jak mu zawczasu zapobiegać. Prawda że go teraz u siebie nie macie, stan towarzystwa jeszcze jest pierwotny, rolniczy i moralnie dość zdrowy; lecz w miarę zaprowadzania przemysłu i rękodzieł, o co się tyle robi zabiegów, to zepsucie, jakie widzim w Anglii, musi i u was się rozpocząć. Gruntem moralności i że tak powiem kapitałem moralnym, jest zawsze klasa rolnicza żyjąca po wsiach i mająca pewne i stałe zatrudnienia, a zatém i pewien stopień niezawisłości. Tak ona jest uważaną w Anglii, i taką jest wszędzie. Jeśli pośród niéj są występni, ci bywają niemi przez niewia-

domość lub zetknięcie się z złem towarzystwem skrucha, żal u nich są łatwe, a przeto nietrudna i poprawa. Brak moralności i zepsucie daje się najwięcéj postrzegać w klasach przemysłowych, bez stałych po fabrykach i po miastach siedzib i częstokroć bez zatrudnienia, a jakiéj mało jeszcze jest u was, a przeto i o tyleż mniéj musi między ludnością waszą być zbrodni. Z rąk 1,400 jakie macie w Galicyi na milę kwadratową, a gdzie potrzeba około 2,000 dusz dla rolnictwa — jak to widzę z przeglądu usiłowań rolniczo-przemysłowych z Nr. 198 *Czasu* — ledwo pewna część może się oddać przemysłowi. Owóż ta część ludności — a nie rolnicza — wymaga usilnego baczenia, aby ją ochronić od zepsucia którego jeszcze niema, a grożącego na przyszłość. Taką to ludnością nierolniczą, luźną, bez kawałka ziemi i domowéj zagrody, Anglia jest w téj chwili zakłopotaną, aby przytłumić zbrodnie które się w niéj zbyt zagęściły.

Pytacie się zapewne jak się tyle luźnéj i nieosiadłéj ludności w Anglii namnożyło? Odpowiadam z historyi: z winy właścicieli ziemi. *) Był i w Anglii stan niewolniczy, bo jakżeby go niebyło gdzie był feudalizm i szlachta feudalna? Byli i w tym wolnym teraz kraju *thralls*, i ochydny stan ich *thraldom*; byli *villeins* (od *villa* wieś) wieśniacy i bylo *villany*, (sądząc ze znaczenia wyrazu) gorszy i bardziéj poniżający od polskiego wieśniactwa. *Villain* lubo oznaczał klasę łagodniejszego niewolnictwa, był przecię na pogardę zwany także *litus*, który wyraz Dr. Grimm wyprowadza z Gotyckiego *lats*, z staro-noryckiego *latr*, — a co z czasem zamieniło się w polskim języku na wyraz *łotr*. W takim stanie po-

---

*) Żałować należy iż sz. Autor nie rozszerzył zakresu swéj rozprawy tak dalece, aby mógł był uwzględnić wpływ religijny tak przeważny w téj kwestyi jako i w każdéj kwestyi społecznéj (P. R.).

gardy zostawała niższa warstwa ludu angielskiego i usługi jakich od niego wymagano, były równie niewolnicze. Była osobista służba i różne opłaty — była i pańszczyzna dla panów czyli właścicieli ziemi. Lecz cóż się stało? Przy wzmagającéj się ludności i domaganiu się przez lud o zwolnienie stanu niewoli, właściciele ci czyniąc zwolna koncessye, nieustępowali nic z swych praw do ziemi, tak że w końcu wydziedziczyli lud cały z ziemi, i ścieśnili nawet samo prawo przechodzenia dóbr ziemskich przez zaprowadzenie majoratów (entails). W ten sposób feudalna szlachta angielska została przy ogromnych posiadłościach ziemskich, i o ile może do dziś dnia broni ich rozdrabniania. Przezorniejszą ona w tym względzie, ale oraz mniéj ludzką okazała się od allodyalnéj szlachty polskiéj, ziemię swą zdawien dawna jako własność posiadającéj, a nie z nadania przez obcych zdobywców; w nader rzadkich tylko przypadkach dostającéj ją z łaski królów, jako *panis bene merentium.* Szlachta polska będąc z pochodzenia swego zupełnie odmienną, była nią także z charakteru: od wieków dzieliła się w dobrach swych ziemią z ludem pracującym, przestając na pańszczyźnie i tak zwanych darowiznach, jakby one miały dla niéj zostać wiekuistemi, aż dopiero okoliczności zrządziły zmiany przez zniesienie tych powinności — nie przeciw jéj chęciom i życzeniu, ani jak rozumiem na jéj szkodę. Może to być przez niejaki czas dolegliwem, jako każdy stan przejścia niem bywa; lecz za to kraj się wywdzięczy, bo się wyrwie z poniżenia i zarzutów jakie mu cudzoziemcy wciąż czynili. Postęp czasu nieodzownie tę zmianę nakazywał.

Nieraz mnie to korciło, że patrząc na mnóstwo luźnéj ludności widziałem między nią tyle ubóstwa, zepsucia i zbrodni; i mając raz rozmowę ze światłym Anglikiem, nienależącym bynajmniéj do klasy arystokratycznéj, lecz z zawodu lekarzem, żyjącym z liczną ro-

dziną, zagadnąłem go o przyczynę tak biednego stanu znacznéj liczby ludności. Chcąc od razu zdanie jego otrzymać, argument mój począłem od tego, że los naszego wieśniaka, o którego poddaństwie tyle rozprawiają zagraniczni, był lepszym w porównaniu ze stanem tak wielkiéj massy ubóstwa w Anglii — bo nasz wieśniak ma dom, ma kawałek ziemi z któréj przy pracy z rodziną wyżyć może, i ta ziemia nawet w dziedzictwie na dzieci jego przechodzi; wspomniałem też o pańszczyznie którą odrabia od swego łanu, jakby musiał opłacać pieniężny *rent* czyli czynsz gdyby był dzierżawcą (farmer) w Anglii; na poparcie zaś całego rozumowania dodałem: A to wasza arystokracya przyczyną téj biedy, która lud z ziemi wydziedziczyła. — polska szlachta tego niezrobiła. — Cóż mi on na to? — „Arystokracya nasza — rzekł — dobrze zrobiła, i my jesteśmy jéj wdzięczni za to.“ Zdziwiły mnie niemało te słowa z ust jego, zwłaszcza że znałem go jako człowieka liberalnego i litościwego dla ubogich. — „Ze skutków trzeba te rzeczy sądzić — mówił daléj — to co pan nazywasz wydziedziczeniem było właściwie usamowolnieniem naszéj ludności; a temu winniśmy zamożność i potęgę naszego kraju. Ludność od roli rzuciła się do przemysłu jako środka do życia, co dało początek rozlicznym u nas fabrykom i postawiło rękodzieła na wysokim stopniu doskonałości. Kraj dawniéj opustoszały, co miał tylko warowne zamki szlacheckie, a obok nich nędzne chaty ludu niewolniczego, zakwitnął z czasem w ludne miasta, i ma bogatych swobodnych mieszczan i fabrykantów. Nowe miasta coraz pyszniejsze od dawnych powstają, a w nich dostatni mieszkańcy lub kupcy z książęcemi fortunami, milionery z tych co byli niegdyś *adscripti glebae.* W parlamencie zapełniły się krzesła mężami z ludu gdzie dawniéj szlachta tylko zasiadać miała prawo. Za dobrym bytem pomnożyła się ludność, a nawet nastało przelu-

dnienie; lecz i na to znalazł się sposób. Przy odkryciach nowych lądów i powiększonéj żegludze przewożono zbyteczną ludność za morza do mniéj zamieszkałych krajów i na odległe wyspy pod łagodniejsze niebo i z obfitością produkcyi. Potworzyły się kwitnące osady we wszystkich częściach świata, a z nich jedne w Północnéj Ameryce zlały się w osobne mocarstwo. Bo czemże są Zjednoczone Stany, jeżli nie odłamkiem Anglii, fundacyą z jéj biednego ludu a nawet wygnańców tak religijnych jak politycznych? Czém Kanada, Zachodnie Indye, Przylądek Dobréj Nadziei, i czém wzrastające osady Australii, jeżli nie podobnym odłamkiem? I czem nakoniec ogromne państwo Indyj Wschodnich liczące przeszło 100,000,000 ludności jeżli nie zdobyczą przedsiębiorczą kompanii kupieckiéj, a zostającą pod opieką rządu angielskiego? Wielkich na to wszystko trzeba było sił i niemniejszego wytrwania, a przecię lud który się zdawało był skrzywdzony bo wydziedziczony od ziemi i niemal od ojczyzny w któréj się rodził, potrafił przemysłem i zdołał bezprzykładną energią tego wszystkiego dokazać.“

Przyznałem mu że tak jest. W tem niemało sprzyja położenie kraju oblanego ze wszech stron morzem, przez które lud mógł się śmiało na wszystkie strony rzucać na przedsiębiorstwa. Tyle zdziałał przemysł oderwany od rolnictwa, tak obszerne otworzył dla siebie pole, i niemal przestwor do zajęcia się. Dla tego kto ma zdrowe siły i ochotę — jak Anglicy sądzą — nie tylko niepowinien cierpieć niedostatku, lecz zyskać bogactwa i zaszczyty; ubóstwo zaś mniemają być skutkiem lenistwa lub nieuczciwości. Ztąd małocenienie i nawet pogarda dla ubogich. Niechciałbym jednak aby mnie w tem żle zrozumiano. Jeżli anglikom zarzuca się cześć dla mamony jakto powszechnie się czyni, o tyle oni tylko przywiązują do niéj wagi, o ile ona przyczynia się do osią-

gnienia niezawisłości i ustrzeżenia się wad i poniżenia charakteru jakie wynikają z ubóstwa. Jawne to nam, jak i im, i na całym świecie. Dla tego to tyle starania podejmują aby wpoić w niższe klasy, że przez pracę i uczciwość przychodzi się do dobrego bytu i nawet bogactwa, a od nich do niezawisłości i cnót z nią połączonych. To poda niejako czytelnikowi klucz do zrozumienia, dla czego tyle usilności zwracają Anglicy na poprawę przez okoliczności zepsutéj i obłąkanéj młodzieży z klas ubogich, o któréj mówiło się wyżéj. Przez tę pieczołowitość o nich, radziby im dopomódz wyjść na ludzi, albo jak u nich się mówi, na szanownych członków społeczeństwa.

K. Lach-Szyrma.

# O NAJZNAKOMITSZYCH
# TEGOCZESNYCH MOWCACH
## RELIGIJNYCH *).

---

## III.

Pisać o najznakomitszym dzisiaj mowcy religijnym na klassycznéj ziemi włoskiéj, *o najznakomitszym mowcy religijnym w Rzymie* i niewspomnieć o mowcach starożytnego świata, to byłoby nie do usprawiedliwienia. Samo to wyrażenie „*Najznakomitszy mowca rzymski*“ już nam przywodzi na myśl *Forum* z wszystkiemi tradycyami, z całą historyą *Wymowy*, która tak niesłychanie wielką odgrywała rolę i doszła do tego punktu, iż jéj reprezentant pod wielu względami stanął na równi z Demostenesem, a pod wielu nawet go przewyższył.

Można być znakomitym mowcą religijnym w Londynie, w Paryżu lub w Madrycie, ale czy równie łatwo

---

*) Patrz zeszyt kwietniowy i czerwcowy.

można nim być w Rzymie? W Rzymie gdzie obok wojennéj sławy Pompejusza i Cezara kładzie się tuż oratorska sława Cycerona, gdzie wymowa stanowiła jednę z najpotężniejszych sił poruszających olbrzymie ciało monarchii, gdzie, jak powiada Tacyt [1]) po wszystkie czasy najgłębszém było przekonaniem, że człowiek bez wymowy nie mógłby zająć żadnego wyższego stanowiska w państwie, gdzie wymowa była nie tylko zaszczytną, ale nawet konieczną; gdzie jak być wymownym stanowiło chwałę, tak być *niezdolnym publicznego słowa* było pewnego rodzaju idiotyzmem obudzającym wzgardę; gdzie się wstydzono nazwy klienta, a każdy usiłował być obrońcą lub oskarżycielem; gdzie powierzać komuś swoją obronę było toż samo, co się przyznawać do niedołężności; gdzie przedmiotem wymowy były sprawy publiczne i prywatne, gdzie auditorium stanowił lud królów a trybunę Kapitolium lub majestatyczne Forum? Ojciec Ventura dowiódł, że można; my w kilku wstępnych uwagach powiemy, dla czego same trudności ułatwiają stanowisko.

Wszakże zwracając uwagę na stanowisko znakomitego mowcy w Rzymie, nieczynimy tego ze względu li tylko na Ojca Venturę, którego kaznodziejskie prace zamierzamy w niniejszéj części naszéj rozprawy przedstawić; ale głównie mamy na myśli ogólne stanowisko mowcy religijnego w stolicy zwiącéj się niegdyś Panią świata a wymownéj każdém dziejowém wspomnieniem i każdym pomnikiem. Stawiać w porównaniu kaznodzieję katolickiego jak O. Ventura z oratorem pogańskim, jak był Hortensyusz lub Cycero, byłoby rzeczą bardzo naciągnioną i do niczego niewiodącą, bo czybyśmy ich chcieli porównać ze względu na przedmiot, czy ze względu na formę w obudwu razach zbywałoby

---

[1]) **Tacit de Orat. 36, 7.**

nam na punktach zetknięcia tak przecie nieodzownych w każdém porównaniu, jak są nieodzowne punkta odróżniające. Ale zupełnie co innego kiedy sobie stawiamy zapytanie: czy mowca katolicki religijny może być znakomitym w Rzymie, który w starożytności stanął z Atenami najwyżéj w dziejach wymowy, równie jak w dziejach życia publicznego.

Ze względu na przedmiot niema najmniejszéj wątpliwości. Kaznodzieja katolicki przedmiot bierze z rąk Boga, pogański brał go z rąk ludzi; mowca katolicki głosi prawdę która jest najdoskonalszym obrazem Prawdy przedwiecznéj, a pogański Orator głosił prawdę nader kruchą i względną, będącą obrazem własnego jego przekonania, albo własnéj pychy, lub też wyrazem opinii, albo namiętności ludu, że już niepowiem wyrazem dumy, rozpusty i tyranii władców. Kaznodzieja nakazuje w imie Wcielonego Słowa, nakazuje z równą siłą na stopniach Jerozolimskiéj świątyni, jak w obec Areopagu, jak na Forum, on mówi słowem *Słowa*, słowem Kościoła, słowem świętej tradycyi, słowem Ewangelii, *słowem bożém*, słowem, które wiodło i wiedzie do czynu, do zmiany życia, do przerobienia z gruntu człowieka i spółeczności choćby ofiarą wszelkich możebnych poświęceń; a rzymski lub ateński mowca podsłuchuje, co myśli ich słuchacz, i wielki, kiedy mu w owę myśl trafi, największy, gdy mu swoją myśl narzuci; a Cycero niezrównany gdy w obec ludu utrafił w myśl ludu, a w obec Cezara utrafił w słabość Cezara; a Demostenes sam bez ogródki powiada: „Mężowie ateńscy, gdy już zniesiecie te fatalne prawa, szukajcież mowcy któryby wam po prostu przedstawiał to, coby się wam w przekonaniach waszych najpożyteczniejszém zdało; ale nim to wykonacie, niemyślcie, ażebyście mogli znaleźć takiego, któryby się chciał narażać dając wam co najlepsze rady i wystawiając się na niebezpieczeństwo tem sa-

mem, że by je wam udzielał... Co do praw, o których wam mówię, właśnie dla tego samego trzeba je znieść co prędzéj, że wam je doradzała oględność mowców na wasze zachcenia [2]).

Co się więc tyczy przedmiotu, mowca katolicki wszędzie góruje, chociażby stanął wśród najwyższych potęg oratorskich nie dopieroż na miejscu sławném ich tradycyami. Przedmiot jednakże stanowi więcéj o nauce opowiadanéj, niż o wymowie, która jest jéj wyrażeniem, jéj kształtem, a o którą właśnie nam idzie. Czyż jednak i przedmiot wymowy niestanowi o jéj formach? Owszem, stanowi tak dalece, że sam wytwarza formy, które chociaż stósownie do miejsca i czasu mniéj więcéj ulegają zmianie, nigdy jednak nie zmieniają się do tyla, żeby miały stracić to, co jest głównym ich fizyonomii wyrazem. To też wymowa, któréj przedmiotem jest słowo Boże, prawda przedwieczna, niezmienna, zupełnie w innych występuje kształtach, jak wymowa, któréj przedmiotem było słowo ludzkie, prawda względna, niepewna i zmienna. W téj drugiéj piękność, regularność, żywość i majestatyczność kształtów zawisła także od ilości zawartéj w jéj przedmiocie prawdy, ale gdy saméj prawdy wielkie w niéj ubóstwo, więc daleko więcéj zawisła od przekonania, wiedzy i usposobienia mówiącego albo słuchających, co jéj też daje pewną wyłączności cechę, że czyniąc jednym warunkom zadosyć, inne całkiem nihiluje. Śmiało też powiedzieć można, iż w starożytności pogańskiéj gdzie niebyło mowcy, któryby zdołał podjąć *całą prawdę*, niebyło też mowcy, któryby tym wszystkim warunkom zadosyć uczynił i że jak nieraz Demostenes męczy swoją powagą i regularnością pozbawioną życia i ruchu, tak Cycero znowu morduje i rozdraźnia nerwy swoją ruchliwością, gwałtownemi zwrotami, uga-

---

[2]) *Κατα Φιλιππου Λογος Τριτος.*

nianiem się za świeżością, harmonią i przepychami stylu pozbawionemi siły w rozumowaniu, jasności w dowodzeniu i powagi w pokonywaniu przeciwnika. Pierwsza znowu, to jest katolicka wypływając *z prawdy całéj*, w całym też jawi się blasku, kiedy ta prawda już sama przez się wymowna wypowiada się przez usta które Bóg dla chwały swego Kościoła zapalił genialności żarem. Gdyby najgorliwsi nawet zwolennicy pogańskiego klasycyzmu chcieli porównać Demostenesa z ś. Chryzostomem, albo Cycerona z ś. Grzegorzem Wielkim lub ś. Leonem, dostrzegliby, o ile ci drudzy bez porównania są że tak powiem kompletniejsi w swéj wymowie, to jest doskonaléj jednoczący wszystkie jéj warunki [3]. Bo tu znowu *prawda* katolicka zawsze piękna, poważna pełna siły i wdzięku stanowi daleko więcéj o piękności, sile i powadze wysłowienia niż *indywidualna* mowcy *genialność* i ona głównie na niém wyciska swą pieczęć, ona jest owym stanowczym, najwybitniejszym wyrazem w fizyonomii wymowy katolickiéj, tak jak osobista genialność jest znowu stanowczym wyrazem w fizyonomii wymowy pogańsko-greckiéj lub rzymskiéj.

To nam wyjaśnia stanowisko znakomitego kaznodziei w stolicy słynnéj wymową. On pod względem osobistych zdolności może być o wiele niższym niż byli mowcy pogańscy których wspomnieniami owa stolica jest słynna, ale to bynajmniéj niewprawia go w kłopot ani w obec słuchających zniża, bo on się czuje podniesionym nieskończenie wyżéj siłą przedmiotu, który podej-

[3]) Tym, którzy tego rodzaju zdania mają za podjęcie zasad ks. Gauma pozwalamy sobie zrobić uwagę, że wcale co innego jest potępiać klasycyzm pogański pod względem form piękna i chcieć go *wykluczać* z nauczycielstwa i literatury chrześciańskiéj, a co innego *przekładać* nadeń klassycyzm chrześciański. Zresztą, *niepisząc o szkołach ani o literaturze powszechnéj*, *ale o kaznodziejstwie* sądzimy, iż samo nawet wykluczenie i potępienie nie byłoby od rzeczy.

muje, bo jego w obec słuchaczy otacza aureola pewnéj świętości, którą w około niego tworzy ogłaszana przezeń prawda. Ztąd ten urok, ta powaga i siła, a z drugiéj strony to zajęcie a często nawet zachwyt słuchacza, *to działanie* na jego umysł i serce w obec czego wszystko czem się zalecała wymowa pogańska i słabem i bladem się zdaje.

I niemoże być inaczéj, bo wymowa katolicka *zawsze* jednéj, dobréj, świętéj sprawie służyła i służy, gdy tymczasem owa starożytna podnosiła razem sprawy najpiękniejsze i najbezecniejsze. Pominąwszy, że jednocześnie z Cyceronem występuje na Forum rozpustny, krwawy wyuzdany Klodiusz, że w Senacie mówi Katylina a potem Antoniusz, że późniéj publicznie podnosi głos Kaligula w pochwale Tyberyusza, a jeszcze późniéj Nero w pochwale nierządnicy Popei — pominąwszy, że sam Cycero co w jednéj mowie potępia, to w drugiéj pod niebiosa wynosi, że częściéj mówi o sobie, niżli o sprawie publicznéj — pominąwszy to wszystko, któż nie wie jak się wzajemnie częstowali najwięksi mowcy, jak Eschines z Demostenesem, a Cycero z wszystkiemi swemi przeciwnikami rzucali na siebie żółcią i błotem, jak sobie dowodzili wzajemnie zbrodnie, szalbierstwa i zdrady; jak na czynione sobie zarzuty krwawą odpowiadali ironią, a na ironią ulicznemi niemal przezwiskami; jak potem nieraz przychodziło do pięści i najzaciętszych rozdwojeń i wojen domowych.

Poważna w treści wymowa katolicka zawsze też poważna i w formach, w znakomitościach swoich nie razi nigdy niczem wyszukaném a prostotą i naturalnością piękna i silna, obudza w sercach szacunek dla sprawy, którą przedstawia. — Sama jéj deklamacya i mimika jakkolwiek spokojna, pełna przecie życia i ruchu, sama postawa mowcy razem pokorna i wzniosła, skupiona i paląca się zapałem dla prawdy i żarliwością w podbi-

janiu ludzkich serc Bogu, wszystko to stawia ją na wysokości, z któréj najpotężniejszy wpływ wywierać może. Tymczasem, jakże razem śmieszny i smutny cały apparat rzymskiéj wymowy! Jakaż mogła być powaga słowa w podobny sposób opowiadanego! Retor wstąpiwszy na obszerną trybunę istnym jest aktorem według tego, co pisze Tacyt i Quintylian. Tacyt naprzykład skarży się na zbyt krótkie togi, w których się mowcy niemogą dość artystycznie drapować [4]). Szkoła urządzała w mowcy każdy ruch, aż do wyrazu twarzy, aż do toalety.— Najniższa krawędź togi powinna spadać do kostek, najwyższa poniżéj kolana. Wszakże w miarę jak mowca wpada w zapał układ zewnętrzny może być nieco zaniedbany. Po wstępie, naprzykład, może puścić jeden fałd togi, w chwili dowodzenia może opuścić całą; gdy walczy przeciwnika, ubiór sam walkę powinien wyrażać; gdy zapał doszedł do szczytu, kiedy lud wzruszony, gdy grzmią poklaski, w tenczas niech wszystko będzie w nieładzie a sam mowca zadyszany i oblany potem. Pliniusz pozwala wówczas używać chustki, ale bardzo ostrożnie, żeby nienadwerężẏć włosów. Wszystkie te studia i mnóstwo innych, których tu przytaczać niemożemy, mogły mieć jeszcze jakieś znaczenie, za czasów Republiki, kiedy w saméj istocie życie publiczne, parlamentarne, było jeszcze celem takich występowań kiedy sprawy wewnętrzne i zewnętrzne urządzały się przez Senat i Lud; wszakże pod Cesarstwem cel przestał istnieć zupełnie, ale szkoły wymowy nieprzestały dostarczać retorów, którzy gorszyli i spychali do ostatniego upodlenia lud, przedstawiając mu w pewnym uroku świętości wielkie zbrodnie Kalligulów Messalin i Neronów lub najostatniejszą głupotę Klaudyuszów.

Otóż są te przesławne dzieje i tradycye wymowy starożytnego, przedchrześciańskiego Rzymu. Jeżeli one żyją

[4]) *Tacit. de Orat.* 39.

w saméj istocie w pamięci rzymskiego ludu, to niemogą jak tylko usposabiać umysły i serca pod nasienie zbawczego słowa płynącego strumieniem zawsze świętéj, zawsze silnéj, zawsze poważnéj wymowy, która jeżliby się miała czego rumienić w obec wspomnień i wielkich pomników tamtéj, to chyba nadużycia i sponiewierania tych wszystkich środków, których Stwórca udzielał i udziela w mowcach społeczeństwu, jakoby dla dopełnienia powszechnego słowa i dla zużytkowania boskiéj jego siły.

Bo co na samych tych środkach, to wymowie katolickiéj niezbywało i niezbywa. Im ona doskonaléj odpowiada słowu, które głosi, im żywotniéj jest z niém zjednocza, im ważniejszém jest jego obrazem, tem sama jest dzielniejszą, tem potężniejszy i trwalszy jej wpływ. Jak słowo boże płodna w środki działania na umysł i serce, jeżeli wymaga jakich ćwiczeń i przygotowań to nie innych tylko tych samych, których wymaga święty stan kapłaństwa. Wychowanie ściśle duchowne, wyrobienie się w duchu apostolstwa przez modlitwę, przez oderwanie się od świata, przez praktyki i cnoty wyższéj pobożności, rozdmuchanie danéj łaski powołania w żar gorliwości i bezwarunkowego poświęcenia się dla sprawy królestwa bożego w sercach ludzkich a obok tego dokładne wykształcenie się w umiejętnościach świętych, zwłaszcza też w znajomości pisma świętego, Ojców, Doktorów Kościoła, w teologii dogmatycznéj, moralnéj i liturgicznéj, oto są usposobienia nieodzowne, oto prawdziwa i jedyna szkoła wymowy katolickiéj. Wyższa zdolność takiemi wzbogacona skarbami może być dopiero prawdziwą znakomitością kaznodziejską. Tak zasilony wrodzony talent wymowy, wyda dopiero trzydziesty, sześćdziesiąty a może i setny owoc — obejmie całego człowieka i całą społeczność w ich najistotniejszych potrzebach i wszystkim poradzi — umysły błądzące wśród błędów nagromadzonych przez ducha czasu wyprowadzi na

dobrą drogę i prawdami bożemi rozjaśni — serca schorzałe występkami, zleczy, zwątlałe zawodami umocni, zbolałe trudami życia, smutne stratami, zalane goryczą przez doświadczone zdrady, opustoszałe przez brak wiary pocieszy, utuli uczuciami wiary, miłości, rezygnacyi poświęcenia zbogaci i uszczęśliwi — a w ten sposób działając na każdego i na społeczność do któréj przemawia, tak potężnie wpłynie i tak ją zreformuje, jak żadna potęga z tego swiata niepodoła, jak wpływa powszechny Kościół nauczający na powszechną spółeczność wiernych i niewiernych.

Taki szczęśliwy wpływ Ojciec Ventura wywierał we Włoszech a od lat pięciu wywiera w stolicy Francyi. — W braku szczegółów biograficznych przypatrzmy się jak w nim żyje talent boży i mając przed sobą mnóstwo prac kaznodziejskich, zobaczmy jak się w nich to pełne życie objawia.

---

Ojciec Joachim Ventura jest Sycylianinem — urodził się w Palermo roku 1792 i z zacnych rodziców wziął tę silną, a pełną życia naturę, którą się zawsze dzieci Sycylii odznaczały, a która ich podniosła do współzawodnictwa z Grekami w chwilach, kiedy ci ostatni byli u szczytu swéj cywilizacyi. Pierwsze jego wystąpienia w zawodzie kaznodziejskim miały miejsce w Neapolu. Ukazał się na ambonie jako zakonnik Teatyn i od razu zadziwił katolicką publiczność niezwykłą swoją wymową. Głębokość Sawonaroli, łatwość Segnierego pobożny zapał Leonarda da Porto Maurizio, a nad to wszystko niesłychana obfitość pierwszych Ojców Kościoła i teologiczna wiedza ś. Tomasza z Akwinu cechowały każde jego kazanie. Mówiono powszechnie, że przez jego usta płyną skarby tradycyi katolickiéj w żywotnem i pełnem wdzięku zespoleniu, a echo jednogłośnego

uwielbienia prędko doszło do samego Rzymu. Jak go Rzym ocenił, dość powiedzieć że trzydziesto-kilkoletni zakonnik mianowanym został konsultorem świętéj Kongregacyi Obrzędów i examinatorem kleru rzymskiego. Wymowa jego w stolicy Chrześciaństwa prędko się stała razem chwałą Miasta Wiecznego oraz chlubą i pociechą Kościoła, a zaufanie jakie sobie zjednał przez nieustanną pracę w odważnéj, uczonéj i żarliwéj obronie Kościoła, objawiło się jak tylko można najświetniéj, kiedy w r. 1830 a zatem roku życia trzydziestym siódmym, wybrany został na powszechnéj kapitule pod przewodnictwem kardynała Albani jenerałem swego Zakonu. Na téj wysokości jeszcze się wyżéj podniósł jako kaznodzieja i potęgą swego słowa gromadził około siebie tłumy ludu, które pod względem liczby porównać tylko można z tłumami cisnącemi się około Hortenzyusza lub Cycerona na Forum.

Co do samego mowcy, trudno byłoby porównywać go bądź to pod względem saméj wymowy, bądź pod względem uczucia, siły zapału, deklamacyi, i całéj zewnętrzności oratorskiéj, z którymkolwiek z wielkich tegoczesnych mowców, bo u niego wszystko własne, wszystko oryginalne, wszystko z religijną powagą i z genialnością pomysłów harmonizujące. Możnaby go nazwać rzymskim Demostenesem i chrześciańskim Cyceronem, tak z potęgą przekonywania łączy majestatyczność formy. W jego ułożeniu zawsze szlachetność i spokój, głos jego razem wdzięczny i poważny, pełny i przestrony, wysłowienie łatwe, płynące a zbyt silnym przyciskiem zdradzające co chwila wulkaniczną naturę Sycyliana. W kościele świętego Jędrzeja *della Valle* jednym z największych po Watykańskim, gdzie miał przed sobą do dziesięciu tysięcy słuchaczy, w najodleglejszych zakątkach świątyni był słyszanym jak najwyraźniéj. Wbrew przeciw zwyczajowi mowców francuzkich a nawet włoskich

w najgwałtowniejszych ustępach umie zachować przytomność pod względem wyrazu twarzy i ruchów, unika wszelkich rażących i nieodpowiednich przedmiotowi i miejscu teatralności, i niebędąc nigdy sztywnym, nigdy się nie miota. Głowa zawsze w linii prostopadłéj, pierś nigdy nie pochylona, ani też wyprężona zbytecznie; wszystkie zgięcia i modulacye glosu naturalne, żadnego nigdy rachowania na effekt, bo effekt sam z siebie, z rzeczy płynie; we wszystkiem zgoła wykończona, chociaż bynajmniéj nie wyrachowana klasyczność. Francuzi powiadają, że według najwierniejszych portretów uderzająco przypomina piękną postać Bourdalego więcéj blaskiem oka i siłą wyrazu, któremi nim jeszcze usta otworzy, już w głębi duszy słuchaczów wibruje.

Ventura jest urodzonym mowcą katolickim. Na wyniosłem jego czole zdają się być wyryte drogi wielkich myśli — w ustach przypominających słodkim a wiecznym uśmiechem wdzięczne usta Piusa IX, drgają tych myśli wzniosłe wyrażenia — w całéj postaci jest jakieś żywe świadectwo geniusza chrześciańskiego i apostolskiéj surowości życia. To też kiedy mówi, zdaje się, że wszystkie umysły i serca trzyma w swojém ręku. Katolicy lgną do niego a przez niego do Chrystusa porwani siłą wyznawanéj a w całym blasku przedstawionej prawdy; protestanci zapominają wszystkich swych przeciw Kościołowi uprzedzeń i słuchają go z wyrazem zajęcia, które świadczy razem o niepokonanéj prawdy potędze i o przejęciu się mowcy jéj boskością, skutkiem którego tak tę prawdę wypowiada, iż własną siłą bez posługi filozoficznych dowodzeń wpada do serc i własnym ciężarem stoi, *mole sua stat.* Każde jego kazanie miało w Rzymie wagę wielkiego zdarzenia. Kiedy w ogromnym kościele Teatynów miało zabrzmieć jego słowo, napływ słuchacza najróżnorodniejszego, jak powiada jeden z dzienników francuzkich, tak był wielkim, że audy-

toryum Lacordair'a i Ravignan'a ledwie słabe daje o nim wyobrażenie. Tłumy te jak wody morskie w chwili przedburza falowały od wielkiego ołtarza do wielkich drzwi i na powrót, a początkowy szmer, który stopniowo w głośny zamieniał się gwar, nagle w chwili ukazania się mowcy w tak głębokie przechodził milczenie, że głos mowcy od razu silny i pełny rozlegał się jakby po pustkowiu.

Wszakże jak powiedzieliśmy Ventura nie jest człowiekiem effektu, który często im jest gwałtowniejszém, tém prędzéj przemija i czczość zostawia po sobie — Ventura przedewszystkiem był człowiekiem poświęcenia, mężem zakonnym, *kapłanem Wcielonego-Słowa*, kaznodzieją ewangelii. On czuł, że co wziął od Boga, to wziął dla sprawy Boga wśród ludzi, to jest dla sprawy Kościoła, więc też uwielbienie, które dla znakomitości tego świata bywa celem wszystkich wysileń i najwyższą rozkoszą i chwałą, dla niego było powodem do smutnych bolesnych rozmyślań. Jego najwyższém pragnieniem było rozbudzenie w sercach wiernych i niewiernych *religijnéj czci i religijnéj miłości Kościoła.* On się palił pobożną żądzą, ażeby świat zwiący się chrześciańskim rzucić do stóp Oblubienicy Chrystusa — zkądby go ona podjąwszy w pocałunku miłości podniosła do lepszéj, szlachetniejszéj doli. Tymczasem z Niemiec i Francyi dochodziły echa bluźnierstw idących w zawody z bluźnierstwami Woltair'a — Panteiści i eklektycy podjąwszy rolę ateuszów jadem swoim pryskali na wszystkie świętości, a propagandy anglikańskie podjęte w duchu judaszowskiéj polityki we Włoszech północnych, już i nad tą ojczyzną katolicyzmu otwierały katarakty strasznego potopu. Jedni walczyli w imię Chrystusa, drudzy wznieśli sztandar walki przeciw Chrystusowi w imie postępu. Jak pokonać tak sprzecznego wroga? Ventura u stóp krzyża zrozumiał

stan kwestyi i przez apologią Chrystusa zamierzył podjąć obronę katolicyzmu razem w imię Chrystusa i w imię rzeczywistego postępu.

Ale jak tu podjąć apologię Jezusa Chrystusa w obec wiernych zgorszonych temi bluźnierstwami, w obec ludzi słabéj wiary a raczéj dość nikczemnego serca, ażeby dla nędznych krzyków kilku niemieckich i francuzkich szarlatanów zachwiać się w wierze, miłości i czci należnéj Bogu-Zbawicielowi; w obec tych mizernych półkatolików, którzy za każdym zarzutem ciśniętym w oczy Kościołowi, spoglądając nań z uśmiechem na pół szyderczym zapytują: „A cóż ty na to?“ jak gdyby pewni, że już wszelaka replika nie możebna; nakoniec w obec samych otwartych nieprzyjaciół Kościoła i Chrystusa, u których wszystkie najuczeńsze wywody, dowodzenia, apologie nic nie znaczyły i lada nowym zarzutem powalić się dały — w obec tych wszystkich jak i jaką podjąć obronę, żeby przecież mogła mieć jakieś znaczenie, interes i siłę przekonywającą? Ventura powiedział sobie, iż najlepszym sposobem obrony Jezusa Chrystusa jest to, ażeby Go dać jak najlepiéj poznać. To niezawodne, że prawda nie potrzebuje często, jak tylko być poznaną, ażeby się stała wierzoną i miłowaną. Ale jakże Go jednak poznać, gdzie Go odszukać, ażeby Go przedstawić, tak jak był i jest z całą siłą prawdy? Ventura odpowiada: *W Ewangelii*. Tajemnicza ta księga jest najważniejszym obrazem boskiéj Zbawiciela postaci; jest jakby najczystszém zwierciadłem, w którém się odbiło na zawsze całe życie, cała historya, wszystkie czyny, nauki, cuda, cierpienia, męki, śmierć i tryumf nad śmiercią. Jak Jezus Chrystus razem jest Bogiem i Człowiekiem tak i ta księga jest połączeniem boskiéj wzniosłości i dziwnéj prostoty. Jak Jezus Chrystus jest Słowem Boga ukrytém w człowieczeństwie, tak ona jest słowem Boga zakrytem, wcielo-

ném w literę; jak Jezus Chrystus niemógł być pojęty tylko przez Ducha świętego, tak ona w cudowném zjednoczeniu boskiéj mądrości, z prostotą ludzkiéj litery i pod jéj zakryciem, tylko przez Ducha świętego żyjącego w Kościele nauczającym wyrozumianą być może.—Ona więc jest księgą noszącą w sobie dowody swéj prawdy, autentyczności, boskiego natchnienia — więc też niezawiśle od wszelkich rozumowań, wszelkich zewnętrznych naukowych dowodów samo jéj pobożne i uważne czytanie wystarcza do poznania boskiego jéj Bohatera i do przekonania, że był osobą nieskończenie wyższą nad wszelką wielkość, że był razem najwyższą w sobie wielkością, najgłębszą pokorą i najcudowniejszą tajemnicą, to jest razem Bogiem i Człowiekiem. Wszakże część téj księgi najwymowniejsza, najsilniéj mówiąca do serca, przekonywująca najgłębiéj, to historya męki i śmierci Chrystusa. Męka Zbawiciela, to chwila największego upokorzenia i najwyższéj chwały. W niéj Jezus Chrystus razem bezsilny i wszechmocny, najłagodniejszy i najstraszliwszy, poniżony i wzniosły, więzień i wolny, sługa i pan, oskarżony i oskarżyciel, sądzony i sędzia, poddany i władca, razem w takiéj boleści, wzgardzie odepchnięciu i potępieniu, jakiego tylko doświadczać może człowiek i tak mądry, potężny, wolny, cudowny jak tylko może być sam Bóg!

Jakże jednak szczęśliwy ten pomysł urzeczywistnić? Napisać i wydrukować książkę? Któż ją będzie czytał? Ci którzy wierzą i w wierze swojéj utwierdzić się chcą, ci którzy wielbią, kochają Chrystusa i chcieliby się pocieszyć tém, że ktoś szczęśliwie przedstawił boskość i posłannictwo Odkupiciela. To dobre, ale dla serca rozpłomienionego miłością apostolską, to niedosyć. Ventura radby ten obraz stawić przed oczy całemu światu, a zwłaszcza tym, którzy jak pismo święte powiada: *bluźnią to, czego nie znają.* Cóż więc uczyni?

Apostoł narodów szedł do Koryntu, Efezu i Aten i tam opowiadając Boga Człowieka, cisnął im w twarz zarzutem najprzeciwniejszym dumie ludzkiego rozumu, mówiąc: *Wy czcicie czego nie znacie*, a On radby biegł do wszech katedr, z których filozofia racjonalna jak Annasz, Kaifasz, Herod i Piłat z swych tronów wskazywała na śmierć Chrystusa i Chrystyanizm, ażeby tym uczonościom, na słowa których łatwowierna i rozpustna młodzież i tak zwani ludzie ducha czasu, przysięgali, ażeby im powiedzieć: „*wy bluźnicie którego nie znacie. Oto* „*jest!* ukorzcie się przed nim i oddajcie mu swe serca, „a on ich rany zagoi i umysłom waszym da pokój, „którego żadne dowodzenie dać nie może!“

Takie myśli, takie uczucia i pobożne pragnienia grały w duszy zakonnika pieśnią tęsknoty za walką w sprawie sercu jego najdroższéj, najświętszéj, kiedy raz (było to w roku 1840, w miesiącu Sierpniu) zapukano do jego celi i wezwano go w imieniu Ojca świętego, ażeby się na rok następny przygotował z kazaniami postnemi do bazyliki świętego Piotra na Watykanie. Wezwanie było bardzo zaszczytne, Ventura jednak, jakkolwiek od pierwszéj chwili swego kapłaństwa ciągle był zajętym głoszeniem słowa bożego, przecież wymawiał się swoją nieudolnością do podjęcia jednéj z najtrudniejszych części kaznodziejstwa jaką jest właśnie: *la praedicazione quaresimale* we Włoszech. Mówić kazanie dzień po dniu przez cały post wielki, (mówić je na pamięć, bo we Włoszech a szczególniéj w Rzymie nigdy nikt inaczéj nie mówi) a co nadewszystko, mówić je w najsławniejszym i w największym świata kościele, to mu się zdawało i nad zasoby ducha i nad siły fizyczne. W saméj istocie Ventura niebył już w tym wieku, w którymby można przedsiębrać coś podobnego, co niezawodnie i sił fizycznych i młodzieńczo-świeżéj pamięci wymaga. Pięćdziesiąt lat życia przy ciągłéj umysłowéj pracy, to już

wiek na dobre graniczący ze starością. Inni mniéj wypracowani, radzi myślą w téj epoce życia o wypoczynku, tymczasem on jeszcze w lat 16 potém, a zatém w roku 66 mówi z zapałem młodzieńca tém piękniejszym, że połączonym z męzką siłą i doświadczeniem starca. A mówiąc tak przez rok cały, wydaje w tym samym roku wielkie dzieło dwutomowe. Takto zakonne poświęcenie czyni silnym i czynnym, a zakonne życie tak każdą chwilę rozprzestrzenia.

W przedmowie do drugiego oddziału homilii [5]), sam tłumaczy swoją odmowną odpowiedź daną na pierwsze wezwanie: „Opowiadać, mówi on, słowo Boże w kościele Watykańskim świętego Piotra rzecz nadzwyczaj trudna; pominąwszy, że wśród słuchaczy zajmuje miejsce duchowieństwo niezmiernie licznie zgromadzone, do którego także koniecznie trzeba się stósować, pominąwszy sam ogrom kościoła, i niedogodność miejsca z którego się mówi, dość jest rozważyć przedmioty otaczające mowcę, aby się zgodzić, że nawet to samo, coby go wznosić i wielkiemi myślami natchnąć powinno, bardzo łatwo może go wszelkiéj pozbawić odwagi.“ W saméj istocie, z jednéj strony katedra świętego Piotra, z drugiéj grób tego księcia Apostołów, a w nim jego ciało. Tuż w bliskości relikwie narzędzi męki Zbawiciela, dodajmy do tego obecność żywego Piotra w osobie Papieża, a w nim obecność Chrystusa i wszystkich tradycyj katolickich, wszystkiéj wiary, obecność całego Kościoła, w jego najwyższéj głowie, a łatwo każdy pojmie, że obok najsilniejszych bodźców wznoszących duszę w sfery jasnowidzenia wiary i żarliwości, prawieby niepodobna było niedoświadczać uczucia osobistéj nędzy i maluczkości, które najwyższy zapał zdolném jest ostudzić, a

---

5) *La Scuola de' Miracoli*, overo Omilie sopra le pricipali opere della potenza e della grazia di Gesù Christo.

najwznioślejsze pomysły własnemu umysłowi mowcy w karłowatych kształtach przedstawić. Oto co jeszcze w téj mierze O. Ventura pisze w swéj przedmowie (§. 2.) „Tam kaznodzieja tąż samą wysokością swego stanowiska, która serce i umysł jego wielkiemi myślami zapala, czuje się tak maluczkim i zgniecionym, że usta ledwie zdolne doszukać się słów, któreby owe myśli wyraziły. Siedmdziesiąt razy mówiąc w téj bazylice, wyznaję, iż prawie zawsze doświadczałem tego samego uczucia, i nie waham się oświadczyć, iż ktoby go tam nie doświadczał, ten alboby nie był zdolnym pojmować całéj świętości i wzniosłości otaczających go przedmiotów, albo byłby człowiekiem dziwnie chłodnéj wiary; w pierwszym razie nie mógłby być mowcą, w drugim razie niemógłby być prawdziwie chrześciańskim kaznodzieją“.

Wzbraniającemu się przyjąć to tak chlubne wezwanie, zostawiono kilka tygodni do namysłu. Był to właśnie czas wakacyi. Ventura odsunąwszy się od zwykłych zatrudnień, rozważał w osobności i cichości u stóp Zbawiciela co ma począć, i Bóg mu podał do serca myśl, iż to właśnie najlepsza sposobność i pora do nowéj apologii katolicyzmu, i że ta apologia nigdzie z podobną korzyścią podjętą być by nie mogła, jak w owéj świątyni, w któréj obok najpobożniejszego auditorium mógł był znaleść tysiące przybyszów ze wszech stron Europy, reprezentujących prawie wszystkie kacerstwa i odszczepieństwa i najsprzeczniejsze opinie religijne. Ventura zatem wezwanie przyjął i odpowiedział mu tak godnie trzydziestu trzema homiliami o męce Jezusa Chrystusa, iż po skończonym kursie zaraz mu ofiarowano tęż samą ambonę na rok 1843.

Niepodobnaby nam było przytaczać choćby tylko najpiękniejsze ustępy z tych homilii, bo samo ich przedstawienie wymagałoby miejsca obszerniejszego, niż ar-

tykuł przeglądowy zająć może. To pewna że, aby coś podobnego znaleść w tym rodzaju, trzeba sięgać albo do owych pierwszych wieków Chrystyanizmu, kiedy święci kaznodzieje mówili o Jezusie Chrystusie prawie co tylko zeszłym widomie z téj ziemi; kiedy wyraz Jego oblicza, ciepło Jego miłości, świętość Jego życia wypełniały serca wiernych, słuchających o Nim z ust naocznych tego życia świadków; kiedy każdy szczegół z Jego ostatnich chwil, Jego męki i śmierci, każdy wyraz z ust Jego wyszły przypominano sobie wśród świętych zgromadzeń wiernych, jako szczegóły i słowa z życia najdroższego Mistrza i Zbawiciela, Boga-Człowieka, który ich co dopiero pożegnał, i z człowieczeństwem swojém uniósł w niebo ich myśli i serca. Homilie te nazwał ojciec Ventura *Skarbem ukrytym*, [6]) mając tylko na myśli cudowne tajemnice, nauki i pociechy zawarte w dziejach męki Chrystusowéj, a każdy kto je dziś czyta i pobożnemi a wzniosłemi uwagami mowcy duszę swą karmi, rozrzewnia, rozpłomienia i co kartka pragnieniem coraz wyższéj doskonałości wznosi się ku niebu, każdy tuląc tę księgę do serca, mogącą zająć miejsce tuż obok rozmyślań o męce Pańskiéj, świętego Bonawentury, nie nazwie jéj pewnie inaczéj, tylko prawdziwym *Skarbem ukrytym!*

W roku 1843 O. Ventura wystąpił powtórnie w bazylice watykańskiéj. Homilie Jego były dalszym ciągiem apologii Jezusa Chrystusa i tém się różniły od pierwszych, że jak tam w poniżeniu i boleściach męki Zbawiciela odsłonił ukryte skarby boskiéj Jego mądrości i mocy, tak tutaj w najświetniejszych Jego czynach,

---

[6]) *Il Tesoro Nascosto*, overo Omilie sopra i Misteri, le dotrine e gli esempii che si contengono nella storia Evangelica della Pssione del Signior nostro Gesù Christo predicate per la prima volta nella Sacrosanta Basilica Vaticana l'anno 1841.

to jest w Cudach odsłonił ukryte skarby Jego dobroci i miłosierdzia. Homilie te nazwał *Szkołą cudów,* [7]) to jest szkołą, w któréj uczniom Jezusa Chrystusa, i samym nawet nieprzyjaciołom Jego Kościoła własne Jego cuda opowiadają, iż tak być pełnym niewysłowionéj dobroci, tak przychylającym się ku wszelkiego rodzaju nędzy, aby od niéj ratować, aby w niéj pocieszać, ubogacać, uświęcać i zbawiać, nie mógł by kto inny tylko sam Bóg. Oto jak je zaczyna:

„Gdy ludzka mądrość uczy nas tylko przez słowa, „wcielona mądrość boska jednoczy słowa z czynami a „przez swe czyny, równie jak przez swe słowa naucza. „I być inaczéj nie może. Gdy bowiem, jak powiada „Augustyn święty, Jezus Chrystus sam jest żywem Bo„ga Słowem, więc téż i każdy czyn owego Słowa jest „dla nas nauki słowem: *Quia ipse Christus Verbum Dei „est; etiam factum Verbi, verbum nobis est.* Co miłosier„ny Pan nasz przez boskie swe słowa przenosi w serca „za pomocą słuchu; najwznioślejsze tajemnice, najważniej„sze nauki i najdroższe prawdy; to czynami swojemi po„twierdza, tak że czyny Jego są to niejako widzialne „nauki, dotykalne boskiéj Jego miłości dowody, iż się „spełnia doskonale proroctwo Izajasza: *Oczy twoje pa„trzyć będą na Mistrza twego.*

„A jeżeli wszystkie Jego czyny są dla nas słowami „nauki, cóż dopiero cuda, które są razem zdumiewają„cemi dziełami i niewymownemi słowami; czynami jako „historycznie prawdziwemi, słowami, jako mistycznie lub „proroczo rzecz boską przedstawiającemi. Gdybyśmy, „woła święty Fulgencyusz, gdybyśmy po wszystkie chwi„le tylko zdziałane przez Chrystusa cuda rozważali, oh!

---

[7]) Spiegazioni Evangeliche contenente La Scuola de' Miracoli overo Omilie sopra le principali opere della potenza e della grazia di Gesù Christo. (3 vol.)

„jakżeby się wiara w nas spotęgowała, jakby się rozpło-
„mieniła pobożność, a postęp w cnoty jakże byłby stały i
„olbrzymi! Przekonani o prawdzie tych słów, oświadcza-
„my drodzy chrześcianie, iż w ślad za Apostołem naro-
„dów, niechcemy wam opowiadać nic innego, tylko o
„życiu, o czynach, o cudach Pana. Jego życie i czyny to
„wielka księga, księga, z której możecie zaczerpnąć moc
„wiary, cnoty, i mądrości bożéj [8]).

Po męce i cudach idą *Parabole Ewangeliczne*. Przedstawiony w nich Zbawiciel świeci najwyższą mądrością i objawia przez nią swe bóstwo. O. Ventura jest tu niewyczerpany i tyle z każdego zdania, z każdego słowa skarbów wydobywa, tyle w jego wykładzie życia, takie w przytaczaniu najpiękniejszych zdań Pisma świętego i Ojców bogactwo, taka we wszystkiem jedność a razem taka rozmaitość, taka razem ścisłość teologiczna, spokojność i pewność w dowodzeniu, taka missyonarska żarliwość i podniosłość ascetyczna, że widoczną jest rzeczą, iż cały ten wykład dokonanym został pod światłem, którego sama nauka nigdy dać nie zdoła, ale którém umysł rozjaśnia miłość działająca przez modlitwę, usposabiająca do głębokich rozmyślań, i odsłaniająca tam nawet niezliczone skarby znaczenia, gdzie i najuczeńszy kommentator przy chłodzie serca niczegoby się niedobrał. W homiliach tych, jak i w poprzednich, wszystko znaleść można, co tylko było do znalezienia. Jest tam i chrześciańska filozofia i dogmat jak najżywotniéj przedstawiony, są oparte na dogmacie przepisy moralności, jest poważna i gorąca polemika, są miejsca pełne tkliwości, zdolne najtwardsze rozbroić serca, są dowodzenia pełne żelaznéj siły, zdolne pokonać i upokorzyć najdumniejsze wielką nauką umysły, są święte pociechy mogące służyć za balsam ulgi lub uzdrowie-

---

[8]) Omilia prima. *Il Giovine Indemoniato*. §. 1.

nia na najboleśniejsze rany serca, a to wszystko tak uporządkowane, tak jedno z drugiego płynące, tak bosko-symetryczną tworzące całość, że się od nich oderwać nie można.

Takim jest ojciec Ventura w Homiliach, teraz proszę mu się przypatrzyć w kazaniach pogrzebowych.

Kazania pogrzebowe, to część mymowy kościelnéj niezawodnie najtrudniejsza. Rodzaj ten, nieznany starożytnym, stworzony został przez silną wiarę w nieśmiertelność ludzkich przeznaczeń, którą katolicyzm natchnął swych wyznawców oraz przez wiarę w stosunki istniejące między trzema społecznościami: walczącą, cierpiącą i tryumfującą, które katolicyzm objął w tych dwóch wyrazach: *Świętych Obcowanie.* Kazania pogrzebowe zwykle też na tych dwóch zasadniczych punktach naszéj wiary budowane, mają być razem nauką zdjętą z życia a dowodzoną czynami i pociechą wysnutą z przekonania wiary, iż życie osoby, któréj stratę opłakujemy nie znikło, ale się na stopień doskonałości podniosło, lub przez modlitwy podnieść się może; mają też być żywem przedstawieniem zapasów życia z śmiercią toczących się przez przeciąg exystencyi człowieka na ziemi i tryumfu, który każdemu zapewnia religia po dobrém życiu i po dobréj śmierci; a nakoniec mają być, zwłaszcza też nad grobem wielkich ludzi, wykazaniem działania Opatrzności posługującéj się dla szczęścia rodu ludzkiego, dobrą wolą, zacnemi czynami i poświęceniem Chrześcian, oraz przypomnieniem, czem jest potęga ludzkiego rozumu, ludzkiéj woli, ludzkiéj miłości, ludzkiego działania, ludzkiéj sławy i powodzenia a nawet ludzkich nieszczęść i boleści, podniesiona do znaczenia rzeczywistéj siły i ku wiecznym skierowana celom przez współdziałanie Boga. Trudność tego rodzaju wymowy właśnie to stanowi, że ją do wystąpienia zawsze ta sama przyczyna, tenże sam fakt zaszłéj śmierci wywołuje; powtóre, że

się w niej wszystko do jednego mianownika, do jednéj i tejże saméj nauki o rzeczywistéj wartości tego, co jest wieczne, a o nicości tego, co jest doczesne, sprowadza; nakoniec, że chcąc uniknąć powtarzania miejsc komunalnych, z drugiéj strony prawie jest niepodobna uniknąć powoływania się na zdarzenia z życia nieboszczyka, na zdarzenia, które, albo jak zwykle mniéj więcéj są pospolite, wszystkim wspólne, a przez to samo nic szczególniejszego do zauważania nieprzedstawiające, albo co rzadko się zdarza, są wielkie, wyłączne, nadzwyczajne, następstwami wielkiemi ciężarne, z całemi społecznościami stosunek mające, i wywołujące wielkie zmiany, albo na nie przeważnie wpływające, a tem samem znowu wymagające w mowcy nietylko znajomości rzeczy świętych ale nawet umysłowo wyższego na rzeczy poglądu i pewnego zmysłu syntetycznego, zdolnego chwytać związek między rzeczą a rzeczą między człowiekiem a epoką w któréj żyje, między czynami zmarłego a powszechną dążnością i potrzebami społeczeństwa, a co największa między ubiegłem życiem a myślą Bożą, czyli posłannictwem dla spełnienia którego życie to wywołanem zostało. Wszakże dla tego samego, że ta część wymowy religijnéj tyle trudności przedstawia, kiedy jest podjęta i dokonana szczęśliwie, najpotężniéj o genialności mowcy stanowi. Bossuet jako orator właśnie mowami pogrzebowemi wzniósł się na najwyższy szczyt sławy, Flechier i Mascaron mowami pogrzebowemi najbliżéj stanęli, téj kolosalnéj postaci, gdy tymczasem tacy nawet mowcy jak Larue i Beauvais ledwie, że przy nich są dojrzanymi; tak dalece zdolność w téj mierze, jeżeli nie jest znakomitością pierwszego rzędu, znakomitością nadzwyczajną, na mało się przydaje. Włochy ta wtóra po Grecyi ojczyzna mowców wszelkiego rodzaju, pod względem kazań pogrzebowych ledwie że dwóch przedstawiają, z których jeden na Bosuetowskiéj

stanął wysokości, a drugi już obok niego i z Mascaronem niewytrzyma porównania [9]). Pierwszym jest właśnie Ventura, a jest nim według zdania ludzi najuczeńszych. Jego *Elogi Funebri* liczą się do *arcydzieł wymowy włoskiéj*, a trzy z nich są niezawodnie arcydziełami wymowy tegoczesnéj i pozostaną na zawsze chlubą wymowy kościelnéj. Słuchajmy co o nich mówi znany w świecie literackim Baraldi: „Niepierwszy to raz wspominamy w dziele naszém o słynnym autorze mów pogrzebowych, w których wszystko znakomitości jego wysokie oddaje świadectwo, a które się czytają z niewysłowionem zadowolnieniem. (Jakże się dopiero słuchały! [10])“ W saméj rzeczy trudno najdoskonaléj w jednym przedmiocie połączyć i potęgę rozumowania i wysokość poglądu i głębokość wiedzy i znajomość metafizyki i zręczność w władaniu bronią polemiki, i żar młodzieńczy w uczuciach i męzką dzielność w wymowie i starą wytrawność w sądzie. Wymowa pochwalna przez takich ludzi podjęta nie gubi się w próżnym dźwięku słów, nie kończy się na krągłych frazesach i zręcznych porównaniach, na brylantowo-pietystycznem gadulstwie, ale czuje, że wtenczas tylko prawdziwie jest wielka, gdy wielkie rzeczy podejmuje, wiąże i przedstawia; że wtenczas tylko jest prawdziwie pożyteczną, kiedy służy rzeczywistym interesom tak człowieka jak społeczności, kiedy w myśl Chrystusową dotyka najistotniejszych stosunków między człowiekiem a społeczeństwem i Bogiem.

---

[9]) Sławny professor *Bernardoni* tak się o nich wyraża: „Quoad „laudationes funebres exemplo sint: Turchius, de laudibus Mariae „Theresiae Austriacae; et P. Ventura ex Theatina familia in obitu „Pii Septimi P. M.: qua funebri oratione, jam septies excussa, sum-„mam apud omnes eruditissimos viros sibi gloriam comparavit. (*Precetti ed Esempii di Eloquenza Sacra desunti da Padri e dei dottori della Chiesa. Milano 1831.*)

[10]) *Memorie di Religione e di Letteratura.* Tom 12. str. 579.

Wzniosła, odważna, i pewna siebie, bo na zasadach ewangelicznych oparta, posługuje się wszystkiem, co w zakresie wiedzy ludzkiéj prawdziwie jest wielkie a sama obsługuje nieskończenie nad wszystko wyższą sprawę Pańską. Tuliusz, Plato, Demostenes podają jéj na kolanach jak królowéj zdobyte potęgą swego geniuszu siły, a ona, rozumując, filozofując, i dowodząc z nimi, naucza, pociesza, wzmacnia, podnosi i uświęca tylko z Chrystusem, będącym dla niéj początkiem, z którego wychodzi i końcem, do którego potężnym swym prądem wszystkie umysły i wszystkie serca porwać usiłuje. Ventura tak pojmował i tak też podjął tę gałęź wymowy kościelnéj. Oto, co sam mówi w przedmowie do pierwszéj edycyi swych mów pogrzebowych: „Poświęciwszy od lat niewielu szczupłe me zasoby i usiłowania najświętszéj i najdroższéj sprawie religii, pragnąłem w tych kazaniach, podobnie jak we wszystkich moich pismach przedstawić jéj najwyższą prawdę, świętość, pożyteczność, dzielność i piękności, oraz wdrożyć w umysły i serca wielkie a jedynie z niéj płynące zasady porządku i życia, które w smutnych naszych czasach, same tylko uratować jeszcze zdołają chylącą się ku ostatecznéj ruinie społeczność. Jestem przekonany, że jeżeli po straszliwie grożném przesileniu, jakie ród ludzki przechodzi obecnie, społeczność wyjdzie szczęśliwie, to nie inną podźwignięta siłą, tylko tą samą, która ją stworzyła, a która stanowi grunt Chrystyanizmu. I w tem właśnie przekonaniu starałem się zawsze z téj wysokości religijnéj obejmować zdarzenia i to co się zdawało być tylko miejscowém, prywatném, usiłowałem przedstawić w pewnym związku z interesem powszechnym, w odniesieniu do potrzeb społecznych i do ostatecznych naszych przeznaczeń.“

I w saméj istocie, dziwne, niespodziewane, niewyrachowane wypadki napełniające historyą ostatnich cza-

sów niemogły wielkiego mowcy religijnego inną natchnąć myślą, innem pragnieniem. Takie czasy zwykle wytwarzają tego rodzaju znakomitości, i kiedy umysły małe pozbawione gruntu wiary gubią się w zamęcie zdarzeń, umysł wyższy, wykształcony pod wpływami religii podoba sobie w wykazywaniu ukrytej we wszystkiem woli Opatrzności i w upokarzaniu ludzkiego rozumu, który im smutniej błądzi tem się uporczywiéj stawia jako naczelne prawo wszech rzeczy i najwyższy ludzkich przeznaczeń kierownik. Taki umysł jest prawdziwém błogosławieństwem na czasy wielkich przesileń, bo żadna tyrania tak niemorduje, jak tyrania z wiarą rozwiedzionego rozumu. Nikomu z chrześcijańskich filozofów nieudało się pod tym względem tak głęboko wniknąć w myśl Bożą jak autorowi Wieczorów Petersburgskich, to też przy jakiemkolwiek podniesieniu religijném, w chwilach, jak te nasze, niesłychanie wyszedł on na wierzch i coraz więcéj wychodzi, jako błoga oaza w Saharze *czystorozumowych* na rzeczy poglądów.

Co najsilniéj w tym zamęcie najsprzeczniejszych i najniespodziewańszych zdarzeń, zapełniających całe prawie ostatnie stólecie owe potężne umysły uderza? Co w ich oczach największe światło na historyą wszystkich wstrząśnień politycznych i społecznych rzuca? Co im tłumaczy straszliwą zagadkę tych dwóch najostatniejszych sprzeczności jaką jest anarchia i despotyzm? Co rozwięzuje tajemniczą kwestyę krwi i błota, któremi bluzga na wszystkie ziemskie wielkości, obluzgana i upojona swawola rewolucyjna — a razem niesłychanéj politycznej, jednego człowieka potęgi, przed którą się korzą zdumiałe i umordowane ludy? — To jedno, że za odstępstwo od *Prawdy* Bóg karze jednych drugimi, a karząc, jednych przez drugich, do *Prawdy* sprowadza; to jedno, że, gdy sama tylko prawda, prawda boska, Prawda-Bóg stanowi rzeczywisty węzeł

społeczny, zjednoczenie umysłów i serc — stosunki żywotne, więc za odstępstwem od niéj, za buntem przeciwko niéj, za wojnę jéj wypowiedzianą, za zamachem jéj zamordowania idzie odstępstwo stanu od stanu, idzie wzajemne rozdzieranie się, potarganie wszelkich stosunków, śmierć społeczności i jedyna siła łącząca rozpadające się członki — to jest rewolucyjny lub despotyczny terroryzm.

W kazaniu na pochwałę Piusa VII Ventura z téj wysokości spoglądał rzeczy.

Bo tez właśnie historya Piusa VII pełna owych nadzwyczajnych zdarzeń niemogła być ani z innego punktu objęta, ani według innego kryteryum sądzona. Święty ten Papież rzucony w społeczność całkiem zrujnowaną, postawiony w obec ludów wypowiadających wszelką uległość i w obec potęgi niszczącéj wszelkie instytucye i tradycye ludów, wystąpił w dziejach jako męczennik restaurator. Żywioł antykatolicki burzył do reszty wielki gmach społeczny; katolicyzm zbierał szczątki i runące ściany siłą swego poświęcenia podpierał. Ostatecznym wyrazem pierwszego był Bonaparte najwyższym wyrazem drugiego był Pius VII. — Mowca dwie te postaci schwycił w jeden obraz — dwa posłannictwa tak sprzeczne przedstawił w żywém zetknięciu jako dwa narzędzia Opatrzności. Niesłychany kontrast dwóch wielkich geniuszów, geniuszu potęgi materyalnéj i geniuszu ewangelicznego poświęcenia, przedstawił się syntetycznemu jego umysłowi, jako przedmiot do najgłębszych spostrzeżeń i do najżywotniejszych nauk.

Z przedstawienia dwóch naczelnych zdarzeń łatwo czytelnik zrozumie do jakiéj wysokości w mowie téj wzniósł się Ventura, a tem samem, jakie ona zajmuje miejsce wśród nielicznych arcydzieł tego rodzaju wymowy.

Pierwszem jest konkordat zawarty między Piusem VII a Napoleonem.

Któż niewie, jak wiele sprzecznych zdań i sądów wywołał i wywołuje do dziś dnia ten wielki akt potęgi papiezkiéj, akt będący niezawodnie w owych czasach antykatolickich najwznioślejszym obrazem staréj powagi i boskiego majestatu ojca chrześciaństwa, akt wypowiadający jak najdobitniéj w obec protestującego świata przeciwko wszelkiéj władzy i wpływom kościoła, że po ośmnastu wiekach działania Ewangelii w pośród ludzkiego rodzaju, *spółeczność ludzka polegająca na zespoleniu umysłów i serc niemoże być spółecznością jeżeli serc niejednoczy miłość objawiona przez Chrystusa a tryskająca żywym zdrojem jedynie z serca Kościoła:* — Akt w którym na wielki podziw świata na upokorzenie dumy ludzkiego rozumu, na naukę wszech wieków widziano jak rewolucya wylęgła ze spisku na zniweczenie katolicyzmu, tajemniczą siłą pchnięta sama się zwraca ku niemu, zdeptane prawa Kościoła podnosi, przed jego władzą się korzy, najwyższy kierunek nad spółecznością przyjmuje i uznaje; nakoniec akt dziwny, w którym Papież zdający się czynić koncessye dla Państwa, koncessye Państwa zdobywa, a ustępujący coś z swych przywilejów, używa najwłaściwszego przywileju traktując z szczegółową spółecznością jako najwyższy zwierzchnik społeczeństwa powszechnego.

Ventura w przedstawieniu tego wielkiego aktu z życia Piusa VII chciał wykazać, jak on wielkiemi ciężarny był następstwami nie tylko dla Francyi, ale dla całéj Europy, dla całego chrześciańskiego świata, jak w konkordacie najważniejszym ze wszystkich ówczesnych [11]) założone zostały fundamenta przyszłych stosunków Ko-

---

[11]) Il più importante, e, per le consegnenze di cui non è possibile il calcolare tutta l'estensione, il più utile di tutti i Concordati, che il Sacerdozio abbia mai conchiuso coll' Impero. (W edycyi rzymskiéj z r. 1845 str. 31) —

ścioła z Państwami, nasienie zgody i pokoju między ludem Chrześciańskim zwracającym się jak syn marnotrawny ku ojczystemu domowi, a ojcem powszechnéj społeczności. Oto co mówi o przeznaczeniach Francyi i jéj dziwnych wpływach na wszystkie inne narody: „Pius zdawał się zapomnieć o Europie, o całym świecie i tak nadzwyczajnie zajęty był Francyą, jak gdyby interes całego katolickiego świata leżał w interesach Francyi, jak gdyby Prawda koniecznie potrzebowała Francyi. Ah tak! On widział, że aby Europie powrócić religią, trzeba nią było najpierwéj obdarować Francyę. Bo ten naród swoją mową, duchem swego prozelityzmu, tyranią swoich mód i swoich zwyczai, wielką opinią o swoich wewnętrznych zasobach, wdziękiem swojéj rzutności, dziwną wywiera władzę, a nawet pewnego rodzaju despotyzm na wszystkie umysły europejskie. Narody nawet nienawistne wielkości Francyi niemogą się powstrzymać od przyjmowania jéj zwyczai i jéj języka. Berło opinii w jéj ręku, wszechwładny wpływ nad umysłami w jej potędze. Ażeby podbić Europę, trzebaby na to, zjednoczyć wszystkie siły innych ludów, ażeby ją zrewolucyonizować, to potrafi sama Francya przez zmianę w opiniach, w przekonaniach, w pojęciach. Kiedy najsłabszy z narodów miałby sobie za hańbę przyjmować narzucone pojęcia i zwyczaje narodów najpotężniejszych, tymczasem narody najpotężniejsze i najdumniejsze z swych własnych instytucyj podobają sobie w hołdowaniu samym szaleństwom Francuzów. Kiedy angielski filozofizm i giermański fanatyzm marzyć tylko i rozprawiać umiały o rewolucyi, sama Francya zdołała jéj dokonać, a kiedy świat cały zadrżał przed rewolucyi burzącą potęgą, sama Francya zdołała obedrzyć ją z jéj zdobyczy i ona sama zwróciła się ku Kościołowi z bezinteresownością i wielkomyślnością potężnego ludu. Wrócić więc religię temu ludowi przeznaczonemu do tego po wszystkie cza-

sy, ażeby, proszę mi wybaczyć to wyrażenie, ażeby nadawał ton swemu wiekowi było toż samo, co zapewnić jéj posiadanie całéj Europie! I oto dla czego Francya stała się jakby wyłącznym przedmiotem uwagi, troskliwości i działania Ojca i najwyższego Zwierzchnika powszechnéj religii [12]).

Przedstawiwszy następnie trudności zawarcia konkordatu, a co większa, trudności zastósowania, oraz jak nad wszystkiemi Pius VII zatryumfował swoją nadzwyczajną słodyczą i nieograniczoném poświęceniem, tak jéj następstwa maluje:

„Religio święta! Oto dni piękne twojego tryumfu! „Ledwie, że się we Francyi katolicyzm podniósł z swych „popiołów, ledwie, że na gruzach bóstwa sromoty chci„wego krwi i pożogi wzniósł się znak ludzkiéj nadziei, „znak pokoju, pociechy, zbawienia, alić natychmiast na „téj ziemi tak już nieszczęśliwéj wszystko zmienilo swą „postać. Zabiegi Jakóbinizmu zmordowane, upadają, ucie„ka krwawy duch zniszczenia. Na miejsce dawnéj, stra„szliwéj energii tworzącéj chaos i śmierć upładniającéj; „powstała nowa potęga z samychże ruin życie wywodzą„ca. I wnet się wzniosły świątynie, z gruzów powstały „ołtarze, cześć pańska w dawnym ukazała się blasku, „hierarchia kościelna, jak gdyby z pod ziemi z całém „swojém życiem wyszła, kościołom wrócono paste„rzy; apostolstwo chrześciańskie, ten boski zdrój po„koju i nadziei z dawnemi swojemi wpływami, da„wną odzyskało dzielność; głos zwiastunów ewangeli„cznych zabrzmiał w świątyniach na wielką pociechę „spragnionego u dobrych słowa prawdy słuchu, chłosta„nego przedtem naukami niszczącego ateizmu, a zbłąka„nych na drogę prawdy sprowadzał. Duch świętego „Wincentego à Paulo żywy jak wiara, czynny jak na-

[12]) Str. 24.

„dzieja, jak miłość potężny zmartwychwstał z swoich „popiołów na wielką pociechę wszelkiego rodzaju cier„piących i nieszczęśliwych; lud ujrzał znowu swojego „Chrystusa; Kościół się pocieszył powrotem najszlache„tniejszéj cząstki swych owieczek; Bóg wrócił i zamie„szkał w swym Sijonie; Francya weszła na nowo „w drogie stósunki braterstwa z światem katolickim, „stanęła znowu z świetnym tytułem arcychrześciańskiej „wśród europejskiej rodziny; z hordy świętokradzkich „barbarzyńcow przemieniła się w naród i zasiadła wy„znaczone sobie przez Kościół pierwsze miejsce wśród „ucywilizowanych ludów!“

Drugim wielkim epizodem podjętym przez Venturę w mowie o Piusie VII. i z niesłychaną przedstawionym siłą była koronacya Bonapartego. Wielki ten akt, któremu tylko nienawiść, albo niewiadomość może mieć coś do zarzucenia, był niezawodnie najwyższem wykonaniem prawa, wypływającego z władzy papiezkiej względem społeczeństwa, oraz głośną, dobitną, stanowczą protestacyą przeciw wszystkim uzurpacyom bezbożnego ducha czasu. Nie byłoż to w saméj istocie coś nadzwyczajnego, ażeby człowiek rewolucyi, władzca wyszły z ruin gmachu społecznego, geniusz wyniesiony najniesłychańszą dumą albo raczéj wiarą w swoje własne siły, ażeby ten człowiek w obec świętokradzkiéj Francyi, w obec gorzéj jak protestanckiéj Europy, w obec opinii całego świata potępiającej i depczącej wszystko, co tylko w życiu społecznem mogło być jakąś reminiscencyą władzy i wpływów Kościoła, zwracał się jawnie ku Głowie tego Kościoła, i wzywając go na cały głos do bluźniącéj jeszcze przeciwko Bogu stolicy, głośno wyznawał, że potęga i majestat jego nie mogą mieć rzeczywistości, póki mu swego błogosławieństwa religia nieudzieli, i że aby mógł być władzcą, potrzeba było, ażeby Kościół czoło jego otoczył świętym majestatem! Nie by-

łoż to coś prawdziwie cudownego, iż tego głosu nie zagłuszył powszechny krzyk publicznéj opinii, widzącéj w tym akcie zwrót do wieków barbarzyńskich i oburzającéj się na samą tę myśl, że najwyższy reprezentant wielkiego narodu schyla się przed majestatem bezsilnego i wzgardzonego kapłana! Jakież tu dziwne rozrządzenie Opatrzności! Papież — jako papież, jako głowa Kościoła, jako namiestnik Chrystusa, jako klucz w sklepieniu społeczném, jako najwyższy widomy wyraz stosunków ludzkiego rodzaju z Bogiem, Papież — w stolicy świeżo zbluzganéj krwią katolików, kapłanów, biskupów! Co tu za myśl Boska? Jaka siła?

Ventura odpowiada: „Potrzeba było, ażeby Kościół tam właśnie boskiem swém życiem najpierwéj i jak najwyżéj zajaśniał, gdzie najsamprzód i najgłośniéj śmierć jego zawyrokowano.“

Podług niego wpływ władzy papiezkiéj nieodzownym jest do ustalenia stósunków między rządzącymi a rządzonymi, czyli do utrzymania chrześciańskiéj prawdziwéj monarchii, która się wyradza we wschodni despotyzm albo w rewolucyjną anarchią, wielekroć razy wpływ ten zaprzeczony i odepchnięty. To straszne następstwo powiada on, jest nie do uniknienia i na próżno chciałyby go zaprzeczać umysły religijne, gdyż wszelkie argumenta i subtelności bezbożnéj polityki obala doświadczenie i ten pewnik, że społeczność głównie polega na harmonijném zespoleniu dusz, nie zaś na *wspólności doczesnych interesów*, a zespolenia tego dokonywa miłość wzajemna, którą Chrystus przyniósł i Kościołowi przekazał; przeto bez zdecydowanego kierunku religii przez Kościół niema i być nie może należytéj społeczności ludzkiéj [13]). Oto są jego słowa:

---

[13]) To tak dalece, że sami pogańscy filozofowie zasadnicze to prawo społeczności uważali za wykonywane przez bóstwo i za jedno z religią. Plato (Lib. IV. de Leg.) powiada: *Religio vera est*

„Rewolucya, ta straszna plaga gniewu bożego prze-„biegła Europę szybkością piorunu i wszystkie wywróciła „trony. Od téj chwili wielu z panujących doszło do „tego, iż dobrze rządzili, żaden przecież nie królował „prawdziwie. Dopóki Francya miała tylko konsulów, „dopóty Europa nie mogła mieć prawdziwych monar-„chów. A więc interes całéj Europy wymagał podnie-„sienia tronu francuzkiego, a ów tron wpływem swoim „wnet miał podnieść inne trony. Wskażże tronu Francyi

---

*firmamentum reipublicae.* Cicero w mowie przeciw Veressowi powiada, że się wszystko siłą religii porusza: *Omnia religione moventur* (V. in Verrem); a w dziele *de Legibus* (I, 7) społeczność ludzką o tyle za społeczność uważa, o ile jest jedno z społecznością boską: *Una civitas communis deorum atque hominum existimanda.* Seneka najbliższy Chrystyanizmu wyraża się silniéj, niż poprzedni mówiąc: *Philosophia docuit.... pene deos imperium esse inter homines consortium* (Epist. 90), a poniżéj: *Omne hoc quod vides, quo divina atque humana conclusa sunt, unum est, membra sumus corporis magni.* Co do pisarzy Chrześcijańskich, pomijając Ojców kościoła, którzy jak Tertulian, człowieka uważali o tyle z natury za istotę społeczną, o ile już z natury jest chrześcijańskim, albo jak Augustyn, społeczność ludzką, o tyle uważali za społeczność, o ile była *społecznością Boską* (*De Civitate Dei*), pomijając nawet i pisarzy średniowiecznych, żyjących w epoce najwyższego wpływu Kościoła na pojedyncze państwa i na najistotniejsze stosunki między ludami a panującymi, pomijając tych wszystkich, nawet i Ś. Tomasza (z którego à propos naszéj rozprawy *O Dziennikarstwie* ktoś przytacza dystynkcye między prawem cywilném a kościelném, jak gdybyśmy byli napisali: O tożsamości kanonów kościelnych z kodeksami cywilnemi), pomijając mówię i Śgo Tomasza, który rozróżnia społeczność ze względu na jéj *dwuzwierzchnictwa*, ale razem jak najdobitniéj utrzymuje, że społeczność świecka o tyle w prawdziwém znaczeniu między ludźmi istnieć może, o ile istnieje w swym żywiole rzeczywistym i na istotnéj swojéj podstawie, to jest o ile jest katolicką — pomijając to wszystko, zapytujemy naszego krytyka, czy w saméj istocie przekonany jest, *że kościół i społeczność ludzka to są rzeczy essencyonalnie różne i stojące obok siebie bez węzła żywotnéj jedności?* Nie pytamy się o fakt tylko o zasadę, bo nie wnioskujemy od *jest* do

„żadne inne wznieść nie mogły ręce, krom tych samych, „które niegdyś tron ten zbudowały, to jest ręce religii, „i gdyby palec boski nie poświęcił na nowo tak sponie-„wieranéj, podeptanéj władzy, Francya mogłaby była „mieć jeszcze krzesło krwawego dyktatora, ale by nie „miała tronu Karola W., świętego Ludwika, i Europa „miałaby także tylko dyktatorów. Dla dobra zatem „państw europejskich, było to rzeczą konieczną, ażeby „w téj saméj Francyi syn rewolucyi tę jedność podniósł

---

*być powinno?* Prosilibyśmy, aby nam zacytował spółeczność *prawdziwą, żyjącą, osiągającą swe przeznaczenie*, któraby nie wzrosła na gruncie religijnym? Prosilibyśmy daléj, aby nam wytłumaczył co znaczy ta ścisła, wewnętrzna, żywotna jedność praw religijnych i praw politycznych w układzie każdéj szczegółowéj spółeczności, jakakolwiek byłaby forma jéj rządu (rządu, który jak nam się wydaje sz. krytyk bierze za synonim spółeczności i zasadę jedności spółeczeństwa z Kościołem miesza z chętkami jednoczenia spraw Stanu z sprawami religii) i co znaczy potrzeba władzy i wpływu kapłaństwa niewiedzieć gdzie rozleglejsze, czy w narodach półbarbarzyńskich, czy w państwach ucywilizowanych? Niech nam téż wytłumaczy ów fenomen spółeczny, że wielekroć razy w jakiejś epoce wpływ religii słabnieje, tylekroć razy wszystkie węzły spółeczne rozwiązują się lub pękają? Czem się stało, że ze spółeczności tak do zbytku pełnéj życia, jak była spółeczność Rzymian, skoro tylko prawa i instytucye zbudowane na dogmacie przeniesiono na grunt filozoficzny, został tylko wielki trup? Dla czego spółeczność nowa na jéj grobie wzrosła wziąwszy wszystko od Kościoła, swoją essencyonalną formę, swe instytucye, hierarchią, trwałością swoją i doskonałością przeszła wszystkie inne i ułożyła się w narody-siostry składające jednę rodzinę pod najwyższém zwierzchnictwem Rzymu? Czem się stało, że gdy przyszła arcyherezya i arcyodszczepieństwo Lutra *protestujące* najprzód przeciw władzy, kierunkowi i wpływom kościoła, natychmiast ukazał się także zaród śmierci w spółeczności? Co rozerwało na sztuki Państwo Niemieckie, co zniszczyło braterstwo narodów, co wywołało stary, pogański, pożerający antagonizm, co rozdarło stany, co zachwiało i zniweczyło najżywotniejsze spółeczne stosunki, co dziś odpycha umysły i serca, że się ludzie w żaden sposób porozumieć nie mogą? Czy tego nie zrobił rozwód Spółeczeństwa z Kościołem? Jeżeli

„i ustalił. Tak jest; koronacya Bonapartego była rzeczą „nieodzowną. Pius VII, oświecony światłością z góry wi„dział, że jakkolwiek ta koronacya nie była według zasad „zwyczajnéj, w ciasne ramy ludzkiego sposobu widzenia u„jętéj sprawiedliwości, przecież wymagało jéj niebo w moc „zasad sprawiedliwości wyższéj, powszechniejszéj!... Nie „ludzkiéj zatém radził się rachuby, ani dogadzał wido„kom osobistéj dumy, ale szedł za kierunkiem wyższe-

---

spółeczeństwo a Kościół to rzeczy całkiem różne, więc pytamy się czém wówczas jest Kościół? Czy Kościół *nie jest zgromadzeniem wszystkich wiernych pod przewodnictwem jednego Pasterza?* A cóż to jest takie zgromadzenie jeżeli nie najżywotniejsza spółeczność? Ale są spółeczności istniejące po za Kościołem. *Są*, ale powtarzamy iż nie pisaliśmy historyi tego *co jest*, tylkośmy przedstawili zasadę i z niéj wnioskowali *jak być powinno*. Powiedzieliśmy wyraźnie, *że fakt nie może stanowić zasady*. Skoro tylko na zasadzie *faktu* uznano, że spółeczność cywilna istnieje sama w sobie niezależnie od tego, co w średnich wiekach było jéj duszą, to jest od Kościoła, zaraz wyszło na wierzch to nierozumne pytanie: *Czy Kościół istnieje w Państwie czy Państwo w Kościele?* za którém znowu poszło owo zabijające axioma, *cujus regio ejus et religio*, tak dalece *rozdział* Spółeczności od Kościoła wiedzie zaraz do zgubnéj *zmieszki* żywiołu duchowego z żywiołem materyalnym spółeczności. Zresztą cóż stanowi fundament spółeczności? Sprawiedliwość. Ale co to jest sprawiedliwość? *Est juris subsistentia.* Trwanie, żywotność prawa. A co to jest prawo? Jest to oddanie każdemu, co mu się należy. Cóż się każdemu należy? Oto wielka kwestya! Kwestya po za religią, po za katolicyzmem wiecznie problematyczna. Religia przed Chrystusem jakkolwiek niedoskonała, zepsuta, zeszpecona, oparta przecież na gruncie szczątek z pierwotnych tradycyi umiała to prawo jako tako regulować, a o ile nie umiała o tyle spółeczności nawet takie jak Grecka i Rzymska rażą antyspółecznym duchem swych instytucyj. Religia żydowska każde prawo na stosunkach z Bogiem opiera; przychodzi Zbawiciel i objawia, co świat ledwie przeczuwał, to jest prawo wykazujące co się ludziom od ludzi należy: *Przykazanie nowe daję wam, abyście się spółecznie miłowali, jakom ja was umiłował.* Oto jest zasada spółeczna.

„go natchnienia, za wolą niebios i działał w myśl naj-„wyższego interesu całéj Europy.

„To téż kiedy w téj uroczystéj okoliczności umysły „płytkie, powierzchowne, upatrywały tylko ukoronowanie „żołnierza, umysły głębsze, wielcy polityczni myśliciele „widzieli w on dzień powstającą z ruin monarchią euro-„pejską. Tak jest, Pius VII nie uświęcił tym aktem „uzurpacyi ale przywrócił władzę (*ristabilì la Sovranità*), „nie ustanawiał nowéj monarchii, ale odnowił starą i tak „odnowił, żeby mogła służyć za punkt oparcia, za funda-„ment dla wszystkich innych; on niekoronował syna re-„wolucyi, ale narzędzie i namiestnika prawności (vicario „della legitimità)..... Rewolucya głosiła aż do znu-„dzenia i obrzydliwości, że *wszelka władza pochodzi od* „*ludu*, a teraz przez usta swego najwyższego reprezen-„tanta, zbyt mało dbającego *o głosowanie ludu*, nalega „z pewnego rodzaju natręctwem (mniejsza o to w jakiéj „intencyi) *o papiezkie poświęcenie*, a tym aktem protestu-„je w obec tego samego ludu, który uwodziła, protestuje „przeciw swym burzącym naukom i publiczny hołd od-„daje wielkiéj, konserwatywnéj zasadzie porządku, *że* „*wszelka władza pochodzi od Boga*.... Pius VII i Bo-„naparte, baranek i lew, dwaj ludzie dwóch ostateczno-„ści pod względem charakteru, geniusze uczuć, myśli i „działania stają razem jako dwa wielkie wybrane od Bo-„ga narzędzia celem dokonania tego dziwnego odrodze-„nia Europy. Bonaparte podnosi trony a Pius VII w je-„dnym wszystkie poświęca. Bonaparte ogłasza na nowo „władzę, a Pius VII tę władzę godzi ze społecznością. „Bonaparte wraca jéj siłę, Pius wraca jéj powagę, to „jest boski urok, którego siła jest w niéj śmiercią tak „rządzonych jak rządzących. Jeden działa heroizmem ry-„cerstwa, drugi heroizmem świętości swego charakteru „i świętości cnoty. W tém wszystkiém i Bonaparte i Pius „wypowiadają, iż papieztwo jest czém było zawsze, że jest

„*władzą prawdziwie zasadniczą* wszelkiéj innéj władzy“. Tak się wielkiemu mowcy przedstawiły wielkie kontrasta polityczne w czasie, kiedy do podobnych spostrzeżeń stan Francyi i stan Europy bynajmniéj nie zdawał się upoważniać. Ale dla umysłu wyższego, patrzącego na rzeczy pod światłem religii, stan istniejący nie stanowi jeszcze ostatniej instancyi, ani najpewniejszego próbierza do sądu o rzeczach; on wśród chaosu sprzecznych widzeń, sprzecznych chęci, nadziei i wniosków nie szuka arcymyśli wielkich zdarzeń, ani się kieruje sądem opinii zbyt jeszcze bliskiéj owych zdarzeń, ażeby mogła być wolną od wpływów namiętności; on oparty na zasadach boskiéj łaski, wychodzi najprzód z odwiecznych wszech rzeczy syntezy, którą jest Bóg, a zstępując po różnych stopniach krzyżujących potęg i zdarzeń, wskazuje analitycznie współczesnéj i potomnéj społeczności, jak na dnie wszystkiego tkwi jedna, niezmienna i opatrzna wola Twórcy człowieka i Twórcy wszechspołeczeństwa. Tym sposobem mowca staje się nauczycielem i pocieszycielem spółczesnym, nauczycielem, bo ludzie potrzebują, ażeby im wciąż przypominać, zkąd tryska źródło światła, moralności i szczęścia, czyli jedném słowem prawdziwéj cywilizacyi społecznéj; pocieszycielem, bo wśród rozpaczliwego obrazu szaleństw, nędzy i nikczemności, napełniających życie narodów, umysł i serce ludzkie potrzebują jakowejś wielkiéj i rzeczywistéj pociechy, któréj nic innego dać nie może krom rozważania woli boskiéj kierującéj zdarzeniami, i prowadzących wśród nich ludy i ludzi do wytkniętych im przeznaczeń. O. Ventura jest niezawodnie pod tym względem jednym z najznakomitszych tegoczesnych myślicieli; trudnoby było lepiéj schwycić i przedstawić charakter chrześciańskiéj polityki. Jego wymowa porywa myśl i nadawa zarazem dojrzałość i polot, bo się téż sama wzbija na skrzydłach religijnéj wielkości i chrześciańskiéj wolno-

ści; pierwszéj mieliśmy próbkę w ustępach mowy na cześć Piusa VII, druga wionie z każdego zdania mowy pogrzebowéj, na cześć Daniela O'Conela.

Mowie téj wielu wiele zarzucało, ale cenzura rzymska zamknęła usta surowym krytykom, gdy ją pozwoliła ogłosić drukiem tak, jak była powiedzianą. Prezes cenzury X. Buttaoni, który z najgłębszą znajomością rzeczy dawnych łączy gruntowną znajomość i wyborne uczucie rzeczy nowych, odsyłając ją O. Venturze wraz z pozwoleniem na jej druk, przesłał mu nader pochlebny list w tych słowach: „Jak z wielkiem upodobaniem potwierdziłem błogosławieństwo ostatniego twego kazania u ś. Piotra, nieuważając zgoła na uprzedzenie niektórych, albo zbyt ograniczonych, albo gorliwych źle zrozumianą gorliwością; tak jeszcze z większém upodobaniem potwierdzam tę mowę pogrzebową na cześć sławnego O'Connella, bo mam ją nietylko za najwymowniejszą, ale nadto za zdolną do sprostowania wielu wyobrażeń i mogącą wiele dobrego sprawić (ed a fare un gran bene)".

W saméj istocie w mowie téj, która na zawsze zajmie chlubne miejsce wśród arcydzieł katolickich, Ventura podjąwszy najważniejsze kwestye religijne w odniesieniu do stosunków społecznych i kwestye społeczne w odniesieniu do najwyższych ludzkich przeznaczeń, przedstawia je z Bosuetowską potęgą, ale razem z taką świeżością i życiem, że od pierwszéj do ostatniéj stronnicy czuć w niéj to, co obecnie nurtuje w życiu indywiduów i w życiu narodów, a co się tylko przez usta prawdziwego geniuszu mogło wypowiedzieć. Mowa ta ogarnąwszy wszystko, wszystkiemu poradziła, a jakkolwiek dwoma zawodami powiedziana i oba razy po dwie godziny, słuchana była przecież z niewypowiedzianem zajęciem i nieraz przerywana oklaskiem, któremu surowe protestacye mowcy tamy położyć nie mogły.

Mając mówić ile O'Connell zrobił dla religijnéj i cywilnéj wolności ludu Irlandzkiego, rozpoczyna odpowiedzią na zapytanie co to jest lud?

„Najwięcéj używaném i najsmutniéj nadużytém jest słowo *Lud*. Nazywano ludem albo zgraję łotrów, albo sektę fanatyków, albo frakcye wichrzycieli. Nazywano także *ludem* jednego ambitnego egoistę, trybuna, konsula, dyktatora. Nazywano *ludem* hańbę, wyrzutka, nienawiść, ohydę i tyrana ludu. Tak jak niestety! interes kilku nazywano interesem ludu; wolą ludu, szaleństwo lub kaprys jednego, a wolnością ludu jego uciemiężenie. Takie fałszowanie bywa skutkiem hypokryzyi i złości, ale często téż błędu i głupoty. O! iluż rozumiejąc, że pracują dla szczęścia ludu wypracowali mu zgubę! Dla czego? Bo ludzie owi nie szukali w prawdziwéj religii miary sprawiedliwości do działania w sprawie ludu, w sprawie chrześcijańskiéj wolności: *Bo nie kładli Boga przed oczyma swemi* (Ps. 53). A bez Boga nie można być przyjacielem ludu, nie można pod żadnym względem polepszyć stanu człowieka!“

Chcąc powiedzieć daléj jak sam Bóg przygotowywuje ludzi zdolnych zrozumieć tę wielką kwestyę i w widokach szczęścia ludu, tak się wyraża:

„Bóg ma szczególne staranie o ludziach, których do wielkich dzieł wybrał. On ich sam kształci według widoków swojéj Opatrzności przez położenie, w którém ich stawia, przez ludzi których im nastręcza, przez wypadki, których świadkami ich czyni i więcéj jak ich rodzice w pewien sposób sam ich wychowuje. Téj opieki doznał O'Connel. Postawiony na ziemi francuzkiéj w krwawéj epoce rewolucyi, patrzał na ten okropny dramat, w którym wystąpiły na scenę wszystkie szaleństwa sprzymierzone z wszystkiemi zbrodniami.... Widział na własne oczy monarchią zmuszoną do spodlenia się i zadania sobie własną ręką ciosu śmierci; widział tron najprzód

zbryzgany błotem przez niecnych dworaków a potém ręką ojcobójczą we krwi zatopiony; widział najlepszego z królów umierającego na rusztowaniu, ofiarę niemniéj obcych zbrodni, jak własnych słabości; widział grzech nazwany cnotą, zbrodnię ogłoszoną za moralność, ateizm postawiony na ołtarzu; widział boginię rozumu uczczoną tysiącami ofiar krwi ludzkiéj; widział lud dziesiątkowany, uciśniony przez podłych tyranów w imieniu wolności a naród ze wszystkich najoświeceńszy widział strąconym aż do ostatnich bezbożności i barbarzyństwa otchłani!

„Bóg to zrządził, a zrządził dla tego, aby młody O'Connel był świadkiem tych najgłośniejszych i najsilniéj uczących w historyi wypadków, aby go natchnął wstrętem do zgiełków i buntów. Bóg go tym sposobem nauczył, iż niema nic głupszego i nic zgubniejszego jak ogłaszać prawa człowieka depcząc prawo Boże, budować wolność na gruzach Religii, stanowić prawa dyktowane przez namiętności pod natchnieniem świętokradztwa — nauczył go, że dla odrodzenia ludu Religia jest wszystkiém a filozofia niczém, a tém samém ukształcił go do wzniosłéj nauki społecznéj ściśle strzegącéj porządku, sprzyjającéj prawdziwéj wolności, która też zawsze była duszą jego zamiarów, prawidłem jego działań, siłą walk i zwycięstw sprężyną.“

O obłudnéj antykatolickiéj wolności tak mówi:

„Historya naszego wieku napisana jest w historyi wieku XVIgo. Ludzie wszelkich zdolności i wszelkich niecności z wyrazem *Reforma* w ustach zawichrzyli w ówczas świat chrześcijański; ludzie podobnego piętna za dni naszych z wyrazem *wolności* na ustach wzburzyli świat polityczny. Jakże więc? Możesz to być, aby geniuszowi złego uosobionemu w jakimś człowieku dano było wzruszać i zakłócać światem podług upodobania i ciągnąć go w otchłań buntu i herezyi? Nie, niepodo-

bna! Hereziarchy XVIgo wieku tak się obłudnie powoływali na *Reformę*, jak się obłudnie dzisiaj po za prawdą powołują wichrzyciele spokojności powszechnéj na *Wolność*. Jak w ustach tamtych *Reforma*, tak w tych ustach *Wolność* jest tylko pozorem, przywłaszczeniem, kłamstwem. Temi uroczemi słowy tamci chcieli rozsadzić Kościół, a ci chcą potargać węzły, któremi ludzi ten Kościół zespolił. Jedni i drudzy zostawili po sobie tylko gruzy i zniszczenie, a stawszy się panami pobojowiska, pierwsi okazali się najbezbożniejszymi chrześcijanami, a drudzy despotami najokrutniejszymi".

Obok dwóch kazań, w których Ventura przedstawił stosunek religii do polityki oraz do najżywotniejszych instytucyj społecznych, równie się znakomitym ukazał w mowie pogrzebowéj nad zwłokami słynnego matematyka i profesora w uniwersytecie królewskim w Neapolu *Mikołaja Fergola*, w któréj znowu rozwinął po mistrzowsku *stosunek religii do umiejętności w ogóle a w szczególe do matematyki* [14]). Opowiadając życie i prace uczonego a razem pobożnego i prawie *in odore sanctitatis* zmarłego profesora, podnosi umysły słuchaczy i czytelników do wyższych a pełnych prawdy spostrzeżeń o przymierzu umiejętności z pobożnością, o smutnym kierunku filozofii nowożytnéj zniewalającéj człowieka do wyzucia się z religii w uczonych a nadewszystko w ściśle umiejętnych poszukiwaniach, jakoby religia miała mieć tylko swe zastósowanie w stanie niedozwalającym rozwijać ducha na drodze umiejętności, jak gdyby ona miała być tylko udziałem ciemnoty i słabości. Za dni naszych nie można powiedzieć, żeby pod tym względem nie było jakiegoś *na dobre* postępu, wszakże po krwawych naukach, jakie społeczeństwo odebrało i odbiera jeszcze z powodu antyreligijnéj organizacyi nauczycielstwa po

---

[14]) *Elogio Funebre del Professore Niccola Fergola.*

szkołach i uniwersytetach, postęp ten nie jest taki, żebyśmy się mieli nim cieszyć i wielkie sobie z niego obiecywać skutki. Wpływ religii na umiejętności jeszcze jest bardzo słaby, blady, letni, nie do pochwycenia. Nikczemne schlebianie duchowi czasu i opinii publicznéj tém gorsze, tém niebezpieczniejsze pod tym względem u nas, gdzie się nadzwyczaj mała liczba umysłów do głębszych badań usposabia i gdzie powierzchowność w wychowaniu i w umiejętnościach tak wielką rolę odgrywa. Umysły raz rozwiedzione z prawdą religijną na drodze nauki, nadzwyczaj trudno do niéj wracają kiedy punktem do którego doszły jest tylko *mierność*. Mierność w nauce a tem bardziéj powierzchowność najuporczywiéj odpychają wpływy religijne i jak strachu lękają się każdego uznania na rzecz religii, oglądając się zawsze na to, co trzyma on duch czasu, prawdziwy strach na umysły miałkie i jak stoi opinia, będąca u nas zwykle stekiem przestarzałych, obcych szaleństw. Gdyby się zresztą radzono prawdziwego ducha czasu objawiającego się na Zachodzie przez dzieła wielkich znakomitości pod względem nauki, przez dzieła oddające coraz jawniejsze świadectwo Katolicyzmowi, gdyby się oglądano na stopień opinii tam, gdzie ona jest i gdzie razem jako próbierz i jako czynnik społeczny właśnie umysły wyższe zwraca ku religii i zniewala do szukania i przedstawienia jéj stosunków do umiejętności, w tenczas niebyłoby to bez korzyści, ale o tem niema mowy. Na takie przedstawienia gotowa odpowiedź, że to obce, a nam trzeba być samodzielnymi. Smutna zaiste samodzielność polegająca na wiecznem powtarzaniu oklepanych formuł wolteryańskich. Ależ dobre przejmować niebyłoby ani złę, nam zwłaszcza, którzy w gorączkowem przyjmowaniu obcych niedorzeczeństw wcale inaczéj objawiamy nasze zdanie. Zapatrując się naprzykład na ducha badań geologicznych wstydzono by się prze-

cie czynić jeszcze dziś zarzuty Biblii od Bóg wie jak dawna zbite i zaledwie znajdujące miejsce gdzieś w szarym końcu objekcyj niezliczone razy przez samych studentów rozwięzywanych. Toż samo co do badań historycznych; naprzykład o początku rodu ludzkiego, w którój to kwestyi tak się jeszcze często uwijają zdania, z jakichby się gdzieindziéj ośmioletnie dzieci śmiały. A co mówić o wszelkich punktach zetknięcia dziejów świeckich z kościelnemi. Jak się jeszcze panowie professorowie i pisarze entuzyazmują w swem oburzeuiu, jak rzucają w oczy Kościołowi i religii świętą inkwizycyę, jak się nieposiadają w gniewie przeciw tyranii Papieżów i to wszystko w imie postępu ani się domyślając, że ich od postępu przedziela to wszystko co od lat pięćdziesięciu napisano, dowiedziono, a co dla nich jest jak najkompletniéj *terra incognita*. Zresztą pomijając owe uczoności wyraźnie atakujące, które bądź co bądź śmieszą już dzisiaj lub rażą, jakby śmieszyły owe postacie zeszłowieczne w sztacklaydach i perukach, lub jakby raziły widma skarłowaciałych Dalambertów i Helwecyuszów, wyznajemy, iż się daleko więcéj obawiamy owych suchych uczonych, którzy niby ze względu na ścisłość, w wykładach swoich unikają wszelkiego zetknięcia z religią, tak jakby umiejętności przez nich wykładane żadnego niemiały związku z życiem wewnętrznym i żadnego odniesienia do najwyższych człowieka przeznaczeń. A przecież, jeżeli to są umiejętności mające jakoweś zastósowanie do życia społecznego i społecznych potrzeb, toć niepodobna, aby niewpływały na pojęcia, stanowiące tło życia umysłowego społecznego, to jest właśnie na pojęcia religijne. Z drugiéj strony Religia jest życiem umiejętności, ona wszystkie w jednę całość wiąże, a im je silniéj wiąże, tem je wyżéj wznosi, tem je pożyteczniejszemi czyni. Gdy więc ona z żywego wieńca umiejętności wydarta, wówczas pozostają wprawdzie formuły i metody, przybędą

nawet może pewne fakta nowe, pewne odkrycia, teorye, ale wpływ ich zbawienny na spółeczeństwo, albo się całkiem na przeciwne zmieni albo zniknie. Wówczas odkrycia, formuły, teorye, poprowadzą do rezultatów materyalnych, ale nigdy do zastósowań moralnych, albo jeżeli wkroczą w zakres moralnych stosunków, to wbrew przeciw prawom rzeczywistéj moralności i na jéj skażenie lub zupełną zgubę.

Ventura mając właśnie na uwadze ten smutny rozdział umiejętności z religią, temi słowami w obec ciała Uniwersyteckiego rozpoczął.

„Panowie! Dwa rodzaje mądrości rządzą światem i ustawicznie walczą ze sobą o całkowite nad nim panowanie.

„Jedną jest mądrość niebiańska, któréj korzeniem zasadą, normą, pełnością, koroną jest, jak Pismo Święte uczy; Bojaźń Pańska.

„Druga mądrość jest światowa, którą ten apostoł nazywa *ziemską*, bo ona oczu swoich niewznosi do nieba; *zwierzęcą* bo dąży do zezwierzęcenia człowieka cielesnego, bo szuka pomnożenia zmysłowych rozkoszy; *diabelską*, bo przez książęcia ciemności po raz pierwszy wyszła na świat z ciemności na zagubę świata, mądrość straszliwa dla człowieka, bo rozpoczynając od wzbicia go w pychę, kończy zepchnięciem go w nieczystość, w zesromocenie: *Znikczemnieli w myślach swoich i zaćmione jest bezrozumne serce ich.... podał je Bóg pożądliwościom serca ich, ku nieczystości... i powiadając się być mądrymi głupimi się stali;* mądrość nakoniec, którą za to wszystko Bóg dla swego majestatu i swéj chwały upokarza i wstydem okrywa a jako poprzysiągł w swym gniewie, podoba sobie w jéj ustawiczném odrzucaniu i niweczeniu: *Zagubię mądrość mądrych a roztropność roztropnych odrzucę* (1, Cor. 1, 19).“ Czy dla tego prawdziwą mądrość religia odrzuca, potępia? Nie, Pismo święte

mówi z tem oburzeniem o mądrości, która odpychając i wstydząc się religii sama się tym sposobem odrzuca i potępia. Mowca utrzymuje owszem, że religia prawdziwa mądrość, nawet tę, która celem swym najbliższym ma zadość uczynienie doczesnym potrzebom spółeczeństwa, że religia tę mądrość sama wypielęgnowała, przechowała, uświęciła, ale że ją nieprzyjaciele Chrystyanizmu właśnie przez rozdział z religią zniżyli, zbezużytecznili, zgubną uczynili dla spółeczeństwa. Oto jak tę myśl rozwinął:

„Religia, nie na to nam tylko wyłącznie jest daną aby urządzała nam bezpośrednie stosunki z niebem, ale też i na to, aby zaradzała wszystkim nędzom i słabościom ludzkim, a ponieważ między nędzami i słabościami najsmutniéj ducha ludzkiego zniżającemi, niewiadomość jest jedną z pierwszych, przeto Religia pracuje nad tem, aby ją pokonać i prawą mądrością zastąpić. Ztąd naturalnie do niéj najpierwéj wszelkie nauczycielstwo należy. Nauczaniem Chrystyanizm zakrólował w świecie, nauczaniem bez przerwy od pierwszéj chwili swojego istnienia.... Kiedy nauki i umiejętności uciekały wystraszone szczękiem barbarzyńskiego oręża, Chrystyanizm dał im w swoich świątyniach przytułek. Tu się przechowywało święte ognisko mądrości, ztąd się żywemi zdrojami ku oświeceniu i cywilizacyi narodów rozlały, do tego stopnia, że jest dowiedzione, iż wszelka cywilizacya, która niewyszła z świątyni jest albo żadną, albo fałszywą i niebezpieczną. Wszakże świętokradzkiéj bezczelności zeszłego stólecia niedość było na tém i niewstydziła się spotwarzać Religii, jakoby była przyjaciołką i protektorką ciemnoty, ona! która właśnie na nieprzyjaciół prawdziwéj oświaty rzuca swe przekleństwo mówiąc: *Biada Wam, iżeście wzięli klucz wyrozumienia; samiście nieweśli, a tych którzy wchodzili hamowaliście* (Łuk. XI, 52). Po takiem oskarżeniu w nad-

miarze czarnéj niewdzięczności i szatańskiej pychy oderwała umiejętność od religii i wśród poklasku wrogów katolicyzmu ogłosiła jéj *sekularyzacyą*".

Zstępując potem do szczegółów przedstawia nadużycia i niebezpieczeństwo wielkiéj nauki w geniuszach pozbawionych religii:

„Niewiem, mówi on, skutkiem jakiéj fatalności umysły genialne zwykle są narażone na te smutne przejścia. W nieszczęśliwych naszych czasach nadużycie zdolności tak się stało powszechnem, że prawie co jest przedmiotem umiejętności stało się mieczem przeciw religii i i porządkowi społecznemu. Wiedza jest dzisiaj równie straszliwą jak była w pierwszych chwilach istnienia człowieka; wtenczas ona zgubiła człowieka, a dzisiaj zgubiła społeczność.

„Wszakże między wszystkiemi umiejętnościami, matematyka wzięła najfałszywszy, najfatalniejszy kierunek. W planie walki wystósowanym przez filozofizm przeciw Chrystyanizmowi, matematyka wezwaną była do zajęcia pierwszych stanowisk i do uderzenia najsamprzód. Niebędąc przystępną pospólstwu uważaną była tem samem za najzdolniejszą do przeprowadzenia uknutego spisku, albowiem najłatwiéj mogła oszukać nieświadomość, i podejść łatwowierność. Najprostszy człowiek jest w możności ocenienia siły moralnych dowodów religii. Ale jakże jest mało tych, którzyby mogli sądzić o dokładności rachuby jeometrycznéj. Ekierka i kompas łatwo więc stać się mogły i stały się w saméj rzeczy najniebezpieczniéjszą bronią w rękach bezbożności i pychy. Tym sposobem potargano wszelkiego rodzaju wędzidła, wszystkie rozpasano żądze i uderzono w najświętsze podstawy religii.

„Ah, bo sama tylko religia umie zdolności i niewinnemi i pożytecznemi uczynić. *Ona jest*, jak dobrze powiedział był Bacon, *aromatem, który umiejętności broni od*

*zepsucia.* Bez niéj największe talenta rodzą tylko nierządną i zabójczą dumę, pewną rozwiązłość umysłu, fałszywą miłość wiedzy, która wypala w duszy wszelkie uczucie dobra; pewien szał rozumowania bez końca; pewien zbytek wiadomości próżnych, najszaleńszych poszukiwań, które mnożąc się stopniowo oddalają coraz bardziéj, jak powiada ś. Paweł od poznania i posiadania prawdy: *Semper discentes, nunquam ad scientiam veritatis pervenientes* (Tom III. 7.); pewną rozpustę bezbożności, która pod maską ducha systematycznego tyle zrodziła szaleństw i tyle występków a tem wszystkiem jeszcze się nie nasyciła.

„Jeźli więc wierze i moralności Mikołaja Fergoli nieda się nic z owych smutnych owoców pysznej i nieprzyjaźnéj Bogu umiejętności zarzucić, jeżeli w nim możemy z całą spokojnością wielbić naukę zawsze pożyteczną i zawsze prawdziwą, to on niezawodnie winien owéj oględności na zasady religii; która go nieodstępowała, która mu towarzyszyła wśród uczonych badań i broniła przeciw obłąkaniom tak zwykłym i nieodstępnym od dzieł współczesnych mu wielkich znakomitości.“

„Już bowiem i na naszym horyzoncie ukazały się owe dni bezwstydu i zbrodni, które były zapowiedzią tylu strasznych klęsk; dni, w czasie których umysły niecierpliwiące się pod jarzmem zbawiennych nauk rzuciły się w ślad za mistrzami bezbożności a w skutek potwornéj mieszaniny niedowiarstwa z łatwowiernością i pychy z podłością już się okazywały skłonnemi do porzucenia najwyższych prawd i do rzucenia swéj wiary pod plugawe stopy bluźnierczych systematów i szalonych złudzeń. I niestety! sprawdziło się już co przepowiedział Apostoł narodów: *Albowiem będzie czas, gdy zdrowéj nauki nieścierpią, ale według swoich pożądliwości nagromadzą sobie uczycielów mając świerzbiące uszy. I od prawdy*

*słuchanie odwrócą a ku baśniom się obrócą.* (II. ad Tim. IV, 3.) Widziano w ówczas jak najpiękniejsze geniusze podbite przez ducha błędu odstępując od wiary sprzymierzały się z sługami przepaści, i jak w tym samym czasie pijane dumą, stoczywszy się z drogi prawdziwéj umiejętności, stały się wedle apostoła jako małe, chwiejące się dzieci, porywane każdym wiatrem najzmienniejszych opinij, smutne igrzyska pychy i ciemności.

„Fergola, w tym tak zgubnym i gorszącym stanie rzeczy umiał być wiernym w strzeżeniu drogiego depozytu prawd religijnych. Religia też wczas go nauczyła, co potem bardzo często powtarzał swym uczniom, że Jezus Chrystus nieustanowił społeczności, któraby się zabawiała kłótliwemi dysputami, czczą umiejętnością, badaniami schlebiającemi nieograniczonéj dumie rozumu, ale społeczność, któréjby członkowie przedewszystkiem i we wszystkiem wciąż podbijali swe serca pod posłuszeństwo, a umysły pod słodkie jarzmo wiary poddawali; że skutkiem nieprzejrzanéj głębokości sądów Bożych, świat nie drogą dawnéj wiedzy dochodzi do poznania i umiłowania Boga, ale przez to, co się w jéj oczach zda być największem głupstwem, to jest przez opowiadanie krzyża!

„W tym to albowiem czasie, kiedy Lalande i Laplace, umysły albo zbyt ograniczone, jeźli niewiedzieli, iż jak są różne porządki prawd, tak są różne drogi wiodące do ich poznania; albo serca zbyt występne, jeżeli wiedząc o tem, zaprzeczali onéj zasady; kiedy mówię, tacy ludzie stawiając matematykę jako umiejętność powszechną, jako klucz i fundament wszelkich ludzkich nauk a nawet wszelakich prawd, usiłowali dowieść, iż niema nic pewnego, tylko to co się da sprowadzić do zrównań geometrycznych; kiedy tacy ludzie, w duchu owéj zasady niewiem co więcéj, czy szalonéj czy bluźnierczéj, spychali między przesądy dziecinne dogmata

o Opatrzności, o różnicy między dobrem a złem, o duchowości i nieśmiertelności duszy, jedynie tylko dla tego, że się nie dały dowieść na drodze linii, kątów, łuków i kwadratów; kiedy, nareszcie chcieli wszystko nawet uczucia serca, nawet miłość zalgebraizować, kiedy samo bóstwo brali pod krédę, pod kombinacye linij i liter i kiedy tym sposobem obrzucili umiejętność błotem śmieszności i wzgardy, w tym to właśnie czasie, Fergola, współzawodnik Newtonów, Pascalów, Cassinich, Torricelli'ch nietylko przez samą wysokość i bogactwo swéj wiedzy, ale i przez ich szlachetne użycie, widział prawda i w rozumie ludzkim narzędzie, którego celem jest kierować człowiekiem na ziemi, ale w poznawaniu i badaniu prawd mających odniesienie do wiecznych przeznaczeń, szukał innego kierownika, innéj igły magnesowéj. Uznawał zatem że jest rozum wyższy, doskonalszy, któremu się winien poddać wszelki rozum i posłuszny jego wezwaniu przestawał na poznaniu powodów swéj wiary niekusząc się nigdy zuchwałym wzrokiem swojego rozumu wnikać w niedocieczone jéj tajemnice. I był to zaiste dziwny fenomen w owych czasach widzieć mędrca, który wśród wielkich swego rozumu zdobyczy w chwilach głębokich ściśle umiejętnych badań pozwalał temu rozumowi brać najwznioślejszy polot nawet ku słońcom prawd religijnych, ale mu nigdy nie pozwolił przekraczać granic, przepisanych wiarą, i wzbijając się z całą wolnością ginął w wysokościach wiedzy ale nigdy nie wyszedł z granic pokornéj wiary".

To zdaje się wystarczy czytelnikowi na ocenienie, jaka myśl przewodniczy O. Venturze w tych najtrudniejszych, ale też razem najwznioślejszych kompozycyach wymowy religijnéj, jakim w nich rządzi się duchem, jaką w głównych pomysłach w saméj istocie świeci znakomitością, ale razem jaką w dążności swojéj, o kimkolwiek i o czemkolwiek bądź mówi, jaśnieje miłością

Kościoła i gorliwością dla świętéj sprawy jego. Radzibyśmy bardzo przytoczyć tu jeszcze dwie mowy mogące zająć miejsce obok trzech poprzednich, jednę w któréj przedstawia wzór cnót, działania i gorliwości kapłańskiéj [15]), drugą w któréj maluje poświęcenie świętobliwego zakonnika [16]), ale obawiamy się, czy by to nie było przekroczeniem rozmiarów przeglądowéj rozprawy i nadużywaniem cierpliwości czytelnika, tem bardziéj, że jeszcze mamy przed sobą filozoficzne prace mowcy, o którym piszemy i jego obecne stanowisko we Francyi. Ograniczymy się zatem na tém krótkiem oświadczeniu, iż jak pierwsza z tych mów dowodzi jak najgłębszego przejęcia się kaznodziei świętością powołania kapłańskiego, tak druga jest budującą manifestacyą tego apostolskiego uczucia poświęcenia, którem zda się być zawsze przepełnione serce Teatyna. Mówiąc o kapłanie zajmującym jedno z wyższych stanowisk w Kościele podnosi w nim cnotę, dla któréj ma zawsze najwyższe uwielbienie i którą wtenczas nawet przyświecał, kiedy jak sam wyznaje w wyborze środków pobłądził. Tą cnotą jest miłość Kościoła, bez któréj kapłan niżéj czy wyżéj stojący, jest jak zagasła pochodnia — ta miłość, która sługę bożego czyni boskim, Chrystusowym przyjacielem, a bez któréj jest on tylko sługą świata, sługą własnych i cudzych słabości; ta miłość, która jest źródłem mądrości, dając bodziec do ciągłych nauk i badań, ażeby być gotowym do każdéj walki przeciw świętości i prawom Oblubienicy Pańskiéj; ta miłość,

---

[15]) Lo Specchio dei Sacerdoti, ovvero Elogio funebre di *D. Giuseppe M. Gratiosi*. Teologo Romano e Canonico dell' Arcibasilica Lateranese, recitato di 2 ottobre 1847.

[16]) I disegni della divina Misericordia sopra le Americhe. Panegirico in onore del Martino de Porres, terziario professo dell' ordine de' PP. Predicatori.

która przez ciągłą i żarliwą modlitwę za Kościół, jego powodzenie, jego chwałę, jego tryumf, wyrabia to w duszy kapłana, iż cały żyje Kościołem i w działaniu swoim jest prawdziwą jego reprezentacyą; tą miłość nakoniec, która nigdy nieda odpocząć ale jak ogień trawi sługę bożego w ustawicznych pracach bądź to konfessyonału, bądź ambony, bądź służenia ubogim, bądź nakoniec w powierzonym sobie jakimbądź duchownym urzędzie; która nic niepozwoli przedsiębrać kapłanowi, w czemby niemógł wystąpić jawnie jako kapłan, w czemby był zmuszony kryć swój święty charakter i w czemby sobie niemógł powiedzieć, że ma na myśli i w sercu, co miał boski jego mistrz i co ma zawsze w swoim Kościele.

---

Powiedzieliśmy na początku, iż Ojciec Ventura zaraz w początku swego kaznodziejskiego zawodu zamierzył sobie przeprowadzić nową apologię katolicyzmu razem w imie Chrystusa i w imie rzeczywistego postępu. Jak się wziął do tego i co zrobił, widzieliśmy już przeglądając prace homiletyczne i kazania pogrzebowe. W pierwszych odpowiedział razem i tym którzy przeciw Kościołowi miotają Ewangelią i tym, którzy przeciw Ewangelii miotają zasady naturalnéj moralności i tym którzy przeciw rzeczywistemu Chrystusowi miotają Chrystusów wymarzonych w obałamuconych swych głowach lub w zepsutych sercach i tym wreszcie, którzy przeciw niezaprzeczonym faktom i dowodom z życia Boga-Człowieka stawiają negacye bóstwa albo człowieczeństwa, albo razem i bóstwa i człowieczeństwa. W drugich odpowiedział tym, którzy ze stosunków społecznych chcieliby wyprzeć wszelkie działanie, wszelki wpływ Chrystyanizmu przez Kościół, tym ktorzy społeczeństwo chcąc

mieć całkiem od kościoła niezależne, wprowadzają weń, żywioły pogańskie lub je przerabiają wedle wyrozumowanéj *à priori* ekonomii spółecznéj a raczéj wedle tego, co ciało przeciw duchowi doradza, jednem słowem odpowiedział tym którzy spółeczeństwo emancypują z pod panowania ducha, jakim dla niego był Kościoł, a uznawszy je skończonem i nie tylko mogącem ale nawet winném się rozwijać li tylko w warunkach materyalnych, Kościołowi każą zawisnąć gdzieś w chmurach, lub jako razem niepotrzebny i szkodliwy usiłują zniweczyć a przynajmniéj tak ujarzmić, żeby go raz na zawsze uczynić niezdolnym wszelkiego wpływu i wszelkiego czynu.

Oprócz tych dwóch stanowisk, z których nieprzyjaciele wciąż napadają pełną, żywą, boską, katolicką prawdę mieszkającą wśród ludzi właśnie dla tego, aby wszystko, co jest ludzkie podnieść i uświęcić, zostaje jeszcze stanowisko wprawdzie teoretyczne, ale niemniéj dla tego szkodliwe jak pierwsze, a nawet jako początkujące owe napaści daleko szkodliwsze. Tem stanowiskiem jest filozofia. Ojciec Ventura nie zniszczyć, ale je zdobyć usiłuje. On w filozofii, jak niegdyś Laktancyusz [17]) niewidzi jeszcze mądrości ale *drogę* mogącą ze wzgędu na ludzką słabość daleko łatwiéj doprowadzić do błędu i fałszu, niż do mądrości i prawdy, oraz siłę naturalną udzieloną człowiekowi do rozwijania prawd danych', ale któréj człowiek łatwo użyć może na zaprzeczenie tych prawd, jak w saméj istocie użył i używa. Ojciec Ventura nie występuje przeciw filozofii, ale przeciw jéj nadużyciom, przeciw zdradzie, jakiéj ona, dana na usługę prawdy dopuszcza się przeciw prawdzie.

---

[17]) .... Respondit (Pythagoras) se esse philosophum, id est quaesitorem sapientiae. Si ergo philosophia sapientiam quaerit nec ipsa est sapientia. (*Divin. Instit. Lib. III. cap. II.*),

Filozofię tak nadużytą i zdradzającą chrześciańską prawdę, nazywa filozofią pogańską, filozofią rozumu rozwiedzionego z wiarą, albo *rozumem filozoficznym* i występuje przeciwko niéj w imie filozofii prawdziwéj, w imie *rozumu katolickiego* czyli powszechnego, to jest rozumu nie tego lub owego filozofa, ale rozumu całego ludzkiego rodzaju, podniesionego i ustalonego w posiadaniu prawdy przez objawienie.

Zobaczymy jak się z tego zdania wywiązał.

*(Dokończenie w przyszłym numerze.)*

X. Zygmunt Golian.

# SPALENIE
# ZAMKU TĘCZYŃSKIEGO.

## Obrazek historyczny.

---

W bieżącym roku dwieście lat upływa, jak zamek Tęczyński do najokazalszych w Polsce liczony, gniazdo i grób jednéj z najznakomitszych rodzin naszych, został zrabowanym spalonym i ruinami swemi pomnożył te nieprzeliczone ruiny, na których wypisana przeszłość nasza.

W dwóchsetną rocznicę pogrzebu jego świetności, wiodę cię do tych zwalisk, pragnąc tam opowiadaniem mojem odbudować z pozostałéj zaspy gruzów, dawne warowne mury, baszty i okazałe komnaty, a wspomnieniami które do dziś przetrwały wskrzesić ci dawnych mieszkańców i pamięć ich cnót dla twéj nauki i chluby.

Słuchaj i dowiedz się, że przed dwoma wiekami górę tę, na któréj w początku czternastego wieku Nawój Ka-

sztelan Krakowski wybudował zamek, Tęczynem zwany; okrywały od północy ogrody i winnice zajmujące całą jéj pochyłość, a droga wijąca się między temi rozkosznemi ogrodami wiodła do bramy zamkowéj.

Do téj bramy w ostatnich dniach października roku 1655 przybył wysłannik od wojska szwedzkiego które po opanowaniu Krakowa rzuciwszy się w jego okolicach na włości i grody, przyciągło do Tęczyńskiego zamku pod wodzą Koenigsmarka syna jednego z głównych dowódzców szwedzkich. Wysłannik ten zażądał poddania zamku, lecz dowódzca jego załogi Jan Dżiuli kapitan piechoty, dał odpowiedź: że o zamek Lubomierskiego marszałka W. koronnego darmo się król Szwedzki kusi, bo pan jego raz królowi Kazimierzowi przysiągłszy, jako wolnemi głosami obranemu, nikomu innemu zamków swych nie otwiera.

Po téj odpowiedzi, podstąpiły wojska szwedzkie pod warowne mury, które wraz z pięciu basztami wzniósł Jan z Tęczyna kasztelan Wojnicki zmarły roku 1593, i pokusiły się o zdobycie zamku. Nieliczna jego załoga stawia im mężny odpór, ale pomimo tego Szwedzi zdobywaja północną bramę i drugą od zachodu położoną, pomiędzy dwoma murami ubezpieczonemi w strzelnice, dostają się pod wieżę kwadratową, najwyższą, przez którą wchód był na dziedziniec. Lecz wchodu tego zdobyć nie mogą, a równocześnie przyjęci strzałami z wieży i z dwóch stron z po za muru, do cofnięcia się zmuszeni zostali.

Po tak odpartym szturmie śle znów Koenigsmark parlamentarza z oświadczeniem, że serce jego powodowane jedynie litością skłoniło go do cofnięcia wojska, aby uniknąć mordów, od których nie byłby w stanie powstrzymać swych żołnierzy, gdyby zdobyto szturmem zamek. Nie tak wiara w te kłamliwe słowa, jak przekonanie iż jeden jeszcze taki szturm a zamek przemocy

ulegnie, nakłoniło kapitana Dżiuli do oznajmienia, iż gotów się poddać, jeżeli przyrzekną wolność osobom i ochronienie od grabieży i zniszczenia tego co się w zamku znajduje. Warunki przyjęto, lecz po wejściu wojsk szwedzkich na zamek, jak wszędzie tak i tu skalali się wiarołomstwem najezdzcy. Zaczęto od rozbrojenia załogi i wtrącenia jéj do więziennych lochów pod wieżą okrągłą, która stała przy bramie zamkowéj. Potem wzięto się do rabowania zamku. Sam Koenigsmark z kilku oficerami pierwszy dostaje się do tych sal i komnat, które położone po prawéj ręce wchodząc do zamku, były przybrane nietylko okazale ale i bogato; i tu jedne rzeczy niszczy, drugie zabiera a w liczbie tych zegar niemały złocisty, bardzo misterny, brzmiący graniem, trąbieniem i bębny, a który wielce ceniono, już jako kosztowny, już też jako pamiątkę, gdyż jeszcze Zygmunt I obdarzył nim Jędrzeja Tęczyńskiego Wojewodę Krakowskiego. Niedość Szwedowi na tych zdobyczach, dostaje się do położonéj w téj stronie zamku kaplicy i świętokracką ręką obdziera ją z naczyń i aparatów, a z obrazu świętego Andrzeja, którego Tęczyńscy za patrona swéj rodziny mieli, zabiera złote ramy wysadzane drogiemi kamieniami.

Kiedy tak starszyzna tu rabowała, rabowali także żołnierze w lewéj stronie zamku, gdzie były mieszkania dworzan, kuchnie i łaźnia, a niepoprzestając na tém co znaleźli, wzięli się i do ludzi, obdzierając ich prawie do koszul, przy czém kilku raniono, dwóch zabito, a kobiety shańbiono.

Lecz gdy wśród tego rabunku niewynaleziono skarbów, które znaleźć spodziewał się Koenigsmark, wiedząc, że król Kazimierz opuszczając Kraków skarbiec koronny oddał Lubomirskiemu, m. w. k. do przechowania, ten go zaś wywiózł z Krakowa, przeto zajął się badaniem o niego, to samego dowódzcę Dżiuli, to jego

podwładnych, od których po skatowaniu ich dowiedział się tyle tylko, że o skarbach przywiezionych z Krakowa niewiedzą. Jest w prawdzie w lewéj stronie zamku niedaleko wielkiéj sali sień, a z niéj drzwi do tak zwanéj ciemnéj izby, służącéj za skarbiec zamkowy, ale i w nim nic niema jak im wiadomo. Niewiedząc Koenigsmark, że drzwi do téj ciemnéj izby już przez jego żołnierzy wybite zostały, zapytał się kto ma klucz od nich, a gdy mu powiedziano że niejaka pana Zalewska, kazał ją wyszukać i przywieźć przed siebie. Przyniesiono ją, gdyż sama iść niemogła. Przeszło stuletnia ta staruszka była jeszcze na rezydencyi u Agnieszki z Tęczyna Firlejowéj, wojewodziny krakowskiéj i od niéj wielce poważana jako siostra cioteczna kardynała Hozjusza po bracie matki jego.

Staruszka ta niemal jak święta szanowana, oświadczyła, że niewiadomo jéj gdzieby się podziały klucze, albowiem żołnierze rabujący zabrali jéj wszystko z izby, ją samą odarli i na gołéj ziemi zostawili, lecz kiedy ją tu niesiono, widziała że izba stała otworem, ale nie było co z niéj zabierać, bo całkiem była pustą. Co usłyszawszy Koenigsmark, nagli staruszkę do zeznania gdzie są skarby, a gdy ta odpowiedziała: „Niewiem“, dał jéj policzek, mówiąc:

— „Już ta stara czarownica wyśpiewa mi o nich, choćby konającym głosem!“

— Jakto? mnie śmiał kto uderzyć? — zawołała Zalewska niedowierzając saméj sobie, że ją taka zniewaga spotkała, a po chwili jakby nowych przybyło jéj sił, zerwała się z krzesła na którem ją posadzono, i stąnąwszy przed dowódzcą szweezkim, rzekła głosem obrazy i żalu:

— Tyś śmiał uderzyć mnie starą niewiastę i patrycyuszkę krakowską! to choćbym ja ci przebaczyła, Bóg nieprzebaczy i powiadam ci, że umrzesz młodo, bo Bóg niedarzy starością tych którzy starości nieuszanowali.

To rzekłszy padła osłabiona na ziemię, a kiedy Koenigsmarkowi wytłómaczono jéj słowa, kopnął ją ów heretyk nogą, mówiąc:

— Wtrącić do więzienia to ścierwo prorokini katolickiéj, i oznajmić jéj że dopóty ani jeść ani pić nie dostanie, dpóki nie powie, gdzie ukryte są skarby.

Wykonali ten rozkaz posłuszni zołnierze, a rozpatrzywszy się już poprzednio w zamku wiedziano gdzie obrać dla niéj więzienie; osadzono ją zatem we wieży w końcu dziedzińca zwanej „Dorotka“, w któréj jak upewniało podanie, jedna dziewica z rodu Tęczyńskich ukaraną była śmiercią za jakieś przewinienie.

Tegoż jeszcze dnia po północy Koenigsmark wybiega na dziedziniec zamkowy i każe straży poprowadzić się do owéj wieży. Skoro ciemny loch rozwidnił się zapalonem łuczywem, dowódzca szwedzki ujrzał klęczącą Zalewską z głową opartą o ścianę, a tak nieruchomą jakby postać z kamienia wykuta. Jeden z żołnieży ujął ją za ramię i wstrząsnął, lecz poznawszy że to trup stężały, uczuł jakiś nieznany przestrach i głosem drżącym od trwogi zawołał: To trup skośniały!

I tak też było. Bóg się ulitował i ochronił staruszkę od cierpień głodowéj śmierci. Lecz miłosierny On dla prześladowanych i cierpiących a surowy dla występnych i okrutnych; to też czas kary rozpoczął się dla Koenigsmarka ze śmiercią ofiary téj zamęczonéj przez niego.

Sen przez resztę nocy niezamknął już jego powiek; widziano go aż do świtu w oknie siedzącego. Rano zaś gdy wszedł z raportem oficer służbowy, zerwał się z siedzenia i zawołał: „Czyliż cię zawsze i wszędzie widzieć muszę! Precz, precz odemnie!“ — Zmieszało przybyłego takie przyjęcie, lecz zwolna zbliża się do dowódzcy chcąc o znaczenie tych słów zapytać, ale Koenigsmark odpycha go i wybiega na dziedziniec zamkowy, woła-

jąc: „Ratnnku! ratunku!“ — głosem tak okropnym iż go powtórzyły echa sąsiednich gór, wołając za nim: „ratunku, ratunku!“

W kilku minutach Koenigsmark otoczony był prawie całą załogą zamku. Każdy pytał co się stało, a on milczał, wodząc do koła oczyma, w których się malowała cała dzikość obłąkanego umysłu.

— „On oszalał!“ zawołał jeden z oficerów, a za nim powtórzyli inni, i po krótkiéj naradzie, postąpiono z nim sobie jak tego nakazywała ostrożność i stan człowieka, który temu nieszczęśliwemu losowi ulegnie.

Do Krakowa ślą o tem wiadomość, która wielce zmartwiła ówczesnego komendanta wojsk Szwedzkich, feldmarszałka hrabię Alfreda Wittenberga, który dla ojca Koenigsmarka był z wielkiem poważaniem i przyjaźnią. Niemając w lekarzach wojskowych najmniejszego zaufania, wywiaduje się o najlepszego doktora krakowskiego, a gdy powszechna opinia wskazała mu takiego w osobie Wawrzyńca Smieszkowicza profesora akademii i po kilkakrotnie jéj Rektora, sam jenerał udaje się do niego z prośbą aby jechał na Tęczyn. Litościwe serce lekarza, którego pamięć została we fundowanéj przez niego Bursie dla młodzieży szkolnéj, uległo prożbom.

Za przybyciem na Tęczyn gdy lekarz chorego wybadał, upewnił, że nie jest to pomieszanie zmysłów, lecz umysł jego zostaje pod wpływem jakiegoś nadzwyczajnego wrażenia, które tak silnie na niego działa, iż popadł w stan gorączkowy, z którego wyprowadzić go ma nadzieję, jeżeli zdoła wygładzić mu w pamięci wspomnienie tych wrażeń. Potrzebuje więc przedewszystkiem dowiedzieć co się wydarzyło i czego się chory tak lęka, iż zakrywając swe oczy woła nieustannie: „Znowu ją widzę! Znowu mię napomina!“

Opowiedziano mu wydarzenie zaszłe z Zalewską, co taką zgrozą lekarza przejęło, iż niemógł się powstrzy-

mać, i rzekł do towarzyszy chorego: „Obowiązek każe mi ratować życie tego człowieka, ale sumienie woła na mnie: jego zbrodnia bezkarnie ujść nie powinna. Jednemu i drugiemu uczynię zadosyć, bądźcie tego pewni.“

Doktór Śmieszkowicz niemógł się wszelako dowiedzieć kogo się chory tak lęka, różne bowiem były domniemania w tym względzie co słysząc stary klucznik zamkowy, którego nazwisko czas zagrzebał w niepamięci, tak to wyjaśnił. O nazwisko ież jego mniejsza, bo naucza stare nasze przysłowie: *Cnota w czynieniu, nie zaś w imieniu.*

— Niemało lat na usługach w tym zamku spędziłem. Tu moje ręce otwarły grób dla Jana Tęczyńskiego wojewody krakowskiego, w którym złożyliśmy ostatniego potomka tego zasłużonego Polscc rodu. Ale niepogrzebaliśmy z nim wraz domowego ducha rodziny Tęczyńskich, który od wieków pojawiał się tu każdego razu, ilekroć jakie nieszczęście miało spotkać tę rodzinę lub ten zamek. Znam ja go dobrze, gdyż nieraz własnemi oczyma przyjrzałem mu się, jak okryty białym płaszczem, stawał na jednéj z wież zamkowych, albo przesuwał się po warownych murach. I tu na tym dziedzińcu spotkałem go także kiedy nasz panicz młody wybierał się na gody ślubne z Cecylią królewną Szwedzką a duch spieszył się do ojca pana młodego aby mu przepowiedzieć śmierć syna.

Tego to ducha minionéj nocy widziałem! Spostrzegłem go w tym kącie gdzie oto jest łazienka. Wszedł potem do Dorotki, zkąd po chwili wyszedłszy, dążył posuwistym krokiem mijając kaplicę, do komnat jéj dotykających a zajętych dziś przez oficerów szwedzkich. W krótce potem gdym zobaczył jak z tego skrzydła zamku wybiegł na dziedziniec jeden z oficerów, pomyślałem sobie: jego to zapewne duch ten nawiedził. Biada mu, jeżeli złym jest człowiekiem, bo gdy się ta-

kiemu ukaże, to go już choroba i nieszczęście nieminą i w grób wtrącą!

— Mądry wprzód nim uwierzy prawdy doczeka — odezwał się doktor Śmieszkowicz — ale czyli tak czyli nie, wywieźć dowódzcę z tego zamku potrzeba, bo tu wszystko przypominać mu będzie popełnioną zbrodnię. Co też niebawem uczyniono.

Młody Koenigsmark, po cało miesięcznych w Krakowie staraniach doktora, powrócił wreszcie do zdrowia, tylko że na jego twarzy pozostał wyraz smutku wykrywający zgryzotę wewnętrzną.

Lecz doktor Śmieszkowicz dopełnił także i drugiéj części danéj w Tęczynie obietnicy i zaraz po swem przybyciu do Krakowa przesłał królowi Szwedzkiemu Gustawowi opis zdarzenia zaszłego w Tęczynie, z prożbą o wymiar sprawiedliwości za popełnione tamże gwałty przez Koenigsmarka. A że to było wtedy, kiedy jeszcze król Szwedzki łagodnością i sprawiedliwością tudzież karnością wojsk swoich przynęcał do siebie Polaków, więc jak tylko Koenigsmark odzyskał zdrowie, oddany został pod sąd wojenny.

Niech zawiadomią o dalszym jego losie słowa wyjęte z dawnego rękopismu pod tytułem: *O szwedzkich z królem IMcią y koroną Polską postępkach z roku 1665.*

„Więc on *ferox Juvenis in anti-Camera Regia* podczas tego sądu uderzył auditora t. j. sędziego wojskowego w gębę y do broni się nań porwał, za co był w areszcie aż do wieści o narodzonym synu królewskim, którą przyniesiono królowi pod Królewiec idącemu we wsi *Malgienfeldzie in Prusia Ducatu*, na tydzień przed Bożem Narodzeniem; tam jego darowano gardłem *in gratiam Principis nati*, ale nie mal sejmowano bo go nietylko regimentu ale y żołnierstwa w wojsku odsądzono y bandizowano *ex omnib. Regiis et Regni Sueciae ditionibus.* Zaczem i ten młody Kimzmark (Koenigsmark) od-

mienił habit niemiecki na polski y tak jechał do ojca swego, który powiadają na tę wojnę pożyczył królowi Szwedzkiemu więcéj niż miliona.“

Do téj wiadomości o Koenigsmarku dodam jeszcze, że Kochowski opisujący te czasy powiada, iż tenże uchodząc przed ścigającemi go Polakami na przeprawie przez Wisłę pod Kwidzynem utonął. Do świadectwa dwóch powyższych pisarzy odwołałem się, aby przekonać iż na Koenigsmarku sprawdziło się co mu przepowiedziała Zaleska i co oznajmił był stary klucznik o skutkach pokazania się złemu człowiekowi, ducha rodu Tęczyńskich.

A teraz wracajmyż znów na Tęczyński zamek w którym szwedzkiego rabunku niepowstrzymała ani wytoczona sprawa Koenigsmarkowi, ani doznane przez niego nieszczęścia. Dziesięciomiesięczna ich gospodarka w zamku uprzątnęła z niego wszystko co przez ciąg półczwarto-wiekowego bytu swego nazbierało się ze szczodréj hojności zamożnych panów. Stał Tenczyński zamek obdarty i złupiony, a sieroctwo po cnotliwych i pobożnych dawnych jego mieszkańcach było tem boleśniejsze iż zostawał w mocy ludzi bez czci i wiary. Znany nam już tylko stary klucznik nieopuszczał zamku choć mu serce z żalu i rozpaczy pękało, na widok takiéj przemiany. Ale te cierpienia znośniejszemi dla niego były od tych jakich doznawał na samą myśl, porzucenia téj kolebki i grobu dawnych swych panów.

Kiedy wiarą ożywione a zgodą zjednoczone serca narodu skłoniły się do zawiązania Konfederacyi Tyszowieckiéj i zaczęto wieść wojnę partyzancką z nieprzyjacielem, wtedy rozpoczęła się ona i około Krakowa z końcem Maja 1656 roku, a wystąpili w niéj w pole na czele swych oddziałów, Franciszek Dębiński, Michał Zebrzydowski i Jerzy Lubomirski.

O ostatnim kiedy się dowiedziano w Tęczynie, załoga tego zamku mniemała, że się on naprzód pokusi odzyskać tę swoją własność i że ukarze ją za popełnione gwałty i rabunki. Kto w powodzeniu ciemięzcą, temu gdy nadejdą dni obawy, tchórzostwo zaćmi oczy i serce osiodła. Załoga Tęczyna posunęła tę swoję lękliwość tak daleko, że pobyt takiego starca jakim był klucznik, budził w niéj niepewność; kazano mu przeto wynieść się ze zamku. Błagał ich starzec aby go raczéj na miejscu zabito, a nie wyrzucano ze zamku. Musiał bardzo o to prosić kiedy w sercach ich obudził litość. Ale u takich ludzi sama nawet litość ma w sobie coś ze srogości: pozwolono mu bowiem pozostać w zamku lecz pod warunkiem zamknięcia w jednéj z wież. Przystał i na to starzec tylko prosił aby tém więzieniem była dla niego kaplica zamkowa iżby mógł w niéj jak ślubował, modlić się codziennie za dusze dawnych swych panów.

Zamknęli starego klucznika w kaplicy, śmiejący się z tego przesądu lutrzy; lecz wielką mu właśnie wyrządzili przsługę, bo on w tem swojem więzieniu, stokroć był szczęśliwszym niż gdyby był z bliska przyglądał się gospodarowaniu nieprzyjaciół kraju, bo w domu Bożym człowiek modlitwą zbywa się ziemskich trosk i niepokoi; gdy tymczasem te plagi boskie, dręczyły Szwedów z każdym dniem coraz więcéj, z każdym albowiem dniem dochodziły ich nowe i zastraszające wiadomości o powodzeniu oręża polskiego.

Tak minął czerwiec i połowa lipca, kiedy w dniu ś. Szymona z Lipnicy załoga Tęczyna odbiera od gubernatora Krakowa Pawła Wirtza rozkaz bezzwłocznego opuszczenia zamku i albo dostania się do Krakowa albo połączenia się z wojskiem szwedzkiem które po za Wisłą pomiędzy Tyńcem i Lanckoroną zbiera się aby dać odpór nadciągającemu wojsku polskiemu pod Michałem

Zebrzydowskim. Kończył się zaś ten rozkaz jak wszystkie rozkazy tego barbarzyńcy które przesłał do Żywca, Zakliczyna, Pilicy, Szczekocin, Przyrowa i innych grodów, aby i Tęczyn równie jak tamte przed odejściem spalono.

Wykonano ten rozkaz i zamek tenczyński podpalony na kilku miejscach wybuchającemi wewnątrz i zewnątrz płomieniami zaświecił naraz kilkomilowéj okolicy. Mieszkańcy poblizcy zbiegli się aby powstrzymać pożar, lecz słupy płomienia i kłęby dymu nikomu zbliżyć się nie dały. Stali więc wszyscy pod zam iem i ze łzami patrzeli jak gorzał ten ich dom ojcowski bo ojcami prawdziwymi byli im Tęczyńscy w każdéj przygodzie i nieszczęściu.

Wtem między zgromadzonym ludem daje się słyszeć okrzyk i podziwu i trwogi. Oczy wszystkich skierowały się ku kaplicy zamkowéj na szczycie któréj pojawił się znany im duch rodziny Tęczyńskich. Ujrzano go osłaniającego szatą swą kaplicę, jak gdyby jéj bronił w téj ciężkiéj doli, i w rzeczy saméj pożar co wypalał cały zamek nietknął się wcale téj kaplicy.

Cud ten wzbudził jeszcze otuchę w wątpiących, zagrzał ich odwagę i o własnem niebezpieczeństwie zapomnieć kazał. Rzucono się przez płomienie do kaplicy aby niejako wespół z siłami niebieskiemi wziąść udział w ratowaniu. Kaplicę otaczały kłęby dymu które nic im widzieć niedozwalały, dopiero kiedy się do niéj przedarli, ujrzeli na środku klęczącego starca na kamieniu zamykającym sklepy kapliczne. W pierwszéj chwili myśleli że to duch którego z Tęczyńskich z grobu powstały, ogarnęła ich bojaźń a zarazem i poszanowanie i zbliżyć się do klęczącego nie śmieli. Dopiero gdy się podniósł i zwróciwszy się ku nim zawołał: „Bóg was tu zsyła moje dzieci." Poznali że to był klucznik zamkowy. Chciano go ztąd wynieść, ale nieprzystał na to

mówiąc: „Wszak zastaliście drzwi kaplicy otwarte, a między Szwedami to znalazł się człowiek z sercem który mi je otworzył i nalegał abym uchodził zanim pożar ogarnie zamek, alem ja pozostał, bo jeżeli tak rozrządził Bóg, że z popiołami siedziby Tęczyńskich, mają się zmieszać popioły ciał ich tutaj spoczywających, toć niech i moje wraz z niemi wiatry po świecie rozniosą. Nie w mocy ludzkiéj wstrzymać ten pożar, mówił daléj nad moc ludzką silniejsza jest modlitwa,: klęknijmy i módlmy się a wyżebrzem może u Boga że ocali tę kaplicę. —

I tak zrobiono, a kiedy zamek Tęczyński zdawał się być na swojéj górze, otworem wulkanu wyrzucającego ognie i dymy to z pośrodka tych płomieni i kurzawy w zamkowéj kaplicy jego śpiewano starą pieśń ojców:

„Kto się w opiekę poda panu swemu
A całem sercem szczerze ufa Jemu
Śmiele rzec może: mam obrońcą Boga!

Rozważając jak mogła wśród takiego ognia nie spłonąć ta kaplica, śmiało można i teraz powtórzyć to co wtedy wszyscy utrzymywali, że ocalała cudem Bożym!

Chociaż dawna dziedzina Tęczyńskich ruiną tylko świeciła, nieopuścił jéj stary klucznik i przemieszkiwał w nadwerężonéj ogniem wieży okrągłéj przy bramie zamku w jéj nierozwalonym dolnym sklepie. Widywano go zawsze albo modlącego się w ocalonéj kaplicy albo dumającego pośród rozwalin zamkowych których nigdy nieopuszczał. Włościanie sąsiednich wsi odwiedzali tego jak go nazwali pustelnika z Tęczyna, darząc go czcią należną wiekowi i pobożności. Smutek czy radość w ich chaty zawitała, biegli do pustelnika by radość ich dzie-

lił i w smutku cieszył. Szczęśliwi byli którzy z nim mówić a rad jego zasięgać mogli.

I ciekawie słuchali opowiadań jego gdyż on tak jak dawni słudzy dawnych panów polskich wraz z katechizmem wyuczył się dziejów ich rodzin. Stąd to ich cnoty, rodziły w sercach sług miłość i szacunek dla nich. A jego jeszcze panowie, jak napisał Kochanowski:

Wiedli swój ród wysoki z domu Tęczyńskiego
Zkąd ustawicznie jako z konia Trojańskiego
Jeden po drugim ludzie wielcy wychodzili
Którzy doma y w polu godni Polsce byli

więc miał o swych panach co rozpowiadać a przystrajał to jak zwykle przystraja wszystko nasz lud starodawnemi podaniami.

On to w części przekazał ludowi podania do dziś dnia przechowujące się w ich pamięci, to o tych wielkich skarbach ukrytych w tym zamku; to o tych duchach niewidomych skazanych tu na wieczne tułactwo za wiarołomstwo, a które mają być duchami więzionych tu niegdyś Krzyżaków.

Corocznie zaś w dzień spalenia zamku Tęczyńskiego przybywał do jego ruin pleban z parafialnego kościołka ze wsi Tęczynka, i w kaplicy zamkowéj pod jego będącéj opieką odprawiał żałobną mszę błagając o miłosierdzie dla tych dawnych a możnych jego mieszkańców, którzyby przed sądem Bożym stanęli jak mówi Pismo Święte: *Nędznemi i mizernemi i ubogiemi i ślepemi i nagiemi.*

W dziewiątą taką rocznicę to jest w roku 1665 po nabożeństwie skończoném gdy ksiądz wyszedł na dziedziniec i spostrzegł między wieśniakami przybyłemi na nabożeństwo kilku gospodarzy Tęczynka o których wiedział że przybyli z gór z dóbr Jerzego Lubomirskie-

go hetmana i marszałka W. K., zapytał ich co tam słychać.

— Oj źle Ojcze Dobrodzieju! odpowiedział z nich jeden — a dyć tam przyszło pisanie królewskie omawiające naszego dziedzica o Bóg wie co i o zdradę króla!

— Bluźnierstwo i kłamstwo wam powiedziano, zawołał pustelnik i z ciężką boleścią rzekł: „Lubomirski zdrajca! on co ratował tron Kazimierzowi, wypędzał z Polski Szwedów oświecając im drogę pożarami własnych włości swoich. Lubomirski zdrajca! a w czemże zdrada tego naszego Pana?“

— Na cóżem ja was takiego smutku nabawił, odrzekł mu wieśniak, a jeszcze mi nie sporo odpowiedzieć o co pytacie, bo się zabaczyło co dłużny, ino kęs się z tego zostało w głowie, a przedewszystkiem, że na nasze karki chciał bisurmana sprowadzić ratując Cesarza Rakuskiego.

— Że niechciał iść, dodał drugi z gospodarzy, na Moskiewską wojnę.

— Moje dzieci — odezwał się ksiądz Pleban — wierzajcie słowom moim, że wszystko to złość i zazdrość ludzka wymyśliła i król dał się uwieść.

— Juści to tak musi być, mówił znów inny z wieśniaków, kiedy Ojciec Dobrodziej tak poręcza. Ale z przeproszeniem boć tam człek na to głupi przecież to czarne na białem we wyroku stoi.

— Moi kochani powiedział im pleban i na Jezusa Chrystusa był wyrok napisany i wykonany.

— Żeby nie był wykonanym i na naszym Panu to trzeba się strachać Ojcze Dobrodzieju boć on wrócił pono do kraju i siedzi u syna w Lubowni na zamku a ma jechać na swój zamek Łancucki. A tu pismo królewskie o którem mówiłem że przyszło, zachęca gorali aby winną jego głowę gdy przez góry przebywać będzie zdjęli.

A oni niemają dla niego serca jak go niemieli dla jego rodzica i dziada kasztelana Wojnickiego za wymuszone na nich daniny. I dziś tam jeszcze usłyszy śpiewających:

Hejże, hejże Wojnicki
Pobije cię płacz ludzki
Coś za grzyby nałupił,
Piekłoś sobie zakupił.

Wśród powyższéj rozmowy oczy starego pustelnika rzucały spojrzenie tak już obumarłe, a tak świętobliwe i smętne, że patrzeć na niego nie można było bez żalu. Gdy zaś wieśniak powiedział że król skazał na gardło Lubomirskiego i że to górale wykonać zdolni, wtedy zwolna przesunął ręką po zmarszczoném czole jakby chciał się upewnić czy nie jest igraszką okropnego snu i widzieć było iż się przekonał że to nie sen, bo wzniósł w niebo oczy nawykłe tam czerpać sił do znoszenia cierpień.

I sił tych zaczerpnął. Zabłysły oczy jego ogniem a oblicze wyrazem boleści i usłyszano z ust jego te słowa: *Bóg brzydzi się bezbożnikami przelewającemi krew niewinną.*

Tej siły zdaje się że mu Bóg udzielił na to aby przypomniał otaczającym go wieśniakom te słowa które już przed wiekami słyszał świat od samego Chrystusa. Po wymówieniu bowiem tych słów tylko łzy się mu z oczów wydobyły, a krzepnąc, na stygnących licach pozostały na twarzy jego. I widziano je a widok łez starca wyciskał je u otaczających go i oczy wszystkich przez łzy na niego patrzały, niewiedząc, że on łzami swemi żegnał świat, a oni jego żegnali swojemi, bo to była chwila konania! Padł starzec bez duszy na zie-

mię niezdradzając ani jedném poruszeniem tajemnicy swéj spokojnéj śmierci.

— Śmierć taka, otarlszy łzy, powiedział x. proboszcz nieprzyszła niespodzianie, nie nagła to śmierć, ale nagłe odejście ducha. Grzechy jego przed nim umarły!

Po tych słowach kapłana otoczyli wszyscy ciało zmarłego spoczywające na tych ruinach domu panów jego, na tym najpiękniejszym dla niego katafalku i błagali Boga aby przyjął w niebo duszę zostawiającą takie przykłady cnót na ziemi.

Józef Mączyński.

# PRZY ODDANIU PUHARU

WIERSZ NAPISANY PRZEZ ROSSYAN DO A. MICKIEWICZA W MOSKWIE 1827 ROKU.

przekład Alex. Chodźki.

---

1.

W pamięć Twojego rozstania się z nami,
Darzym ci puhar zaklęty,
Zaczarowany przyjaźni ustami,
Na dnie talizman jéj rznięty.

2.

Pod inném niebem gdy, w biesiady gwarze,
Talizman winem zakryjesz,
Nie szukaj pijanéj radości w puharze;
Łzy dni minionych wypijesz.

3.

Zatęsknisz; łzawe wino nieupoi,
Pieśń natchniona w ustach skona;
Ale jéj echo usłyszą tu twoi,
Na pucharze ich imiona.

4.

Czytaj nas; bośmy w tejże saméj chwili,
Tchnęli tu owém natchnieniem:
Bólem tęsknoty twojéj zatęsknili,
Drgnęli serca twego drgnieniem.

5.

Nieraz sam puchar, jak zegar zadzwoni,
Sam! — to talizmanu siła —
To myśl — ta nasza, co za tobą goni —
Skrzydłem o puhar trąciła.

6.

Nie, nie na wieki Ci tęsknić w niedoli,
Może Bóg krzywdę naprawi,
Może — nawet na cudzéj ziemi, gwoli
Snom wieszczym, dola się zjawi.

7.

Tylkoż puharem nie pij z Lety żrzódła,
Przyjaźń zapomnieć nie zdoła,
Puhar nasz ze dna, z talizmanu godła,
N i e z a p o m i n a j! zawoła.

---

# REORGANIZACYA MAŁŻENSKA.

Obrazek Galicyjski.

---

## Rodzina mieszczańska.

Chwalcie wysokie domy nowomodne z płaskim dachem, szklannemi ścianami, o przewiewnych murach i jaskrawo malowanych pułapach! Ja zaś czy to z przesądu czy z nałogu niesłychanie lubię te staropolskie ciepłe izby duże, gdzie to powałę w strop ułożoną powstrzymuje podwójny tragarz, niemalowany, niebielony, ale wraz z powałą samorodną barwą zaczasem zciemniony tak, żebyś posądził o kopeć gdyby nie ta śnieżna białość ścian i kominka. Kominek zaś w domach szlacheckich w kącie i ognisko obszerne a nizkie. Obszerne, aby całe płachty kłaść można, gdyż o drzewo nie trudno; nizkie, aby światło i ciepło biło na izbę i na kółko wieczorne w półokrąg usadowione. U mieszczan przemogła oszczędność: Kominek szczuplejszy, mniejszą ilością drewien w drobne polanka porzniętych, oświecał skromniéj a ogrzewał aż po zatkaniu otworu dymnego

U spodu mieścił półkę na garnki i rynki, w górze zaś gdyby ordery szerokie połyskiwały cynowe talerze i półmiski. Drobniejsze jadło: śniadania, wieczerze odgrzewane, warzono na kominku w izbie, mianowicie w chłodny czas; objad gotował się w kuchni lub piekarni. Piece po dworach i zamkach, obok kominków po kątach lub wyjątkowo (w jadalniach) do środka czelnéj ściany przystawione, lśniły kaflami biało, błękitno, lub brunatno polewanemi. Na każdym z nich jakaś ozdóbka, a w historycznych domach, rodzinny herb wraz z poszkleniem, w ogniu wypalany. Ciekawe tego rodzaju zabytki i dziś zobaczysz w Podhorcach, majątku domu Rzewuskich. W jednéj bowiem z wspaniałych komnat zamkowych, stoi piec, gdzie na kaflach herb Koniecpolskiego z głoskami P. R. t. j. *palatinus Russiae*; w drugiéj obok, już oprócz tytułu wojewody Ruskiego, stoi hetmańswo polne koronne.

W miejskich domach były piece z gładkich zielonych kafli, ani w kącie ani w środku izby stawiane, boć chodziło o zapiecek. A zapiecek dla mieszczanina ważnym kątem! Tam siedziała babunia nad dzieckiem i kołyską, tam dziatwa drobna wieczór porozbierana do koszuli igrała między sobą lub z stareńką babunią i słuchając dziwnych powiastek usypiała snem słodkim, jakim tylko dzieci i aniołki usypiać mogą. Tam dosychały wieńce grzybów i pasma zwilżonéj przędzy na motowidłach, parzyły się połcie słoniny, bochny sadeł i przygotowane do Wielkanocnego święcenia kiełbasy sążniste. Na umieszczonéj zaś jodłowéj obłupionéj żerdce przesuszano czasami tułuby męzkie i przyjaciołki ciepłe, wraz z kontuszem, słuckim pasem i baranią na koniec zatkniętą czapką.

Dworskie izby i zamkowe komnaty lśniły zbroją i bronią rozmaitą porozwieszaną jak to się w Podhorcach napatrzeć można. Jest tam bowiem i staropolska, w któ-

réj i którą ojciec i dziadowie walczyli i zdobyta w różnych potrzebach ze Szwedem lub Turkiem. Tu szwedzka halabarda i muszkiet gwintowany z widełkami do oparcia, tam ostry kindżał agi tureckiego; tu przytępiony nóż hajdamacki, a tam łuk Tatarzyna rogowy z umieszczonem wewnątrz wierszem koranu. Jest i zbroja skrzydlata i powiewny proporzec siedmiołokciowy u złoconéj ośmiołokciowéj kopii. To oręż hussaryi pułku Jabłonowskiego która nie dla parady zbroje i kopie pod Sobieskim nad Dunaj niosła. W koło makaty i obicia adamaszkowe, a na nich obrazy bohatyrów polskich i krewnych hetmańskich i królów i historycznych scen z życia Koniecpolskiego flamandczyka ręką wiernie oddanych i Sieniawskiego i innych. A wszystko to i te herkulesy i te Rubensa głowy i podobno nawet Tycyana i te widoki Lorraina i Rosy jak poprzysyłali z Włoch i Bóg wie zkąd, i poprzybijali przed dwoma wiekami zdobiąc komnaty może na chrzciny Jana IIIgo co pęknięty podczas obrzędu stół marmurowy, tamże ustawiony, pamięci naprowadza — tak wszystko wisi do dziś dnia na tym samym gwoździu. Makaty już spełzły, karmazyn pożółkł a pod obrazami jak gdyby z Bagdadu przywiezione, tak jasno i świeżo błyszczą liście i kwiaty wrabiane w adamaszek, a gwóźdź zrdzewiały, karbem głębokim świadczy: iż dawno nosi powierzony sobie ozdobny ciężar, którego rama szczero złocista chociaż przypstrzona, przecie w swéj poniewierce dumna i piękna, lepsze, bo zwycięzkie, hetmańskie przypomina czasy. Ale! ktobyto tam wszystko opisywał kiedy to niedo opisania piękne, a przecież wyglądające opisu piórem i rylcem. Nawet o szlacheckich dworach niewspomnę! chybaby o Swidniku w naszéj sądeckiéj ziemicy; gdzie prawnuczka Wielogłowskiego konfederata tarnogrodzkiego, zachowała od ostatniéj zatraty zbroję z Bogarodzicą na lewym boku prosto jak serce leży i szyszak z ochroną

uszu, a krzyżową ochronką twarzy, i tarczą pancerną i róg na proch i napierśnik z rzędu hussarskiego z herbowym koniem i kilka innych pamiątek. O Łańcuchowie w Lubelskiem niewiem czy wspomnieć i o zbroi kasztelana Czerskiego, którą w *oranżeryi* ogrodnik... Ale dam spokój! o innych także zamilczę! Historyczne rodziny jeżeli zechcą i uznają za zgodne z cywilizacyą wieku naszego, toć przecie wiedzą jak swe gniazda i klejnoty światu pokazać. Przeździecki dobry dał przykład godny tych świętości naszych.

Ależ wróćmy do mieszczan.

W storoświeckiéj izbie pod zielonym piecem w ulubionym kąciku siedział sobie z opartą o rękę głową, sławetny Maciéj Rzemieński i niewiedzieć czy dumał, czy drzymał. A piec był troszeczkę letni: bo to na polu majowe wietrzyki igrały z cierniowém kwieciem a na Tatrach jeszcze śniegi błyszczały jak gronostaje na barkach królewskich. Pani Maciejowa siedziała także pod piecem ale widocznie nie drzymała: bo czytała w nabożnéj książce drukowanéj *in quarto* z czworobocznėm wieńcem wykrętasów kwiecistych w około pisma, a co ustęp z obrazkiem Pana Jezusa ukrzyżowanego, Matki boskiéj bolesnéj siedmią mieczami przebitéj, jeżeli nie jakiego świętego lub przynajmniéj „Imienia Jezus“ albo „Marya“. Zapiecek był cichy. Babuni niebyło: już w Bogu spoczywa i właśnie za jéj dusznę zbawienie odmawia pani Maciejowa modlitwy i wieczne odpoczywanie. Wnucząt także jeszcze nie było; ale córeczka dorodna na wydaniu, siedziała sobie przy okienku i spierała główkę o pulchną rączkę z dołkami na stawach. Rozumie się, iż także nie drzymała: — bo gdzieżby dziewcze siedmnastoletnie rumiane jak poziomka, gdzieżby takie dziewcze mogło drzymać w okienku przy święcie, kiedy jaki taki ubrany chodzi i kłania się i w okno zagląda. Zresztą serduszko jéj które od urodzenia drzy-

mało; od roku bezmała zaczęło się budzić i pukać o stanik sznurowany niby się domagając czegoś! a nie wiedzieć czego?. Przynajmniéj Marynia niemogła wyrozumieć czego ono żąda że tak czasami kołacze? i właśnie nad tem myślała; a myśląc czyż można drzymać? Nawet muszki nie drzymały, lecz brzęczały i krążyły wadząc się: to po obrazie świętéj Kunegundy patronki naszéj sądeckiéj, co w zakonnym stroju z koroną na głowie a klasztorem swojem starosądeckiem w ręku na tle złocistych promieni, i pięknego kwiecia tak ślicznie z wosku wyrobiona stała! że się zdawało iż dyszy a paciorkowe szklanne ślniące oczka, to się niby aż ruszały. Z obrazu czyli raczéj szklannéj szafki w któréj ta śliczna osóbka św. Kunegundy umieszczoną była: zlatywały swawolne muszki na świętego Jana z barankiem na zwierciedle malowanego, albo na ś. Józefa z lilią w ręku, albo nawet na drewnianego gołąbka uwieszonego pod światem z różnobarwnych opłatków przemyślnie uklejonym, a który gołąbek z czubkiem, Ducha Świętego wyobrażał. Od świecącéj się przed Matką Boską lampy stroniły obsiadając tylko łańcuszki srebrzyste na któréj wisiała. Obrazami bowiem świętych pańskich ozdobione były ściany w około a gromnica święcona i kropidło zawieszone pod Matką boską Częstochowską, wedle starego miejskiego zwyczaju, a kropielniczka z wodą święconą pilnowała odrzwi, z których właśnie wyszedł głos:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen! — Odrzekła pani Rzemieńska przymykając książkę, i pan Maciéj wytrzeszczając oczy, i panna Maryanna rumieniąc się po jednym policzku i po drugim i w około dołeczka bródki.

— Tać to pan Jakub! co ja widzę!

— Kubuś! wszelki duch chwali pana Boga! dalibóg że Kubuś!

— Macieju! mielibyście też rozum! jakżeż możecie mówić panu Jakubowi Kubuś, przecież widzicie że to już pan Jakub.

— Tak! pan Jakub! jakże mi się pan Jakub miéwa! witamy!

— Witamy! witamy! panie Jakubie! prosiemy daléj, prosiemy siadać! Marysiu! albo wy Macieju dajcieże panu Jakubowi stołka....

— Dziękuję, ja tylko chwilę zabawię bo muszę wracać.

— A kejże to wracać panie Jukubie?

— Do Tarnowa, bo ja tam teraz zostaję.

— A cóż tam pan robisz w Tarnowie, czy tam pan do kancellaryi chodzisz?

Jakub kiwnął głową.

— Jużcić że pan Kubuś.... Jakub tam jakiemś urzędnikiem....

— Ale Macieju! dajcie no spokoj kiedy ja gadam; bo ja wiem przecie co gadam!... to jakiemże to pan Jakub urzędnikiem? czy dużo panu płacą?

— Ja praktykantem dopiero przy Forum...

— A co to znaczy praktykantem?

— Ale! kobieto, wolałabyś się zapytać jak się téż ojcowie pana Jakuba mają, przecie wiesz że to kumowie...

— A prawda, prawda, przecie ja to wiem i przeciem niezapomniała, bo toby dopiero pięknie było! To jakże się też ma kumeczek mój jak się mu też tam powodzi?

— Dziękuję, dobrze, zdrów chwała Bogu, tylko się postarzał...

— Postarzał? widzicie Macieju! a jak też dawno u nas nie był? podobno jeszcze, wtedy na święty Bartłomiéj czy nie!... to w Matkę Boską zielną było — nie, na Siewną podobno... kiedy na Kalwaryą jeździli...

— Niepamiętam: a jeździł to mój ojciec na Kalwaryą?

— Jeździli a jakże, jeździli! a pan Jakub też niebył na Kalwaryi?

— Nie! nie lubię się włóczyć po odpustach...

— Szkoda! że pan nie był: jak też to tam ślicznie! jakie to stacye, jaka to tam woda piękna w tym Cydronie, co to Pana Jezusa przez nią prowadzili. A wie pan że ten cały potoczek i ta cała woda to święcona! A jakie to tam kazanie prześliczne bywa, a jakie nieszpory i godzinki! że to się aż wyjechać niechce. Bo to nasz ksiądz proboszcz to jak śpiewa: to tak cichuteńko! a tam ksiądz kaznodzieja — ten wielki, taki — jak zaśpiewa; to aż się sklepienie trzęsie!

— Ale matko! dajże Panu spokój z Kalwaryą. Pan tam we Lwowie nie takie kościoły widział i biskupów i arcybiskupów. Lepiéjbyście pomyślały, kiedy prosicie siedzieć: że do siedzenia trzeba picia i jedzenia.

— A prawda, prawda! Marysiu, dziewczyno, chodźno tutaj! to ja ci powiem! albo lepiéj — poczekaj! to ja pójdę sam a aty tu gadaj z panem Jakubem; albo chodź i ty, to mi pomożesz. A wy téż Macieju zostańcie i ugadajcie mi pana Jakuba to ja tu potem przyjdę.

— Idźcie z Bogiem, my sobie tu pogadamy.

Wyszła pani Maciejowa, a pan Jakub mimo szydzącego uśmiechu niemógł powstrzymać uczucia przyjemności na widok słusznéj kobiety, o niezłéj tuszy, doskonałéj proporcyi, w adamaszkowéj staroświeckiéj spodnicy wiśniowéj a bławatnym ciemnym gorsecie, przy którym dziwnie odbijał bieluteńki rąbek czerwony w koło szerokiego kołnierza obszywanéj koszuli i pęk korali z srebrnym krzyżem. Na głowie tiulowa haftowana koronką marszczoną dostatnio obszyta chustka z sutym fontaziem i węzłem nad czołem a duże srebrne kulczyki w uszach. I na Marynię nie bardzo mu przykro by-

ło spojrzeć, bo jéj do twarzy był: *szlafroczek* muślinkowy biały w ciemną, drobną rzutkę i szkarłatny rumieniec i w koszyk splecione bujne warkocze i koralikowe maneliki przy zębczastych świeżutkich mankietkach. Bo to sobie pan Rzemieński był mieszczanem na małem miasteczku, chodził w kapocie i pasie, i mieszkał w staroświeckiéj własnéj izbie w któréj się urodził; ale jak ludzie gadali było go stać na kilkanaście tysięcy złotych reńskich. Dzieci niemiał jeno dwoje: zamężną córkę, któréj niezbywało na niczem, jak tylko: że ją Pan Bóg potomstwem jeszcze niepobłogosławił; i tę drugą Marysię pieszczoszkę, ulubienicę i oczko w głowie obojga rodziców, którą matka postanowiła nie wydać za lada kogo!

Oswobodzony na chwilę, wypytywał się pan Maciéj o swego przyjaciela z młodych lat z którym wzrósł, biedował i dorabiał się grosza po świecie; a każde słówko syna jego, każda wieść, każda okoliczność, choćby najdrobniejsza, znalazła miejsce w prawém sercu starzejącego się druha. Pan Jakób zaś odpowiadał, ale nie opowiadał; bo pan Jakub już po części zapomniał albo raczéj chciał zapomnieć o Radomyślu i Mielcu, a pragnął być Lwowianinem. Ależ bo to trzeba wiedzieć co to jest Lwowianin rasowy i z przekonania! Miasto Lwów zamieszkałe przez Polaków, Niemców, Rusinów, Ormian i Żydów niema wprawdzie jednolitości; ma jednak znamie swoje właściwe. Młodzież wszystkich klas uczęszcza do szkół publicznych wraz z młodzieżą wschodnich i zachodnich części prowincyi; nie bez tego więc żeby niebyło między nią zetknięcia się i wzajemnych przymówek, z początku dziecinnych i żartobliwych a w końcu dość jadowitych i złośliwych. Stosunek ten trwając lat kilka, przechodzi częścią w przekonanie, częścią w nałóg: u młodzieży uzdolnionéj wyrabia najprzód ironię a potem lekceważenie, zacząwszy od wyszy-

dzanych towarzyszy aż do wszystkiego niemal co ich otacza; u mniéj zdolnych zaś niemogących oddać wet za wet wyradza się w złość i skrytość, rzadzéj w anielską cierpliwość. Pan Jakub należał do rzędu pierwszych i lubił lekceważyć i wyszydzać co się nawinęło: bo czuł w sobie wyższe wykształcenie.

Wyższe wykształcenie to znaczy: Uczyłem się po łacinie, po niemiecku i po francuzku; uczyłem się historyi całego świata; uczyłem się filozofii prawa, słowem wszystkiego! pamiętam cokolwiek, z tego wszystkiégo a umię właściwie: kilkanaście paragrafów, i albo w *bilard*, albo *wiska*, i *preferansa*. Czytam dzienniki i znam kilka dramatów i komedyj przedstawianych, kilka ustępów z „Dziadów“ i „Odę do młodości“ „Żyda wiecznego“ i „Tajemnice Paryża“. W dodatku lubię muzykę. Od młodzieży w ogóle trudno więcéj żądać: przynajmniéj pan Jakub uważał, że to bardzo dosyć. Półgębkiem więc odpowiadał, a jeżeli opowiadał to o Lwowie i stosunkach swych z tym wielkiem światem! Szczęście że niemiał zanadto wiele czasu do tego, bo pani Maciejowa już wracała z kuchni.

Marynia, rumiana z natury, rumieńsza od ognia a jeszcze rumieńsza z przyczyny gościa obecnego, wydobyła z kufra wielkiego serwetę czerwoną w biały deseń, na któréj chłop prosty, tkacz w Rakszawie nad Wisłokiem gdzie ten przemysł kwitnie, wyrobił dokładnie zamek Zawadę i daniele pasące się. Zastawiono potężny imbryk albo raczéj dzbanuszek kawy na fusach a niepośledniejszą ryneczkę z śmietanką; cukier zaś na spodku od filiżanki a na talerzu potężną osełkę świeżutkiego masła i duży chléb domowy pół na pół z pszenicą, a pani Maciejowa przyniosła ze szafki arak.

Szklanki dwie niemal półkwartowe stały w pogotowiu. Marynia nalewała, a Jakób patrzał na jéj świeżość i

zdrowie i bujny tok ciała i myślał w duszy: Dalibóg! tęga dziewczyna i wcale ładna.

Pani Maciejowa nie wiedziała co myśli; ale widziała jego wzrok wlepiony w jéj dziecko i wielce się rozradowała, bo dawno już myślała sobie: takiego zięcia mi trzeba.

— Ale jak też panna Maryanna wyrosła, jak wyładniała, zaprawdę żebym się nigdy nie był spodziewał— przerwał p. Jakub z umizgiem.

Dziewczyna spuściła oczy a gadatliwa mamunia rada sposobności uchwyciła za wątek:

— A czy to już nie czas żeby wyrosła? przecie to już rok temu jak z Staniątek wróciła od panien zakonnic. Trzy lata się tam uczyła i umié czytać na każdéj książce i pisać i wszystko. I czyta sobie książki nawet, a my słuchamy. Ot! niedawno, to jéj pożyczył stary pan ten — jakże się tam zowie — ten staruszek szlachcic bogaty co to.... co zawsze w złotym pasie do kościoła jeździ a w mieście do nikogo nie lubi wstąpić tylko do nas — to jéj pożyczył dwie książki: jednę o wielkim zbóju! a drugą o świętéj Genowefie. To panie! co my się nalękały tego zbója a nad tą biedną świętą Genowefą to my aż wszyscy płakali. Tak panie Jakubie tak! Nawet po niemiecku to umié szczebiotać, ale nie chce z nikim tylko z tym starym kapitanem wysłużonym co tu u nas mieszka, i często do Macieja na gawędę chodzi. To jak przyjdzie zaraz do Maryni: *gut aben!* i ona jemu: *gut aben!* i zaraz do niéj po niemiecku, to ona musi mu odpowiadać, bo jak nie chce to on stary ją łapie i chce całować. — Ale niechże pan Jakub pije, niechże sobie pan Jakub wleje araku!

— O! dziękuję! jeszczem nigdy nie pił białéj kawy z arakiem!

— To niechże pan skosztuje, to dobre, my tu tak pijewa, nas tego kapitan nauczył, bo on to lubi — ja to

kosztowała i dobre; tylko mi ciężko całéj szklanki wypić, bo mi się głowa z tego kręci i spać się chce; ale Maciéj to piją czasem z kapitanem i mówią że dobre — niechże sobie pan doleje — ej! Pan Jakub widzę *ceremonie* stroi, to ja panu sama doleję — i nie czekając zezwolenia, chlust mu araku do kawy dobre pół petersburgskiéj porcyi.

— Ale pani Rzemieńska! tego to już nadto! nie dam rady.

— Ej ja pana nie myślę prosić, musisz pan pić i kwita. Kiedyś był malcem, toś mi pan nieraz Marynię prętem przeparzył, że się dziecko biedne od płaczu aż zachodziło, a nie prosił pan czy to wolno, ani mnie pan nawet nie chciał przeprosić, a teraz nie chcesz pić u nas kawy z arakiem? a to mi się podoba! ja pana nie będę prosić — pij pan i koniec.

— Wolę przeprosić panią i pannę Maryannę, ale pić nie będę bobym się upił.

— Oj! żebym pana tylko mogła dobrze spoić, bo ja sobie nieraz myślała: jak pana kiedy przydybię, to muszę spoić koniecznie za moje biedne dziecko, ale widzi pan że ja ją przez to przecie ładnie odchowała.

— To właśnie może ja pomógł do tego że panna Maryanna tak pięknie wyrosła?

— No, no, poczekajno pan, już ja muszę cię spoić, żebyś dzieciom do wzrostu nie pomagał — ale pijże pan...

— Kiedy mi to zaszkodzi...

— Zaszkodzi? cóżto czy my pana chcemy zatruć?

— Nie — ale...

— Marysiu! daj no mi moją szklankę to i ja się napiję w kompani choć mi się głowa zakręci, aby pan Jakub wiedział, że my ludzi nie trujewa.

— Ale ja nie myślę — jednakowo....

— Jednakowo z pana był lampart, jest lampart i bę-

dzie lampart! ale ja pana przecie lubiła, lubię i niepuszczę od nas, aż dobrze ugoszczę i ugadam.

— Ale ja tylko na chwilkę wstąpiłem, bo muszę wracać.

— Wrócisz pan na czas, Tarnów nie daleko, ja pana jutro sama odwiozę.

— Na żaden sposób, dziś muszę koniecznie.

— Przecież tam panna młoda w kościele nie czeka na....

— Ale matko! dajże spokój! nie męcz że pana Jakuba bo ty nie wiesz że służba wolność traci! — łagodził Maciej.

— Wszystko to prawda tylko pan Jakub nie pojedzie aż się z nami kawy z arakiem napije a potem zje co Bóg dał: bo to ja dobrze wiem że człek z sobą kuchni nie wozi.

Tak tedy rad nie rad pił pan Jakub kawę białą z arakiem a w duszy złorzeczył, bo w Tarnowie miał być wieczorek w domu panny Emmy; a panna Emma to była dla niego czem magnes dla żelaza.

Pił tedy i myślał jakby się tu wyrwać gościnnéj pani Maciejowéj, z którą innym razem byłby gadał cały dzień; bo mu się tam przecie wszystko jakoś podobało. Nawet Maryni chciałby się był dobrze napatrzyć: bo coś miała w sobie nęcącego, czego sam niemógł wyrozumieć. Kibić nie taka wcięta i smukła jak Emmy — rumieniec nadto może zdrowy — rozmowa z nią nie osobliwa, bo nic prawie nie mówiła albo bardzo mało i skromnie: Chybaby ta nieśmiałość i świeżość?

Czem dłużéj siedział i czem więcéj kawy z arakiem pił, tem mu się milsze robiło towarzystwo rodziny Maciejów, tem bardziéj zapominał o wieczorze, Tarnowie, Emmie i ironii. Usta się rozwiązały i opowiadał pani Rzemieńskiéj: o Lwowie i wałach i zamkowéj górze, o

Zofiówce i żelaznéj wodzie i pierogach ze śmietaną i o teatrze o „Berku zapieczętowanym“ i Nowakowskim w „Zemście“ Fredry itd. itd. itd. — nawet o kiełbasach zbaraskich pod ś. Jurem.

A pani Maciejowa słuchała z uwagą i natężeniem a ciągle sobie myślała: takiego mi zięcia trzeba! bo to i mądry i z dobrego gniazda i ma znaczenie w świecie, o co jéj najwięcéj chodziło.

W kuchni tymczasem huk i puk nie lada. Stara Jadwiga kucharka, służąca od czasów zamęścia pani Rzemieńskiéj, opłukała kawał polędwicy wołowéj i zdjąwszy jaworowy miąższy wałek, tłukła co siły. Żeby tak było trafiło na słuchaczy mniéj zajętych, byliby ten huk słyszeli lub przynajmniéj szczęk siekacza którym świadoma sztuki swéj Jadwiga, cebulkę z masłem i bułeczką na miazgę siekała; dodawszy pieprzu i soli, *quantum satis* (mówiąc po aptekarsku). Ale o Lwowie, teatrach, wałach i szkarpach, o dobrym tonie i wielkim świecie, rozgadał się pan Jakub a słuchacze jego byliby słuchali cały tydzień. Tymczasem Jadwiga polędwicę ponarzynawszy, jak balsam w ranę tak w każden rozkrój kładła usiekaną massę i zwilżoną wedle prawideł znajomych sobie, w obszernéj rynce przystawiła do ognia; aby utworzyć słynną w dziejach kuchni koronnéj *husarską pieczeń*. Protestuje się niniejszém przeciw wszelkim *uzurpacyom* madziarskim, bo można zaręczyć śmiele iż husarska pieczeń jest ani mniéj ani więcéj, tylko ulubionem jadłem historycznych zastępów szlacheckich, walczących konno, w zbroi, i z kopią, a ponieważ hussarya głównie je reprezentowała więc i pieczeń rycerska nazwana: hussarską! — zostaje ona w najbliższych powinowactwa stosunkach z królewskiemi zawijanemi zrazami: tak prawie jak zostawali królowie do hussaryi. —

Historyczna woń pieczeni hussarskiéj, rozszerzając się po całym domu dotknęła *atmosfery* naszych państwa i wywarła wpływ następny: pan Jakub zamilkł, i może w duszy porównywał woń pieczeni niniejszéj z onemi które Lwowianie w jadalniach publicznych czytają pod nazwą: *husaren-bratt.* —

Pan Maciéj obejźrzał się mimowolnie i musnął wąsa; pani Maciejowa rzekła do swéj córki: Maryniu! idź też do kuchni! i Marynia wyszła do kuchni. Od téj stanowczéj chwili rozmowa wzięła inny obrót więcéj poziomy bo gospodarski.

Pan Jakub opowiadał ustępy z życia i gospodarstwa kawalerskiego; a ponieważ w *ekonomii* całego świata niezachwianą prawdą: że żona trzy a mąż czwarty węgieł domu utrzymuje; więc cóż naturalniejszego nadto, żeby z pogadanki o gospodarstwie zejść na pogadankę o żeniaczce? zwłaszcza między matką córki na wydaniu a kawalerem na ożenieniu!

— Ta: bo czemużesię pan Jakub nie żenisz raz, przecie byto już pora — zagadała pani Maciejowa po długich ostrożnych korowodach. Pan Jakub odpowiedział jako człowiek wykształcony: że najprzód nie ma pieniędzy, a dla żony prócz serca, koniecznie trzeba pieniędzy i powtóre żeby się nigdy nie żenił tylko z taką coby mu się podobała.— „Naturalnie! naturalnie!!“ zauważała pani Rzemieńska i chciała już *analizować* oba warunki pod któremi tylko, pan Jakub raczyłby się nagiąć w jarzmo małżeńskie . . . kiedy się odezwał głos Maryni za drzwiami: „Mamuńciu! niechteż mameczka ótworzy bo mi źle saméj . . .“ — Pani Maciejowa ucięła rozmowę i pospieszyła poratować swą córkę i otworzyć drzwi: jéj i husarskiéj, cudną woń rozszerzającéj pieczeni; i kapuśniaczkom rumianym, masnym, i gorącym jak serca chłopców których złośliwe stare zrzędy „kapuścianemi głowami“ zowią.

Pan Jakub nie był głodnym! nikt o tem niewątpi; więc dziękował i prosił się ale nadaremnie: „Ja tu pana prosić nie będę! pan robisz *ceremonie*, a przecie my wiemy, że pan z sobą kuchni niewozisz! niechże pan bierze — niechże pan jé — jeżeli nam pan cokolwiek dobrze życzysz!...“— I jakżesz tu było nie jeść husarskiéj pieczeni? A kapuśniaczków jakżesz nie skosztować? kiedy Marynia stojąc podawała pułmisek z przynuką.— Niechże pan weźmie, niechże pan skosztuje bo to mego pieczywa! — Kiedy tak prosi osiemnasty roczek, wzrost słuszny, tok ciała jak ulał, włos ciemny, oko szafir, usta koral a ząbki jak śnieg — czy podobna odmówić! zwłaszcza że pieczeń i kapuśniaczki doskonałe, a tu się kilka lat lwowskiemi prywatnemi garkuchniami żyło! Zresztą nosił pan Jakub w sobie jeszcze szczątki rodzimego polskiego żołądka; szczątki, których ani rosołki traktyerskie, ani hreczane pierogi w Pohulance i Zofiówce, ani słynne *kwargle* z piwem winnickiem na strzelnicy miejskiéj, ani nawet skład kiszek i kiełbas na rogu halickiéj ulicy we Lwowie zwalczyć nie zdołały!! — A żołądek polski to *temperament* polski! tak jak głowa z sercem, charakter! Żołądek dobry: *temperament* dobry. Krewkość wesoła swawolna nawet!! — Żołądek zepsuty: krewkość zmieniona, przeważa żółć albo śledziona, człek zły, smutny, zgryźliwy! „w złym *humorze!* w złym sosie.“ — co to znaczy? Nic innego jak: sok czyli sos, t. j. *humory* żołądkowe zepsute, skisłe, albo wyrażając się naukowo: *Fermentacya* octowa wkradła się do żołądka. Głównem zaś znamieniem naszego rodzinnego niezepsutego żołądka, równie jak naszéj krewkości (po staremu, a po modnemu) *temperamentu*) jest: wypręźalność i strawność! wielkie cnoty, w braku onych nie istniałoby już może nasze plemie na okrągłéj ziemi naszéj. Dobry humor nasz: strawi wszystkie troski! a obejmie nawet przedmioty i isto-

ty które właściwie daleko po za obrębem jego zostawać powinny. Żołądek nasz, najlepszy po strusim! i mam ważne *daty* na poparcie téj *hipotezy*. — Nieprzytoczę z nich tylko dwie: Czy nie otrułby na śmierć czterech cudzoziemców, czy Francuzów, czy Włochów, czy jakich bądź, taką porcyą kiełbasy jaką *normalny* polski żołądek potrzebuje aby się dostatecznie posilić? Powtórny przykład jeszcze żywiéj w oczy bijący niech nam stawi pan Jakub, który z szczątkami tylko, żołądka rodzimego podołał: białéj kawie z arakiem (*dozys* olbrzymia) — pieczeni husarskiéj z ziemniaczkami, po któréj *szwedy* szperczane jak Gustawa Adolfa zastępy kupami obozowały; podołał kapuśniaczkom smacznego wyrobu ładnéj Maryni, a w końcu nie został paduchem tknięty usłyszawszy z ust pani Maciejowéj wychodzący ukaz: Maryniu idź no! zrób nam jeszcze kawy! Ukazowi temu towarzyszyło wyciągnięcie z za pasa pęku kluczy spiżarnianych, które Marynia z taką zajmującą powagą odebrała i tak się zwinnie zakrzątała koło szafki i szuflady: że pan Jakub uniesiony gospodarnym wdziękiem zawołał mimowolnie: Ale jak uważam to z panny Maryanny będzie gospodyni całą gębą!

— A jakżeżby to inaczéj? a któżby za nią gospodarował, gdy za mąż pójdzie? moja dziewczyna musi gospodarować i wszystkiego się uczyć; bo to krawców, szewców, nawet zegarmistrza, prędzéj dostanie, jak dobréj gospodoni. Sameś pan gadał przed chwilą jaka to bieda bez gospodyni. Ale! ale! a jakażby też to musiała być dziewczyna by się panu podobała na żonę? niech no mi pan powie! jaka by się to panu podobała?

— Jużcić najsamprzód ładna, i młoda! odrzekł pan Jakub odgadując myśli pani Maciejowéj, że mu będzie miód na wargi smarować. Już bowiem kilka miesięcy t. j. od poznania i zajęcia się panną Emmą niemiał sposobności wypłatania jakto zowią figla, czyli wyraźnie

orzekłszy: nie znalazł głupszego od siebie z któregoby bezkarnie mógł drwinkować. Ostatni figiel i żarty z woźnicy żyda, który go brodzką budką wraz z tuzinem innych pasażerów do Tarnowa przytaszczył, nie bardzo się mu powiódł: bo trafił na żyda ciętego i pyskatego, który jak to mówią z błotem go zmieszał. Pani Rzemieńska naiwnością swoją nadarzała doskonałą sposobność do żartów; postanowił więc udawać: iż wchodzi w jéj zamysły, i bawić się jéj kosztem.

— Ładna! ładna! jużcić ja wiem: że się panu przecie szpetna nie podoba, bo to każdemu tak, i Maciéj byli ładniejszy za młodu!

— Kobieto miałabyś też już raz przecie rozum! pleciesz ni w pięć ni w dziewięć!

— Widzi pan, gniewa się że był ładniejszym jak teraz — ale to tam mniejsza. Jakaż to ma być ładna: czy czerwona, czy blada?

— Rumiana.

— Czy wesoła czy smutna?

— Tak jak pani Rzemieńska.

— Czy może bardzo uczona? po francusku i Bóg wie co?

— Niekoniecznie, byle gospodyni...

— Może jaka bardzo z pańska, delikatna?

— Co mi po tém! żeby ot tak naprzykład jak panna Maryanna!

— To by się panu Marynia podobała?

— Matko! jak nie ustaniesz koszałki opałki pleść to dalibóg! będę myślał że ci arak do głowy poszedł!... zauważał zniecierpliwiony pan Maciéj.

— Macieju! siedzielibyście kiedy wam dobrze, tu ja gadam, tu ja *fundament* bo to córka! żeby o syna to wybyście sobie głowę łamali, ale córka to na mojéj głowie...

— No! łamże sobie głowę łam! a ja pójdę na nie

szpór, bo nie mogę słuchać babskich gadanin przez które nas pan Jakub jeszcze po świecie obniesie...

— Ale panie Rzemieński...

— Ej! siedź pan siedź! oni bo ta na starość to już taki zrzęda, w niczem im nie ugodzi: zresztą choćby ugodził to oni swéj litanii nie opuszczą! To idźcie że idźcie! a wracajcie! — Poszedł tedy Maciéj a pani Maciejowa usiadła wedle Jakuba i nie tracąc wątku powtórzyła:

— To jakże? podoba się panu Marynia?

— A czemuże nie! Panna Maryanna taka hoża i taka do rzeczy, każdemu musi się podobać i dziwię się, że jeszcze za mąż nie poszła.

— Bo to widzi kochany pan Jakub! ja panu powiem prawdę tak jak przy świętéj spowiedzi. Jużcić co prawda to nie grzech: dziewczyna nie szpetna i niegłupia zresztą prawdę powiedzieć i nie goła! to też ma oczy u ludzi. Ho ho! panie! tu już jeździli nie jedni! Tu jeździł jakiś cukiernik z Tarnowa; jeździł jakiś bogaty piekarz z Rzeszowa co to się w saméj Warszawie uczył i jakiś kupiec młody co jéj aż z Medyki bukiety woził; ale to panie bukiety jak ten piec! a takie śliczne, że to cud! tylko nie pachnące. To też za to mydełka takie śliczne jak szkło a pachniące, że jak człek powonił, to aż serce ściskało i takie perfony, że to aż mdliło: a wszystko w złocistych ramkach! i ten stary szlachcic z waszecia, co to tam teraz podobno w Tarnowie siedzi a w żółtych butach chodzi i w takim pasie jak Maciéj; to i on tu był! to panie jak przyjechał to mnie w rękę całował, i mówił mi: Pani Dobrodziko!

— A przecie córki nie dostał?

— Jakżeż miał dostać, kiedy się ani spojrzeć nie chciała: że stary! tylko sobie pod nosem przyśpiewywała:

Staremu, staremu za piecem zagrodzić,
Młodemu chłopczynie do dziewczyny chodzić!

— A to panna Maryanna widzę szpaczkami karmiona.

— Jużcić że nie w ciemię bita! — bo cóż to jej starego męża! to kieby młyński kamień u szyi; a tu dziewczynie do światu dopiero.

— A tamciże? ten piekarz, kupiec i cukiernik czy także starzy?

— Broń Boże! młode chłopcy i grzeczne! tylko cukiernik i kupiec to troche bladawi, ale tamten to osoba okazała: że było na co spojrzeć.

— I czemuż go niechciała?

— Czemuż? czemuż? czy to pan nie zgadniesz? dziewczyna ma chwała Bogu urodę i rozum i pieniądze: toby też rada *unoru*, znaczenia! — ja sama nieradabym ją wydała za byle kogo bobym także wolała zięcia z *unorem* i znaczeniem, nie lada piekarza albo kramarza; tąk, za jakiego *oficyalistę* to bym dała. Ot tak! za pana tobym ją dała!

— Za ‸nie? a chciałaby mnie panna Maryanna?

— Ej coby tam nie miała chcieć...

— Kto wie?

— Ja wiem! bo ja matka, a ona moje dziecko! już ja ją wyrozumiała w kuchni; naumyślnie wywołałam ją tam żeby z niéj wyrozumieć. A choćby i nie to, tom mogła zgadnąć że się jéj pan spodobasz; bo ona tu żadnemu kapuśniaków tak czemprędzéj nie piekła jak panu. Tamci jak bywali, to patrzyła jakby się ich pozbyć co rychléj i uciekała z izby a kiedy my ją wołali żeby przecie z kawalerami pogadała kiedy do niéj zjechali, to odmrukła: Nie dla psa kiełbasa i trzask! zamknęła się w swéj izdebce, jeżeli się bardzo naprzykrzali i zo-

stawiła ich nam starym na głowie. A przy panu, to i prędzéj usiędzie i kiedy jéj co dysponuję to się nie bardzo spieszy; to się jeszcze zeprze — to stanie, to kluczy szuka — jakby niewiedziała kędy leżą, a co się pan na nią spojrzy to raka spiecze.

— Ha! kiedy tak! kiedy pani twierdzi że się spodobam pannie Maryannie: tobym może...

— Ba! ale pieniądze! to fundament! wieleżby to pan Jakub pieniędzy chciał?

— No! rozumie się: że jak najwięcéj, już to przynajmniéj z pięć tysięcy reńskich w srebrze.

— Pięć tysięcy śrybła? bój się pan Boga a na cóżby wam tyle pieniędzy?

— Czy się to pani tak wiele widzi? cóż to jest pięć tysięcy tak osobliwego?...

— Co tak osobliwego? pięć tysięcy? a co to pan myślisz że to pieniądze teraz na owsisku rosną? ho! teraz trzeba dobrze popracować na każdy szeląg. Co to pan myślisz! co takie dziecko kosztuje nim się z domu wyprawi.

— Wyprawa swoją drogą i spodziewam się: że przecieżby się pani wstydziła ladajako wyprawić; zresztą meble do żony należą...

— Memble! memble! co panu po memblach. My się bez memblów obchodzili a żyliśmy i dał nam pan Bóg że coś zostawimy po sobie! a wy teraz zaraz memble, do siedzenia memble, do spania memble, do grania memble, zwierciadło membel, skrzynka membel, zegarek membel! wszystko membel. Głowa w memblach! na szyi na rękach złote, srebrne memble! wszędzie memble a w kieszeni: bez membli! bo się wszystko wymemblowało. —

Pan Jakub nie mógł się daléj powstrzymać i śmiał się serdecznie dogadując ciągle to o meblach to o fortepianie, to dywanach, serwisie itp.

— Eh! pan się śmieje że ja membli nie lubię...

— Moja pani! inne czasy, inne obyczaje — bez mebli teraz ani żyć na świecie. Proszę sobie wystawić na przykład zięcia swojego, urzędnika dajmy na to! Przychodzi pani odwiedzić dzieci, a tu posadzka wywoskowana aż się świeci, kanapa, krzesła z prochów otrzepane, czyściutkie. Marynia czysto ubrana siedzi i haftuje sobie, a wnuczątko maleńkie po dywanie biegnie boso przeciwko babci i choć upadnie to się nie rozbije choć bose to się nie zaziębi.

— To prawda! dla dzieci to prawda że to dobrze, bo jak się zaziębi to zaraz kaszle...

— A widzi pani że to dobrze...

— Ale kiedy to kadueznie drogie...

— Gdzie tam drogie, ot i ten adamaszek co pani nosi drogi i ta chustka tiulowa haftowana droga, i tych korali nad Dunajcem w piasku nie znajdzie a przecie kiedy się zaszanuje to tanie a piękne...

— To prawda! kiedy się zaszanuje!

— A widzi Pani!

— No to dobrze! to memble fraszka bo jużcić i w kościele człowiekowi miléj kiedy ładnie. To słuchajże pan!,..

— Słucham!

— Damy panu tysiąc *śrybła*!... i.

— To mało! ani mowy...

— Ale słuchajże mnie pan: tysiąc *śrybła*, sześć łyżek śrybnych i sześć łyżeczek do kawy i dwie krów dojnych i wyprawę domową, kilka sukien na lato, kilka na zimę; futro, sześć spodniczek dymkowych...

Pan Jakub znowu w śmiech serdeczny. To mało! to wszystko mało!

— Ale słuchajże pan: i korale z krzyżem i kulczyki śrybne, i pierścionek z krwawnikiem... i ze dwa połcie słoniny albo wieprza karmnego...

— To wszystko mało...

— I na memble ze sto śrybła...

— Sto srebła! na meble? a toby było!... eh! z panią widzę końca nie dojdzie, pfe takie skąpstwo...

— Ale panie Jakubie; niechno pan da spokój; bo ja nie skąpa; ażebyś pan nie myślał tak o nas: to damy panu dwa tysiące *śrybła* i na memble...

— Mało — mało!

— .... I wyprawę: sześć spodniczek dymkowych... i *priskinę* jedwabną...

— Co? co? priskinę?—

— A tak, nową jedwabną.

— Ah! krispinę!

— Tak *priskinę* nową! i sześć!...

— Téj chwili weszła panna Maryanna; więc trzeba było rozmowę przerwać! Wraz z jéj przybyciem przyszła kawa i śmietanka i arak i znów się rozpoczął drugi tom białéj kawy z arakiem. — Pani Maciejowa za nadto zabrnęła w przedmiot wydania córki, aby całkiem zmilczeć mogła. Rozpoczęła więc na nowo zwracając mowę do Maryni:

— Widzisz Maryniu! pan Jakub mówi: że mu się bardzo podobasz i niechce wierzyć że się tobie także podoba...

Zawstydzona Marynia oburzyła się na tę gadatliwość matki i wyrzekła z dąsem:

— A już też prawda że mama taka zabawna, takie mama rzeczy baje...

— Marysiu dziewczyno! dajno spokój! i ja była dziewczyną a słuchałam co mi matka gadała, bo matka pewnie dziecku swemu na złe nie chce. Ty to sama kiedy zobaczysz jak ci pan Bóg dozwoli być matką.

Pan Jakub znowu w śmiech, a Marynia już nie na żarty niedyskretną matki mową oburzona i zawstydzona uciekła z izby. Dobrze że Maciéj wrócił z nieszporów

a z nim stary kapitan, który jeszcze za drzwiami wołał: *Guten Abend Fräulein Mary! guten Abend!* Ale niebyło Maryni, więc pan Jakub wstawszy odrzekł: *Guten Abend!* dobry wieczor! Poznano się nawzajem, a za pomocą téj *metastazy* zabierał się pan Jakób koniecznie do Tarnowa z powrotem. Przy pożegnaniu usłyszał kilkakrotne zaprosiny od pana Macieja i pani Maciejowéj która nie omieszkała mu powtarzać raz po raz: Bo ja pana bardzo lubię! bo to pan przecie i mądry a nie taki hardy, tak się pan z człekiem ugadasz, że aż miło. Panna Maryanna przywołana na pożegnanie, bez trudności przyszła, a kiedy Jakub koronując *figla* swego w rękę ją pocałował i przy téj sposobności lekko uścisnął: spuściła dziewczyna oczy, a matce spłynęły zrenice łzami radości, i ani kawy niedopiła ani kapitana nie słuchała, ale poszła do śpiżarni, zamknęła się, klękła i zmówiła Akty strzeliste do Matki Boskiéj, aby zamysłom jéj błogosławiła. —

## Wieczór u Panny Emmy! — Dos-à-dos!

Panna Emma przyjmowała także gości: ale innych i inaczéj.

Przyjaciołkę swoją Lizę, przyjmowała bez wszelkiéj etykiety: jako przyjaciołkę od serca! A była sobie panna Liza może troszkę za przysadkowatą; oczy miała duże czarne, wcale niebrzydkie, nosek mały, usta okrągłe, a ząbki drobniutkie i często je pokazywała. Włos czarny bujny, cera blada a wymowa szczebiotliwa i troszkę szepleniąca. Zwykle mówiła po polsku ale łamanym językiem; kiedy zaś chciała światu zaimponować, a zagadała po francuzku: to i Polska miała dosyć i Niemcy podostatek a Francuzom się przecie coś dostało! Gdyby tak na złośnika, toby rzekł: że gadą wszystkiemi mo-

wami, jak za apostolskich czasów. Owóż panna Liza przyszła sobie sama, jako emancypowana panna a na wstępie oświadczyła: że po nią ma przyjść ładny *Marquis Vasquez!!!!*

Dwie siostrzyczki w niebieskich sukienkach przyjęto grzecznie ale z pewném wymuszeniem. A była temu przyczyna szczególna. Młode bowiem wesołe dziewczątka lubo się porodziły gdzieś w niepołomskiéj puszczy; jednak największą część życia na Morawie spędziły, gdzie ojciec ich urzędował, a one odbierały wychowanie gospodarsko-muzykalne. Gospodarować jeszcze nie miały na czem, ale muzyka była ich drugą duszą, a co tylko z rodzinnych naszych śpiewów dostały, uczyły się na pamięć, wyśpiewując przy fortepianie z wielkim zapałem, lubo nienajczystszym akcentem; uczucie jednak było najczystsze.

Panna Emma nielubiła tego słuchać zwłaszcza w liczniejszém gronie; aczkolwiek nadwiślanka zabita w całem pokoleniu swojem nieznała osoby, którąby była w stanie wymówić: *łuj* nie *uj*, *mydło* a nie: *myduo*, jednakowoż ceniła tylko arye z najświeższych oper, i popisywała się czasem z niemi kalecząc niemiłosiernie text niemiecki. Dlatego to względem tych dwóch niebiesko ubranych dziewcząteк, u których serce było jak na dłoni — okazywała się zimną, a nawet lekceważącą.

Panią komissarzową znowu przyjmowała jak najgrzeczniej uwzględniając rangę a jeszcze bardziej świetny stopień: *Elegantki!* którego tytułu całe miasto odmówić jéj nie śmiało i nie mogło. — Ona bowiem pierwsza obręcz w spodnicy, ona pierwsza włosiennicę zawdziała; najpierw na niéj podziwiały Tarnowianki *kryspinę* i *Mantyllę z kapiszonem o czerwonym kutasie;* jak obecnie, ona pierwsza pokazała światu jak „dobrze do twarzy“ młodéj kobiecie z kędziorkami w około główki

*à la Titus!!* — I któżby nie oddawał hołdu i cześci tak znamienitej, w świecie mody, pani komissarzowéj, któréj wszyscy zazdrościli, a która przecie miała swego mola!... (bardzo proszę nieuprzedzać się i nieprzywodzić na pamięć starego jéj męża; bardzo proszę)!.. mola, który ją gryzł i dręczył: że nie umiała: *dos-à-dos!* ale o tem potem!

Przez wzgląd dla pani komisarzowéj przyjęto dość grzecznie jéj towarzyszkę, kuzynę męża jéj, bardzo miłą osobę słusznego wzrostu, zdrowéj cery, która gdzieś na Podolu czy Pokuciu, czy gdzieś tam za wodami u jakiejś bardzo bogatéj hrabiny za guwernantkę była i dobrze śpiewała do gitary. Obecnie przyjechała poznać swą piękną Wujaneczkę, która ją wprowadziła ze sobą.

Już się Panie przywitały, już pogadały o sukniach i kołnierzykach i o żydzie krawcu co tak doskonale sznurówki i gorsety robi: że tam i Wiednia nie trzeba i o wszystkich mężczyznach zdania zapadły; już hafty i mozolne *mereszki* chusteczek batystowych zoglądano, a z Panów jeszcze ani jednego nie było widać! — Już z rączki do rączki obeszły maleńkie wazoniczki porcelanowe z kwiateczkami sztucznemi, i figurki porcellanowe pocieszne: to zakonnik wesoły, to gałganiarka z putnią na plecach to piesek i myszka i wszystko! i koszyk ścienny haftowany podziwiano! i robotę na kanwie! i co tylko było! — W ostateczności przystąpiono do środka najostateczniejszego i zaczęto oglądać *kwodlibety!* — *Kwotlibet!* ach! drogie wspomnienie dla badacza postępu i dziejów umnictwa w Galicyi! *Kwotlibet!* ta jutrzenka, ten zwiastun zamiłowania artystycznego ten łącznik płaskorzeźby z malarstwem! ileż tam myśli, ile czucia, ile dowcipu!—: Tu żona średniowiecznego rycerza, zakonu smoka albo lwa, o zdradę niesłusznie pomowiona w więzieniu zamknięta wznosi o-

kowane ręce, nad niemowlęciem swojem, co się z barłogu zbutwiałego ku niéj uśmiecha; a tam z boku mops na nią szczeka a nad nią bocian żabę niesie! — Tu Suwarow na koniu jedzie przeciw Napoleonowi a między niemi stanął kiełbaśnik i raczy ich smacznym wyrobem! — Tu kościół wywrócony przez pół a z pozaniego wygorsowana jakaś francuska dama; tu widok morski, a tam cebula czerwono *illuminowana*, tu rycina sławnego Falka, barbarzyńsko obcięta, a tam *krewinklerski* burmistrz na szczecistym wierzchowcu ugania i t. p. i t. p. i t. p.!

Jak znak honorowy na piersi lub blizna na twarzy walecznego wojownika, tak *kwotlibet* koniecznym był na ścianie tak zwanéj naszéj intelligencyi, jeszcze do niedawna; ileż to rycin padło ofiarą wzmagającéj się oświaty! ile dzieł mianowicie z przedmiotu nauk przyrodzonych! Lecz stało się! *fait accompli! kwotlibet* jeden i drugi sążnisty wisiał na ścianie, panie podziwiały i właśnie spostrzegły małpeczkę prześliczną, kiedy...

Zadzwonił dzwonek na sprężynie do siennych drzwi przybity, i słychać było mocne tupanie i skrobanie podeszew i pokaszliwanie i głosy grube... i weszli panowie kawalerowie w liczbie puł tuzina!

Dwóch Czechów od *Bunclau* i *Czaslau* szli przodem, za niemi Szlązak od *Oderbergu*, Morawian od Znajmu, a drugi z Berna, a w końcu *hałycka detyna*, rusinek młody z nad Dniestru ostrożnie drzwi zamykając. Inny duch wstąpił w Panie ale nie we w wszystkie: bo Liza, niby wyglądała kogoś i Emma wyglądała kogoś! Liza sobie, Emma sobie uszkiem strzygły i w okno od niechcenia spozierały.

Przybyli Panowie byli po większéj części *applikantami* przy różnych urzędach; młodzi ludzie a każdy prawie swojego właściwego kroju, a odgadnąć ich nie było trudno!

W krótkim czasie utworzyły się gruppy i rozebrano role: Jeden Czech i Panna Emma siedzieli przy *fortepianie*, drugi zajął stanowisko obok panny Lizy; Morawianie i Szlązak przy siostrach niebiesko ubranych, a halickie dziecko wynurzało w dobranych wyrazach głęboki hołd i cześć pięknéj pani *komisarzowéj*; gędziebna w końcu guwernantka siedziała nieboga samotnie! — Wszyscy rozmawiali prócz grających i guwernanki. Adonis panny Lizy stał wyprężony, i widocznie silił się okazać układ swój światowy i pociąg serdeczny do czterech tysięcy Złr. posagu Panny Lizy, głośnego po wszystkich ulicach i biórach!

— Jakże zdrowie pani?

— Wyborne! a Pan jak się ma? już dawno niemiałam szczęścia go widzieć!

— Proszę pani! byłem bardzo zajęty; we dnie urzędowaniem a wieczorami przygotowaniem się do *egzaminu z kameralistyki*, który (musi pani wiedzieć!) daleko trudniejszy od *kryminalnego*, a nawet od *politycznego*. Bo cóż oni w *kryminalnym* mają? dwadzieścia trzy zbrodnie i kilkanaście *paragrafów procedury karnéj*. Polityczny: to sama *kazuistyka*, ale nasz! to co innego! — Począwszy od definicyi „*placu celnego*“ aż do..... ileż to najrozmajtszych przedmiotów zawiera: to stęple, to cła, to dobra kameralne, lasy, górnictwo i Bóg niewie co! to tęgo trzeba przysiedzieć!

— Ale pan już umie? rzuciła Liza od niechcenia, spoglądając w okno.

— Nie tylko że umię, alem już zdał! naturalnie! i *adjutum* już mam ustalone, i *awans* zapewniony... i tylko mi jednéj rzeczy nie dostaje...

— Czegóż naprzykład?

— Lubej, dobréj żoneczki... rzekł patrząc się jak mógł najczulej na Pannę Lizę, która poziewając lekko,

odrzekła: A to czemuże się Pan nie żeni, kiedy Pan ma ochotę?... i znów spojrzała w okno. — Kawaler westchnął i zamilkł. Liza także się nieodzywała, i tak milcząc poszli oboje do tańca, bo właśnie *Szperlpolka!* zabrzmiała skocznie. Konkurent w chwili wytchnienia nieprzestawał bawić panny Lizy rozmową z któréj dowiedziała się: że ma ślicznego pieseczka... że na śniadanie zawsze mu kobieta z Strusiny nosi za „trzy *dutki*“ śmietanki bo tego godzien będąc bardzo lubym i bardzo schludnym pieseczkiem. Daléj: że niedawno kupił sobie sztukę płótna, z któréj jednak nie było tyle koszul ile się spodziewał, ale za to bardzo się robota udała... chustek do nosa by sobie jeszcze rad sprawić, ale się z myślami bije jakich? bo w sklepie, gdzie zwykle kupował towary niciane, już nigdy nie myśli kupić z przyczyny, że go na *szkarpetkach* okropnie oszukano: za dwa miesiące już się wszystkie na piętach podziurawiły!! a chciałby nienabywać tylko trwałych rzeczy aby kiedyś... ktoś... nieśmiał się z niego... bo jak mówił brakuje mu lubej dobréj żoneczki... i spodziewa się: że znajdzie!...

Mniéj więcéj w podobny sposób, lecz każdy, z właściwém sobie zacięciem, starał się bawić pannę do któréj się przysiadł; — było więc w każdym kącie pokoju pełno szeptów, chichotań się, a nawet i spazmatycznych ziewań. Szczególniéj na twarzyczkach dwóch niebiesko ubranych siostrzyczek, które usiłował bawić poczciwy Szlązak rozpowiadaniem o Cieszynie, jego towarzystwie, zabawach, a przedewszystkiém o wyborném cieszyńskiém piwie, dającém się pić bez końca i miary, nie tak jak bawarskie, którego ofiarą padł pewien tam blacharz wypróżniający go co dzień po kilka kuflów, w skutek czego zdusiła go apopleksya.... Podobne anegdoty sypałyby się jak z rękawa ku wielkiemu ziewaniu dwóch

wesolutkich i trzpiotowatych panienek... bo opowiadający jak beczką heidelberska był niewyczerpanym — gdy na szczęście, nagle pociągniony dzwonek z ulicy przeciągłém dzwonieniem zapowiedział nowych gości.....

— Ach! Vaskez, Vaskez! zawołała z radością Liza i poskoczyła ku drzwiom na przyjęcie gościa. Adonis jéj skarpetkowy zagryzł wargę i wykrzywił twarz z niechęcią.

Pana Markiza Vaskez wprowadzał i przedstawiał pan Walanty, członek urzędu ławniczego miejskiego czyli Magistratu po dzisiejszemu. Obaj różnili się wielce od wszystkich przytomnych ubiorem: Markiz był w aksamitnym czarnym *tużurku* z szkiełkiem na sznureczku, Walanty zaś w sutéj czamarze granatowej. Chwilowa przerwa wnet się naprawiła, skoro markiz obok Lizy a Walanty obok pani komisarzowéj miejsce zajęli. Okoliczność ta sprawiła, że adonis Lizy równie jak Naddniestrzanin zostali *luzakami* i mieli czas patrzyć i słuchać. Oba patrzali na Lizę i markiza, oba słuchali a oba co innego widzieli i słyszeli. Pierwszy widział tryumf markiza i słyszał grzeczności z ust Lizy wyrzeczone, a drugi widział, że Liza nad obyczaj blisko przy markizie stała, a zauważał iż czasami coś cichaczem z sobą mówili. Pierwszy się odsuwał, drugi przez ciekawość zbliżał się ku Lizie. Ponieważ zaś taniec nietylko nie ustawał ale owszem świeżo kadrylem się rozpoczynał, wyproszono pannę Emmę z za fortepianu i stanęły pary obok siebie, rozumié się markiz z Lizą. Pani komisarzowa także poszła i wszystkie panie, boć to chodziło o „*dos-a-dos!*“

Trzeba wiedzieć że Lwowianie onego czasu wielki, wielki postęp w tańcu zrobili. Polonesy nudne ustały, polka fikana na oba boki weszła w obyczaj, a w celu upokorzenia baletników paryzkich wynaleziono nowe ka-

dryle w liczbie 17 czy 19 i z wiekopomną figurą *dos-a-dos*. Opisywać ich nie będę boć to zbyt mozolne; o sławném dos-a-dos tylko wspomnę, że go tańczono plecyma ku sobie, z czego zwykle *karambol* wynikał, a w tém była cała trudność. Jeżeli taniec ma wyrażać czucie lub namiętność, toćby to bardzo łatwo było spolszczyć tę figurę i nazwać: dąs-a-dąs, niby że się obie panie przeciwtańczące podąsały i plecyma się obróciły do siebie.

Pani komisarzowéj jako mężatce zostawiono pierwszeństwo, i trzeba przyznać że słusznie. Trudno bowiem wystawić sobie coś naturalniejszego od jéj tańca; kiedy w obawie zetknięcia się z swoją *vis-à-vis* panną Emmą, natężonym wzrokiem spoglądała ukradkiem przez oba ramiona na Emmę, a usta i całe oblicze przybrało mimowolnie wyraz jakiejś obawy i niecierpliwości połączonéj z uporem, słowem istotnego dąsu a dąsu. Aleć bo i panna Emma doskonale dąsa tańczyła: dąsała się bowiem dusza jéj na Jakóba, na tego poetycznego czułego Kubusia, który sam na sam z nią będąc, zachwycenia napady miewał i chociaż w ogólnikach, zawsze jednak bardzo wyraźnie o nieczułość ją obwiniał, pomawiając cały biedny ród niewieści. Obecnie, kiedy taniec i muzyka uświetnia błogie przypomnienie niebogi: że 19 wiosna widziała ruciany wianeczek na jéj dziewiczéj skroni, w takiéj chwili rzewnéj w któréj każde serduszko panieńskie do żalu się nastraja, wtedy właśnie niewdzięcznika nie było, a co gorzéj, niewiedzieć gdzie się zawieruszył. W tak więc okropnym *humorze* mogła Emma wyśmienicie tańczyć dąsy.

I tańcowała doskonale — i wszyscy w te dwie panie oczy wlepili: jak zgrabnie się mijały; mianowicie pani komisarzowa, któréj wielce chodziło o to, aby piękna jéj suknia o wysokiéj *walizie* z tyłu, z honorem walkę *Terpsychory* odbyła. Słowem było na co popatrzyć, tyl-

ko Liza nie miała czasu spoglądać. Markizą zostać, Markizą! żoną hiszpana, który jak już z aksamitnego *tużurka* znać, bardzo musi być bogatym, a kto wié, może i dziedzicem *Alhambry* cudnéj, któréj fantastyczne łuki i *arabeski* dopiero niedawno w *Pfenig-Magazynie* podziwiała. Zresztą nie koniecznie być dziedziczką *Alhambry*, byle hiszpana za męża dostać i po Tarnowie, Rzeszowie, Bochni a może nawet i po Lwowie słynąć rzadkim tytułem Markizowéj. Opojona nadzieją tak wielkiego szczęścia, nie poglądała Liza na dąs a dąs, ani zważała na wyniosłą *walizę* sukni pani komisarzowéj, ani na zgrabne ukazowanie pięknego haftu balowéj spodnicy, ani wreszcie na to, że jéj ubóstwiany hiszpan wraz z nią przy wąskim stoliku stojący o stolik się oparł a dla wygody obie ręce między siebie i ostrą krawędź stołu podłożył. Ani tego nie zważała, że romantyczny naddniestrzanin z zadowoleniem topił oko w bujnéj postaci pięknéj pani komisarzowéj, i w ładnych włosach, i prześlicznéj tiulowéj chmurce, która alabastrowe jéj popiersie lekkiém przezroczem zamgliła. Zatopiony w ponętnym obrazie, uczuł żywsze bicie serca i potrzebę oparcia się. Stolik bliski był ku temu bardzo przydatnym. Stanął więc obok markiza i sparłszy się jak on o stolik, wyciągnął prawą rękę po za jego plecy i patrzył daléj na tańczącą panią konsyliarzową: a serce mu coraz mocniéj biło, i twarz mu się rozogniała, a w głowie czuł wezbranie mózgu. W tém mu się zdało, iż niby czuje lekkie ściśnienie prawéj ręki która za plecyma markiza spoczywała. Za chwilkę wyraźnie poczuł uścisk pulchny-miękki-czułogorący! i wnet się dorozumiał istoty czynu. Panna Liza bowiem w uniesieniu w jakiém się znajdowała, zerknąwszy bokiem obaczyła rękę za plecami markiza. Będąc pewną że to markizowa wierna prawica, nie wahała się wystąpić zaczepnie *w manewrze* miłosnym jak widać często już powtarzanym, i nie wiele

myśląc, ścisnęła z lekka rękę widzianą, która jednak nie była własnością Markiza. Naddniestrzanin rad téj niespodziance pochodzącéj z omyłki, nietylko że się przyczaił, ale owszem z całą improwizowaną czułością oddał uścisk rączce Lizy... i nastało wielkie, ciche, czułe i serdeczne obopólne ściskanie!!. Podczas tego Liza chcąc widzieć jakie to sprawia wrażenie na markizie, wlepiła namiętny wzrok w odętą twarz kochanka, i dziwiła się w duszy, iż tak serdeczny, tak wielomowny uścisk tak mało robi zmiany w rysach mężczyzny, którego twarz gdyby z głazu lub raczéj z papendeklu utworzona, tak obojętnie przed siebie patrzyła, że rozpaczaćby można. Zimną krew zachowujący naddniestrzanin, widział ten żar w jéj źrenicach, ten płomień na twarzy; a porównywając z obojętną miną markiza, nie mógł już dłużéj wytrzymać. Ująwszy tedy silniéj rączkę Lizy, nachylił się ku niéj i rzekł: Panno Lizo, czy dziś prima Aprilis? — Liza będąca w siódmém niebie, nie zrozumiała pytania, i silny uścisk silnym uściskiem oddała. Tu już trzeba było wyraźniéj zagadać i dobitniéj dać do zrozumienia: „Pani się pomyliła“ powtórzył niegodziwiec, i jak ściśnie rękę, aż Liza w głos wykrzykła owém panieńskiém przeraźliwém: Ach! którego wysokość tonu po nad *sferę nót muzycznych* sięga.

Wszyscy się obejrzeli na nią, a Markiz wytrzeszczył siwe oczy jakby chciał powidzieć: Co wy tu proch wynachodzicie? Czy co? bo ja go niemogłem wynaleść. Niektórzy się domyślili prawdy, drudzy nie. Ponieważ zaś kolej tańcu przypadała właśnie na Markiza z Lizą i Szlązaka z młodszą panienką w niebieskiéj sukni; tańcowano dąs-a-dąs z taką doskonałością, że lwowski wynalazca widząc to, nieposiadałby się w radości i nieręczę czyliby ze skóry niewyskoczył. Bo to Liza na prawdę była zadąsaną na Markiza: że taki niedomyślny; a na figlarza od Dniestru: że taki domyślny i złośliwy; a

na całe towarzystwo: że słyszało wykrzyknik i mogło się Bóg wié czego domyślać. Mała zaś niebieska panienka dąsała się na swego tancerza od Szląska, że ją niestara się bawić, bo wyczerpawszy swoje wiadomości o Cieszynie, niemiał już co powiedzieć. Tak tedy obie panny słusznym gniewem uniesione ledwie stopą posadzki dotykając, skakały plecami do siebie obrócone, i dąsały się tak prześlicznie: że szkoda jeżeliby świat niewdzięczny zapomniawszy dąs-a-dąs; pozbawił się tak przecudnéj *lwowskokadrylowéj figury*, któréj ani *walc-kozak* ani *walc-kołomejka* ani *kadryl-kołomejka* ani *węgierski kadryl* ani żaden *galicyskosłowiański* taniec nie posiada ani zastąpić zdoła.

Po skończonych pląsach panowała wielka rozmaitość humorów; bo to panna Liza powarzona; niebieska sukienka zadąsana; markiz zdziwiony; Emma bolesno zadumana; naddniestrzanin uśmiechający się; i niebrakowało tylko pana Jakuba, który nareszcie przybył i skwasił do reszty wszystkie humory!

Powitany od Emmy owym niemym a wyrazistym dygiem, owym zimnym uśmiechem, który gdyby chłodna piana na kipiącém morzu namiętności igra; poczuł się do grzechu i zaczął od przeprosin. Łatwo odgadnąć iż mu przerwała mowę zwykłem w podobnych okolicznościach: Niewiem dla czego się pan uniewinniasz? — nikt pana niepomawia o nic — nie miałeś pan czasu wcześniéj, więc przyszedłeś pan późniéj.... niedziwię się.

— Ale moja pani! chciéj też wysłuchać mego uniewinnienia się, czyli raczéj opowiadania, bo ciekawe.... ja właśnie jadę ze swatów!

— Ze swatów? ze swatów?! zapytała zdziwiona Emma — a za nią chórem reszta pań i panów powtórzyło to pytanie.

— Tak jest ze swatów! i to nie jam swatał ale mnie swatano: z młodą, ładną, grzeczną i posażną panną....

— Co? co? co? z młodą ładną posażną? i panbyś niechciał takiego kąska?

Pan Jakub nieodpowiedział: ale zaczął od opisania osób i okoliczności, przytoczył całą rozmowę z panią Rzemieńską, wytykał kilka razy zabawne wyliczanie posagu, i w najlepsze przedrwiwał i z matki i córki; — a kiedy był w najwyższym ferworze opowiadania przerwał mu nagle pan Walanty.

— Niech pan wybaczy! ale to wcale niema z czego szydzić że się znalazła poczciwa matka, która panu chciała oddać dziecko ukochane w zamęście a majątek w posagu; jedno i drugie jak sam wyznajesz nie do odrzucenia.

— Ależ panie Walanty sposób w jaki...

— Sposób? uważam: że dla pana był za nadto poczciwy, kiedy się pan wyśmiewasz że szczere przywiązanie, szczerze wyjawili. Jednakowo chcieli panu oddać wszystko co mieli drogiego, i to zniezwykłą szczerością; widać że panu prócz majątku, powabu i dobroci koniecznie trzeba deklamacyi...

— Nie deklamacyi ale przecież jakiejś maniery, jakiegoś znalezienia się...

— Gdzież się to ma znaleść?

— Wszędzie?

— Ej panie! zwykle ci co się umieją wszędzie znaleść, nie umieją się znaleść we własnym domu; u obcych są jakby w domu, u siebie zaś jak u obcych. Inna rzecz świat wielki, rody historyczne i majątki krociowe, a inna my biedni oficialiści. Tamci żyją kosmopolitycznie, żyją zagranicą i konieczna im maniera wielkiego świata do której trzeba dużego majątku. Pan masz *adjutum* 300 złr. prawie na rękawiczki w wielkim świecie, a największa nadzieja: urząd radcy. Niewiele słyszę aby po urzędniku majątek dzieciom pozostał, więc sądzę, że

nam *maniery* małego świata: oszczędność, skromność, potrzebniejsze...

— A wiesz pan! gdyby Rzemieńska wiedziała jakiego w panu orędownika posiada: toby panu pewno tak miód na wargi smarowała jak mnie!

— Zaręczam, że gdyby mnie jéj córka wybrała, a dali mi ją: podziękowałbym Bogu! — jeżeli to prawda że tak poczciwe są jak ich pan opisujesz; zaręczam oraz, żebym potrafił młodą żonę niezepsutą i bez *manier* wielkich prędzéj nauczyć światowości życia z ludźmi, niżeli przekształconą odzwyczaić od zbytecznych i wcale niekoniecznych wielkoświatowych *manier*. A matka w staroświeckim ładnym stroju i mówiąca co serce czuje, nieporównanie więcéj warta od różowanéj staréj jakiéj *kokiety* w napuszonych czupidłach na głowie.

Wymówione słowo *róż* — wywarło skutek niespodziewany na Lizie, która troszkę miała go na licu. Zrażona pomyłką w uściśnieniu ręki, przelękła się że i róż na twarzy wyśledzony i straciwszy równowagę umysłu, ni z tego ni z owego zerwała się i kłamiąc różne powody pośpiechu odeszła w towarzystwie markiza i — czego się nikt niespodziewał, naddniestrzanina. Niecnota ten po owym wykrzykniku ciągle jeszcze przy niéj stawał i ciągle jéj coś szeptał: — Odchodząc jednak nieżegnał się, oświadczając, iż tylko Lizę odprowadzi i wróci.

Chwilowa przerwa niezakończyła sporu między panem Jakubem i Walantem, owszem poddała ostatniemu świeżéj osnowy.

— Ot! patrz pan! panna Liza jest według widzenia rzeczy twego, osobą *z manierami* i tem czemś! co pan tak wiele cenisz — niebrakuje jéj nic prócz tego co pan w Rzemieńskiéj wyśmiewasz t. j. niezepsucia! Widzieliśmy dokąd wiedzie *maniera* przenoszona nad skromność dziewiczą....

— Cóż to było właściwie między niemi?

— Co było? pytaj się pan panien i pań czego się tak chichoczą ukradkiem jedna do drugiéj....

— Cóż takiego? bo niewiem co zaszło.

— Nic osobliwego.... Adonis klękając przed panną nóżkę jéj przydeptał...

— Eh! nieprawda? bo się panie śmieją.... to coś innego....

— Niesłuchaj pan! nie nożkę przydeptał, ale serduszko scisnął, które na chwilkę w rączce zamieszkało! — tłumaczyła pani komisarzowa i rozmowa ożywiwszy się obmową przeszła na inne pole gdzie bohatyrem był markiz.

— Ale! bo ja widzę że państwo wszyscy pana Wencla Waszkowica na serio macie za markiza.

— Przepraszam! ja nie! my oba z Bunclau rodem, od dzieciństwa się znamy i tu w Tarnowie z sobą żyjemy; odrzekł Czech muzykalny.

— On nie markiz?! zapytały zdziwione panie.

— A jużcić że nie! ale, że w aksamitnym tużurku chodzi i miny stroi gdyby *Grand* hiszpański: więc my go z figlów nazwali markizem, a państwoście uwierzyli. Waszkowica przerobiliście na *Vaskeza* i dyplom gotowy.

— Bójcie się Boga! tać Liza pomieszania zmysłów dostanie skoro się dowie o tem.

— Nie będzie jéj nic! niech się pani komisarzowa uspokoi, ona ma na tyle *manier i rutyny:* że się wykręci z kłopotu.

Pogadanka szła coraz żywiéj, śmiano się żartowano i wszyscy z ciekawością wyglądali powrotu naddniestrzanina. Przyszedł niebawem, i przywitawszy się, wydobył pakę karmelków i zaczął przytomnych raczyć, począwszy od pani komisarzowéj.

— A panu co takiego z karmelkami?

— Cóżby było? dostałem od panny Lizy trzy funty odczepnego i traktuję panią.

— A toż znowu co? jakież to odczepne?

— Oto tak: Pod adresem Markiza mnie się dostało uściśnienie anielskiéj rączki, ja zaś będąc panem sekretu pogroziłem, że jeżeli mi nie da trzy funty karmelków odczepnego to wszystkim opowiem, co ją tak przestraszyło, że niby żartem kupiła karmelki. Niechże panie biorą, bardzo proszę i pożywają za zdrowie panny Lizy.

— Idź pan! nie lubię pana kiedyś taki Judasz! zażartowała zagadniona i śmiech ogólny powsłał z téj nowéj awanturki. Nawet Emma która z początku noskiem krzywiła że z jéj przyjaciołki żarty strojono, niemogła śmiechu powstrzymać i cała wieczorynka zeszła wśród wesołéj zabawy i żartów.

Wkrótce gadano po mieście: że rozczarowana Liza dowiedziawszy się prawdy o Markizie wyjechała do ciotki mieszkającéj we Lwowie, że Jakub się oświadczył pannie Emmie, a Walanty podobno się żeni z Marysią Rzemieńską, którą mu niechcący pan Jakub zarekomendował.

## Organizacya będzie!

Spełniły się życzenia pana Jakuba. Wkrótce bowiem uzyskał posadę *aktuaryusza* przy jednym z sądów karnych galicyjskich, a *Zahlungsbogen* t. j. assygnata płacy 500 złr. m. k. otworzyła mu bramy świątyni *Hymenu*. — Ślub się odbył modnie: za *indultem*, na rannéj mszy, niby ukradkiem. Mimo to zebrali się licznie znajomi i dziwili się pięknéj i drogiéj sukni ślubnéj panny Emmy, tiulowéj na białym atłasie, obszytéj koronkami i blondynami i brylantowym kulczykom i przyznali jednogłośnie: iż wygląda na księżniczkę choćby teatralną, ale zawsze nie na oblubienicę skromnego aktu-

aryusza. Niemniéj podziwu wzbudzała czwórka pożyczana i dryndula stara, także pożyczana, którą do ślubu jechali, a którą z błota obmyć woźnica wiejski na wieki zapomniał. Po ślubie dziwiono się nad przepychem zastawy stołu i cukrów i szampana musującego jak cztery pułki *zuawów Bosqueta*, i tylko tę mającego wadę: że niekorzystnie na wolność żołądków działał. Podziwiano niemniéj romantyczność nowożeńców: jak się po tysiąc i znów po tysiąc razy przy gościach całowali, — i znów całowali — i jeszcze całowali!! Po śniadaniu, które trwało do drugiego rana, i do którego panie zasiadły nie zdejmując kokardziastych i pierzastych kapeluszów i w nich do wieczora przesiedziały; rozdzieliło się towarzystwo na gruppy i podczas kiedy młodzi żartowali, obliczali starsi mruczkiem: ile też takie wesele kosztować mogło? I niezdawało im się to mądrze; aby panna z posagu wynoszącego parę tysięcy złr., 300 złr. na ślubną garderobę i wesele, 300 na wyprawę od słabych kitajek i muślinków obracała. Ale to zawsze było niegrzecznie ze strony tych starych parafiańskich mruków obliczać cudze wydatki! Co im do tego; dano wam jeść i pić siedźcie cicho.

Po weselu dziwiono się zbyt długiemu odosobnieniu się nowożeńców od świata, czyli wyrazem kawalerskim: zbyt długiéj *kwarantannie* poślubnéj. Lecz kiedy już państwo młodzi wychylili głowy na świat i rozpoczęli oddawanie *wizyt*, (rozumie się znowu pożyczanym *ekwipażem*); dziwiono się piękności źrebięcia łysego, które przy matce swéj licowéj klaczy skacząc, wszędzie sielankowy obraz niemowlęcia u łona przed oknyma wizyty powtarzało. Jeszcze bardziéj podziwiano przezorność woźnicy, który znać niedowierzając miastowéj gościnności, tęgą wiązkę siana zamiast lokaja, z tyłu ekwipażu przypowroziwszy: na korcowym pełnym worze obro-

ku, wysoko jak na stolcu królewskim usiadł i często gęsto węzłowatym batem, gdyby buławą wywijał.

Pan Walanty zostawszy Assesorem Magistratu, gdzie p. Maciéj do rady miejskiéj należał; z mniéj wyrafinowaną paradą zaślubiał rumianą Marysię Rzemieńską. Zapowiedzi szły zwykłym porządkiem, przez trzy niedziele; a zaraz po pierwszéj, przyszedł stary ów szlachcic w złocistym pasie — co to się starając o Marysię matkę jéj „Dobrodziejką“ tytułował — i wymawiał: że mu dała odkosza, i groził wiecznym gniewem, jeżeli go na wesele, sama, ustnie niezaprosi. Naturalnie zaproszono najuroczyściéj, i panią siostrę jego i pana brata jego. Raczyli zjechać suto i przywieźli jeszcze sąsiada, który często z Maciejem interesa robił, a którego Maciejowie przez skromność prosić nie śmieli. Mieszczanie powydobywali staroświeckie kontusze i pasy, a mieszczki kornety; więc naturalnie i ksiądz Gwardyan w litéj kapie ślub dawał i wszystkie ołtarze oświecić kazał. Wesele trwało dwa dni, nie o szampanie wprawdzie ale o węgrzynie i miodzie i chociaż wszystkiego było obficie i goście się doskonale bawili, przecież niekosztowało tyle co śniadanie Jakuba. Panna młoda ledwie przeledwie, że się po oczepinach dała pocałować, a trzeciego dnia udali się najprzód do kościoła a potem do łaskawych gości z podziękowaniem, rozumie się pieszo: bo całe miasteczko za godzinę można było obejść. Pani Rzemieńska zaś, cieszyła się niezmiernie iż wydała córkę *z unorem* za Assesora Magistratu miasta swego rodzinnego, a wszyscy mieszczanie i mieszczki kłaniali się głęboko panu Assesorowi i pani Assesorowéj, która nazajutrz po ślubie 2000 złr. gotówką pod poduszką znalazła i jako ufająca żona, mężowi swemu oddała.

Minęło lat kilka, szybko ot! zwykle jak lata mijają. Walanty rozsiedział się na *assesorstwie* jak na krześle

wygodnym. Mieszczanie go szanowali, żydzi z zaufaniem szli po radę wexlową, a nie jedną gąskę i nie jedną kopę jaj zniosły wieśniaczki przychodzące z prożbą: aby poradził: jakby to zmusić justycyaryusza do ukończenia *pertraktacyi massy* i kłótni o *grunt* po ojcu, która kłótnia sądowa już czwarty rok trwa i blisko sto złr. kosztuje a końca jéj niema.

I pszeniczkę się nie zawsze kupowało: bo tu szlachta o *kontrakt*, tam o *kompromiss* prosiła i znała się czasami na rzeczy. Słowem! dobrze się panu Walantemu powodziło, i tem lepiéj: że pilnowaniem urzędu i pracą zasłużył sobie na kilkokrotne pochwały pisemne przełożonych. Dziatek mu Pan Bóg dał dwoje, więc się i zapiecek zaludnił a babka sama nastawała na kupno dywanika nie drogiego i meblików przyzwoitych a nie drogich: żeby i świat nie obmawiał i wnuczęta biegając bosemi nożętami kaszlu się nie nabyły. Pani Assesorowa zaś za powodem męża nabrała prędko *maniery* i uchodziła za bardzo przyzwoitą kobietę dobrze widzianą w małem kółku znajomych z któremi mąż jéj przestawał.

Nie tak pomyślnie wiodło się panu Jakubowi.

W lat kilka, pochwytano całą bandę złodziejów i rabusiów, a Magistrat miasteczka odebrał rozkaz z całą surowością sprawy téj dochodzić, w skutek czego kilkunastu obżałowanych popadło *procedurze* karnéj. Odstawiał ich Walanty, któren jako sędzia karny i cywilny do tego processu delegowany, sam akta wraz z więźniami oddać miał. Zasiedziawszy się lat kilka w małém miasteczku, rad był przejazdce i sposobności obaczenia się z dawnymi znajomymi, mianowicie z Jakubem, który przy tymże sądzie karnym urzędował. Uwinął się więc z oddaniem, i poszedł do Jakuba, którego tylko nawiasem w urzędzie przywitał, aby go odwiedzić i pogadanką dawne wspomnienia obudzić.

Wszedłszy do przedpokoju, a niezastawszy nikogo — zapukał do drzwi i poszedł dalej. Znowu niema nikogo. Myśli sobie: cóż tu takie pustki? w tém z trzeciego pokoju słychać płacz niewieści i dziecka. *Ryzykując* ujść za niedelikatnego zaglądnął i ujrzał: Emmę siedzącą w karle ze zwieszoną na ramie głową a wyprężoną ręką — łkanie i płacz jakiś dziwny wydobywał się czasami z piersi — słowem: *w spazmach;* — Chłopczyna bledziutki jak opłatek, w szkockich majteczkach po kolana, siedział na ziemi i silił się wdziać trzewiczek aksamitny, co go dużo nadaremnéj pracy kosztowało; a w pięknéj kolebce leżało dziecię obsypane kartami, któremi się bawiło i wyciągnęło rączęta ku Walantemu z uśmiechem aniołka! Chłopczyna, nie mogąc wdziać trzewika oglądnął się na matkę i zawołał płaczliwie: Mamo! zawsze mama płacze i płacze! niewiedzieć czego; a Munio chodzi boso i niemoże się obuć sam; a pan doktor powiedział: że jak się Munio jeszcze raz zaziębi to umrze, i w ziemię go zakopią! a Mama dopiero wtedy... W tém spostrzegł Walantego i wytrzeszczył siwe oczęta.

— Jest Tato w doma? szepnął Walanty.

— Jest! tam w swoim pokoju...

Z westchnieniem wymknął się na palcach i wróciwszy bawialnią szedł w drugie drzwi przedpokoju. Znalazł Jakuba; z cygarem w ustach chodził po pokoju i rzucał wzrokiem w około jak gdyby wyzywał kogo do bitwy. Przed wchodzącym stanął i udając spokojnego i uśmiechającego się rzekł: Jak się masz Walanty?

— Jak się masz?

— Ot tak dobrze!

— Bój się Boga Jakubie! tać twoja żona jakąś słaba?—

— Słaba? czyś tam był u niéj?

— Szukając ciebie zaszedłem do niéj.

— Pozwól na chwilkę! zobaczę co jéj jest...

Poszedł i w mgnieniu oka wróciwszy; zapalił świeże cygaro i z najzimniejszą krwią odrzekł: Co ci się śni o słabości? to spazmy które często miewa!

— Spazmy? albo to spazmy nie słabością?

— At! śmiéj się z tego! — mówmy o czem innem! gdzie będziesz dziś wieczór?

— Sam niewiem jeszcze.

— Przyjdź do mnie zagramy trochę; zapoznasz się z kilkoma kollegami.

Przyjął Walanty zaproszenie i wypaliwszy podane cygaro ruszył w miasto za sprawunkami a wieczorem stawił się pełen smutnéj ciekawości. Zastał już towarzystwo złożone z kilku mężczyzn, i w krótce zasiedli do kart. Dla uczczenia Walantego grano w bawialni, a Walanty miał dobrą sposobność przypatrzyć się pięknemu onéj urządzeniu. Grali wcale wysoko, ale cóż było robić: „Wlazłeś między wrony, krakaj jak i ony". — Do herbaty wyszła pani Emma i przywitawszy się z Walantym serdeczniéj niżeli się spodziewał, prosiła usiąść obok siebie. Siadł, przypatrzył się Emmie i żal go za serce ścisnął. Nie zbrzydła, nie zestarzała się; lecz ileż to smutku widać było w téj bladéj twarzy! Głos jéj przybrał więcéj dźwięku, ale dźwięku rzewnego, bolesnego, a stłumiane westchnienia, znawcy tylko ludzkiéj natury, widoczne, świadczyły, że w téj wysmukłéj postaci pod tą wciętą i mocno ściągnioną suknią; bije serce boleścią i żalem, gdyby falą morze, ujęte wysokiemi lądy ciasnéj zatoki. Ani wysilony uśmiech, niepokrył wyrazu, ani piękne barwy jedwabnéj sukni niezdołały zwrócić oka i oderwać od smętnego oblicza. Przypomniał sobie żywcem ów wieczór u Emmy w Tarnowie, na którym Jakub żonę jego a w tedy nieznaną mu jeszcze pannę Rzemieńską wyśmiewał. Gdyby na jawie, widział przed sobą Emmę stęskniona za kochankiem i z przerażeniem

porównywał kwiecisty smutek tęskniącéj dziewczyny, z cierniową boleścią żony i matki! Nigdy w życiu nieczuł tak głęboko wielkości błogosławieństwa jakie Bóg na niego zesłał obdarzając go prostotą duszy i skromnością życzeń! Prostocie onéj bowiem dłużen szczęście swoje domowe i żonę na któréj twarzy czerstwéj uśmiech szczęścia lub powaga miłego obowiązku; ale nigdy stłumiony żal i uśmiechająca rozpacz niepostała.

W mało ożywionéj rozmowie zapytał Walanty Emmę o matkę jéj, jak się miewa? i rad był odpowiedzi, że jeżeli sobie życzy to go do niéj zaprowadzi; bo ona z dziećmi w cieple siedzi i radaby się z nim ugadać. Niebawem prosił o tę łaskę i zdawszy *partyę* swą jednemu z panów, poszedł do pokoju gdzie staruszka z dziećmi siedziała.

— Babciu! babciu! ten pan idzie co to przyszedł rano kiedy mama płakała: wołał Munio! zapowiadając gościa. A trzeba babci było takiego ostrzeżenia, bo biedaczka wzrok miała mocno już przytępiony.

Emma przyprowadziwszy Walantego, oddała go matce a sama wróciła do gości nalewać powtórnie herbatę. Odchodząc westchnęła głęboko jak gdyby w przeczuciu ulgi jakiéj, któréj serce jéj tak bardzo łaknęło.

— Jakże mi się pani Dobrodziejka miewa? — zaczął Walanty całując staruszkę w rękę. Kopę lat my się niewidzieli!

— Oj! prawda że dawno! bo to za młodu tylko czas prędko leci, ale czem bliżéj grobu tem wolniéj.... oj! źle się mam na starość! źle panie! wypłakałam sobie oczy, już niedowidzę dobrze, ot! i pana więcéj z głosu poznaję niżli z twarzy. A tu człek niema spokoju przed śmiercią....

— No! no! no; niechno pani Dobrodziejka da spokój! tać to jeszcze nie tak źle jak się wydaje....

— Oj! źle panie źle! ja widzę żem już niepotrzebną na tym waszym młodym świecie! Czegożem się doczekała? ot, to jedno dziecko miałam, wydałam za mąż, i cóż z tego? patrzę się na jéj łzy! i proszę Boga żeby mnie wziął z tego świata, abym nie widziała i nie słyszała.... Tu staruszce płacz mowę przerwał a wnuczek blady widząc łzy babki zapłakał sobie: Niech babcia nie płacze! Munio niechce żeby babcia płakała: bo pan doktor kazał żeby Munia nie żalić; bo jak się rozżali to umrze i w ziemię go zakopią!...

— Cyt dziecię cyt! babcia już niepłacze! chodź pokochaj. babcię!

— Babcia nie płacze? a babci woda kapie z oczów! ja tak nie chcę! ja tak nie chcę! niech sobie babcia oczy obetrze; bo to takie słone to Muniowi zaraz żal się robi, i Munio babci umrze i zakopią go!

Chwila dobra upłynęła nim się uspokoili, bo i Walantemu łzy w oczach stanęły. Wziął chłopca na kolana ucałował, uspokoil, a babka mówiła daléj! —

— A to wszystko niepotrzebnie mój panie! ja zdrowie gubię, Emma zdrowie gubi, on się trapi i życie mu się przykrzy, a wszystko dla czego? że się nie może powstrzymać w swéj *ambicyi*. Chciałby żyć po hrabsku a tu trudno, czasy ciężkie. Mój nieboszczyk mąż, panie świeć nad jego duszą — także był urzędnikiem i żyliśmy z pensyi i to z mniejszéj a wystarczało. Teraz on ma 500 ja mam 300 to 800; a koniec z końcem się nie zejdzie, i długów także nie mało. A potrzebne to? Z początku perswadowałam, prosiłam, to mnie żartami zbywali: żem skąpa, żem taka, żem owaka; teraz kiedy żydzi chcą sekwestrować meble, ona spazmów dostaje a on po całych dniach i wieczorach w domu nie siedzi tylko gra w karty. Ja biedna na starość i dzieci baw i kuchni doglądaj i wszystko; bo Emmie każda rzecz szkodzi, zaraz choruje i kaszle! Ot! źle panie! źle! nie-

raz wołam śmierci, ale kiedy spojrzę na te robaczki, to Boga proszę, żeby mię niezabijał cierpieniem, bo któż sieroty odchowa!...

— I rozszlochała się staruszka, i dzieci widząc ją płaczącą także w beki.

Walanty już nie wiedział co począć ze sobą — tak mu się przykro robiło. Gdy wtem Jakub widząc długą jego nieobecność: w obawie aby się babka z czem niewygadała, przyszedł po niego i zabrał z sobą na powrót do bawialni. Emma siedziała zadumana na kanapie nie mówiąc ani słowa; a kiedy Walanty wszedł, westchnęła głośno i mimowolnie spojźrzała mu w oczy. Walanty, któren jeszcze nie ochłonął z wzruszenia spojrzał na nią i jeszcze mu się jéj bardziéj żal zrobiło. Pod pozorem dziękowania za herbatę, wziął jéj rękę i przycisnął do ust. Ręka zadrżała! Emma konwulsyjnie ścisnęła przyjazną dłoń i wzruszona odeszła; a Walantemu ciągle się zdawało: iż słyszy głos zdesperowanéj staruszki, szlochającéj na niedolę, swoją i drobnych wnucząt.

Byłby się dłużéj rozkwilał temi myślami, gdyby nie przerwał mu Jakub będący w złym humorze, bo grał dziś nieszczęśliwie:

Proszę cię Assesorze! nie słyszałeś też tam co o organizacyi? bo dalibóg, jeżeli już rychło nie nadejdzie: to sobie trzeba chyba właeb palnąć! —

— Nie słyszałem! i nie bardzo jéj tam i pragnę!

— Prawda! bo to wy Magistraty boicie się organizacyi, i słusznie, kiedy wam się dobrze dzieje.

— Zapewne, każdemu się mniéj więcéj dobrze dzieje, kto pracuje i niewydaje więcéj jak zapracować może; z resztą lepiéj może trafiłem, bo się nie mam co skarżyć na położenie moje; na kilka mil w koło niemasz sędziego *cywilnego:* więc kto justycyaryusza niechce musi z każdą sprawą chyba do Tarnowa jeź-

dzić. Ztąd częstszy sąd polubowy i zgoda. Tak samo z wexlami i procesami włościańskiemi.

— Otóż to o czém mówię! ale to swoją drogą. Na tę organizacyę przeciebym był bardzo ciekawy, co to będzie? jakie to będzie? i czy będzie? —

Poruszonego przez Jakuba pytania nie popuszczano; ale orzekano na wszystkie boki i każden przytomny był ciekawym, i każdy pragnął i każdy się spodziewał złotych gór. — Cały wieczór gadano o organizacyi; nazajutrz gdzieś się zdybał z jakim urzędnikiem gadano o organizacyi; w drodze każdy podróżny, nawet żyd każdy o organizacyi, a powróciwszy do domu pierwsze słowo usłyszane z ust prezesa było: Organizacya! Ach gorący to czas był dla tych, którzy pragnęli organizacyi, ale dla obojętnych prawdziwie okropny. Nawet w gronach pięknéj płci, ba po wsiach nawet tak ciągle o tém jednem gadano: że niemożna było wynaleść kąta, gdzieby zmęczone ucho wypocząć mogło. — Podobną epokę pamięta tylko Lwów po odjeździe słynnego Kątskiego. Mazury jego tak okropnie w modę weszły, że aż się już życie przykrzyło; bo na każdéj ulicy, w każdem oknie brzmiał mazur Kątskiego, i w traktyerniach i w kawiarniach i w teatrze i wszędzie. Sandeczanin jeden to aż na Podole uciekł przed mazurem Kątskiego i wolał się tam ożenić, niżeli wrócić do Lwowa słuchać dźwięków, których wielkim sam był wielbicielem — nim mu się sprzykrzyły na śmierć.

Nic okropniejszego dla umysłów żywych nad długą niepewność. Tak było z Jakubem.

Lekkomyślnie rozpocząwszy prowadzenie domu nad stan i dochody, nieumiał wybrnąć z kłopotów, w które go długi nabyte wprowadzały. Ograniczyć się w wydatkach, w pomieszkaniu, ubiorze, wystawności, zdawało mu się niepodobieństwem; a Emma dzieląca puste przekonanie, ważyła raczéj zdrowie swoje i dzieci i

matki a nie ustępywała kroku. Widząc zaś pobłażanie męża, działała *logicznie* — żądała ciągle pieniędzy! i narzekała na niego... Biedne matczysko za wszystkich cierpiało; bo nie dość, że ponosiła niedostatek ale musiała patrzeć jak się oboje nawzajem trapili i gryźli i nie było widoku, aby się to skończyć miało.

Nadszedł w końcu upragniony dzień w którym *Gazeta lwowska* przyniosła pierwsze zamianowania. Urzędnicy biegali jeden do drugiego, a każdy umiał na pamięć *listę* mianowanych, a każdemu serce biło i mózg wzbierał: bo każdy się spodziewał *awansu*. Gdyby było tysiąc miejsc na przełożonych, nie byłoby wystarczyło. — Jeżeli zaś wszyscy latali wgorączkowéj niecierpliwości; biedny Jakub chodził jak w malignie. Wysoki wzrostem, wyprężył się jeszcze wewnętrzną walką tak, iż się zdało jakoby podrósł. Zwykle blady i pociągłéj twarzy, stał się jak kość żółtym i osowiałym. Mówił bardzo mało, a gdy go kto zagadał, to wytrzeszczył tylko jasne duże źrenice, co przy jasnym blond czubie i wąsach, dziwne wrażenie robiło. Zresztą palił cygaro za cygarem, grał w karty i czytał — czyli raczéj trzymał — gazetę w ręku, po całych dniach i godzinach. Jadł bardzo mało a spał jeszcze mniéj.

Tymczasem Pan Bóg rozpoczął także organizacyą ludzkości, w straszny i bolesny sposób: cholerą! Zewsząd pogłoski, zewsząd strachy niepłonne, a rozprężony umysł Jakuba niezdołał się im oprzeć. W kilka chwil po przeczytaniu nominacyj na przełożonych widząc się pominionym: dostał kurczów okropnych, i *cholera sicca* zaczęła druzgotać wszystkie atomy ciała jego! — Cudem prawie tylko ocalał, a kiedy przy ostatniem pomazaniu Emmę swoją dawniéj tak ubóstwianą, ujżrzał rozpaczającą, kiedy spojrzał na drobne sieroty, myśl winy i poprawy zatrzęsła skruszoném sercem jego

i w głębi duszy ślubował: zmianę przekonania i sposobu myślenia!

Wyzdrowiał! ale jak? Twarz, jak pierwéj żółta stała się ciemnośniadą, postawa pochyloną a głucha boleść ciężyła ciągle na śledzionie i wątrobie jego. Stał się *hipochondrykiem* w najwyższym stopniu, i dwie myśli dręczyły go bezustannie: obawa iż przy organizacyi zostanie pominiętym i obawa śmierci! która mu już w tak okropny sposób w oczy zaglądnęła. Co go jedna trwoga opuściła, już się go imała druga. We dnie chodził po wszystkich znajomych o których tylko mógł myśleć, że mu o organizacyi co powiedzą, a w nocy: żeby mu noga zcierpła albo cokolwiek zabolało, budził wszystkich, żądał księdza, robił testament i już umierał — aby znowu nazajutrz to samo zacząć. Czuwanie i niepokój nocny, coraz bardziéj zdrowie Emmy podkopywały, a wieczne lamenta już się nawet lekarzom sprzykrzyły. Radzili mu zatem wyjechać na wieś na świeże powietrze. Napisał więc do przyjaciela swego o którego życzliwości był przekonanym, prosząc o przysłanie koni, i o pomieszkanie na parę tygodni, aby z żoną i rodziną mógł na wsi bawić i zdrowie krzepić. Przyjaciel ten, biedny dzierżawca, natychmiast przysłał i niepomału się zdziwił nad zmianą jego, a jeszcze bardziéj nad sposobem leczenia się. Najprzód bowiem przywieziono kosz wody *maryenbadzkiéj* którą miał pić i pił zrana. Po wodzie pił wstrzymujące krople „od cholery“ — potem na śniadanie herbatę z czerwonem winem także przeciw cholerze. Przed obiadem pił *centuryą* na wzmocnienie żołądka, a na obiad jeżeli kurczęcia nie było, to nic niechciał jeść prócz kleików, mieniąc wszystko trucizną dla siebie. Po połndniu znowu herbata z czerwonem winem, wieczór kleik a na dobranoc znowu *centurya*. Chleba nie jadał ale bułeczek zwykle sześć przez cały dzień, bo apetyt się wzmagał. Z polecenia lekarzy

zarzucił z początku cygara i zaczął tabakę niuchać, ale niezadługo wziął się do fajki i odtąd palił fajkę i niuchał tabakę. Cały dzień mówił prawie tylko o organizacyi i o losie jaki go dotknął, a niemając się przed kim żalić, szedł dopiero na przechadzkę. Miejscem przechadzki obrał sobie ścieszkę wzdłuż trzechmorgowego pola i z fajką w ustach ciągle tam i sam chodził, dumając i patrząc w ziemię tak że się chłopi dziwili: Co też to ten pan takiego zgubił, że już kilka dni ciągle szuka a szuka? Nawet szukali sami po drodze, gdyż im się cel takiego chodzenia upartego w głowie pomieścić nie mógł. —

Poczciwy dzierżawca wszelkiemi sposobami chciał go rozerwać, ale nadaremnie! Organizacya! i wiecznie organizacya opanowała umysł jego ustępując chyba śmiertelnéj trwodze. Jednakowo świeże powietrze zaczęło skutkować i widocznie lepiéj wyglądał i lepszéj cery nabierał; niedobitki także żołądka polskiego praw swych domagać się zaczęły. Poczęto go więc namawiać aby dał spokój lekarstwom a spróbował pożywniejszej strawy. Dał się namówić i zjadł kawałek cielęcéj pieczeni wróżąc naprzód ze go to zabije. W nocy przebudził się a że już potem niemógł usnąć zdawało mu się iż znowu będzie umierał. Skoro się tylko rozwidniło, wstaje, zbiera się i chce jechać do miasta aby lekarze nad nim *konsylium* czynili — gdyż mało nie umarł. Opowiada to swemu przyjacielowi puszczając kłębami dym z fajki.

Ten zaś widząc przywidzenie, mówi mu: Chcesz jechać to jedź! zaraz konie każę założyć; ale pozwól mi troche fajki twéj niech popalę bo mnie zapach dobrego tytoniu zaleciał.

— Nie dam! bom dopiero zapalił, a bardzo mi smakuje! —

— Smakuje? a nie słyszałeś to: że jak kto istotnie słaby to mu najprzód fajkę odrzuca?

— A to prawda! w chorobie niemogłem palić.

— Widzisz! przekonajże się sam, jakiś chory! *hypochondryku* wmawiasz w siebie słabość którą już przebyłeś...

— Ty mi nie wierzysz?

— Nie wierzę! i jeżeli chcesz abym ci wierzył to napisz do doktora jaki twój stan a gdyby się pogorszyło rozstawnemi końmi przywiozę doktora i leki. Teraz siadaj i pisz list.

— A wiesz! téj obojętności na moje zdrowie nie spodziewałem się po tobie; jednakowo żeby cię przekonać, napiszę.

Napisał. W odpowiedzi odebrał *receptę*: Dwa razy na dzień mięsiwo pieczone jeść i *fifkę* wina pić, na śniadanie dobry kleik owsiany. Zresztą chodzić jak najwięcéj, a o *organizacyi* nie myśleć!

Niebyłby się może pochwalił z podobną receptą ale przyjaciel jego bez ceremonii odpieczętował, przeczytał jemu i Emmie i uśmiechnął się z radości: że się zdrowie jego polepsza. Odtąd dał się Jakub namówić na dalszą przechadzkę do lasu, i w kilka dni tyle otuchy nabrał, że chodził po górach o ćwierć mili. Wprawdzie o organizacyi ciągle gadał i przechodził wszystkie możliwe wypadki: coby mu zaszkodzić mogły. Przyjaciel czasami badał jego myśli chcąc je rozerwać:

— Proszę cię! czyś ty kiedy nie należał do jakiego spisku albo tajnego towarzystwa?

— Bogiem się świadczę że nie!

— A z resztą nieprzeskrobałeś co kiedy w urzędowaniu?...

— Jak dzieci kocham nigdy ani na szpilkę!

— A czemuż oni cię nie organizują?

— Czy ja wiem! gubię się w domysłach, i nawet cieniu znaleść nie mogę... Jedno tylko przypuszczam że chyba jaka fałszywa denuncyacya...

— Co znowu! alboż to dla prostéj denuncyacyi — bez dochodzenia urzędowego bez dowodu i obrony rząd by cię potępił? to niepodobieństwo!...

— Ja również nie chcę przypuszczać tego.

— A więc czekaj cierpliwie i nim zostaniesz jakim starostą chodź tymczasem na przechadzkę ze mną, ale aż tam na wierzch góry!

— Dobrze! chodziłem tam i bardzo mi się podobało, lecz na samym wierzchu nie byłem.

Poszli więc. — Idą naprzód łanami zboża. Jakub podziwia urodzaj i zaczyna się rozpytywać o szczegóły gospodarstwa. Tak w pogadance przyszli aż pod las.—

— No! Kubusiu wypocznij, bo tam będzie gorzéj: żebyś się nie zmęczył bobyś mi znowu umierał i musiałbym koni dać po lekarzy!

— Nie bój się ja dziś taki zdrów jak nigdy! chodźmy daléj!

— Zgoda! — I poszli daléj. Droga się wiła lasem do góry po nad potok, a bór coraz gęściejszy, rzadko tylko i to pojedynczemi promieniami przepuszczał słoneczne światło. Potok szumiał w czarnéj głębi a podczas kiedy wolniejszemi od drzew miejscami i polankami ciepły wietrzyk letni zawiewał; unosił się z jaru głębokiego chłodek odświeżający powietrze. Przedzierające się promienie słońca czarownem oświetleniem krasiły miejscami ponure jodły, a ciemne ich konary poważnie odbijały od bursztynowéj bezmała barwy, któremi bujne mchy leśne w około polanek wyższych jaśniały; pojedyncze zaś brzozy białe stercząc nad gajmi jałowców, powiewały długiemi sploty gdyby dziewczęta w bieli zasyłające chłopcom swawolne ucałowanie.

— Odpocznijmy trochę! bo się bardzo zmęczysz!

— Daleko jeszcze?

— Dokąd?

— Do domu!

— Jeszcze paręset kroków a będziemy u wierzchu—

— Chodźmy! bo mi się słabo robi —

— Odpocznijno jeszcze.

— Nie, chodźmy tędy, będzie nam bliżéj.

— Ale co robisz? tam potok, nie przejdziesz, wróć się nazad do drogi bo jeszcze gdzie wpadniesz w jaz....

Ledwo usłuchał i wróciwszy na drogę, trzymał się lewą ręką za bok, a w prawéj laskę konwulsyjnie ściskając, nie szedł ale biegł pod górę.

— Powoli Jakubie, bo się zmęczysz całkiem; siądź lepiéj i odpocznij.

— Chodźmy, dla Boga bo mi słabo!

Ledwo zdążyli na małą polankę wysłaną mchem górskim gdyby miękkim samorodnym kobiercem a ogrzaną ciepłém słońcem i wietrzykiem, kiedy Jakub z wyrazem cierpienia zawołał: Dla Boga już nie mogę daléj, tu już koniec mój! — i usiadł pod krzakiem na ziemi. Przelękniony dzierżawca ledwo go nakłonił aby trochę daléj na słońcu usiadł by się nie zaziębił. Lecz on rozciągnął się na pulchnym kobiercu mchów, a za chwilę usiadłszy znowu zakrył twarz rękoma i począł gorzko narzekać:

— Oh! Boże mój Boże! tak mi już dobrze było — centurya i krople tak mi pomagały. Czemuż ja téż nieszczęśliwy ciebie usłuchał! czemużem się dał namówić! ach! moje dzieci! moje biedne dzieci!..... żeby téż... żeby téż — choć — wody! bo... umieram!...

Dzierżawca przestraszony na prawdę, skoczył jak opętany i gdyby mu kto Merkurego skrzydła przyprawił tak leciał pod górę do najbliższéj chałupy. Kilką słowami wyjaśnił chłopu rzecz, a że to był biedak którego na przednowku nakarmiał, przeto rzucił zaraz kosę i nie mówiąc słowa porwał garnek i biegł do źródła a ztamtąd na opisane miejsce, na polance pod jódkami na bujnych mchach. — Człeczysko poczciwe tak się pokwapiło, że za powrotem już go zastał na polance trzy-

mającego garnek z wodą w oburącz i biegającego od krzaku do krzaku.

— A co Janie?

— Niema tego pana!

— Niema? a gdzież się podział?

— Czy ja wiem, ale go niema.

Pewno się chciał zerwać na nogi, zatoczył się, spadł i leży tam gdzie konający w potoku — pomyślił biedny dzierżawca i udzieliwszy swéj obawy chłopu, natychmiast jęli się do odszukania go. Chłop z jednéj, on z drugiéj strony skoczyli ku potokowi na złamanie karku i daléjże szukać z całą sumiennością poczciwego serca. Żadnego krzaczka nie minęli, żadnego parowu, żadnéj zapadliny. Ćwierć godziny zleciało jak mgnienie oka, pot słony gęstemi kroplami zalewał im oczy. Kto zna góry, może sobie wystawić co to za praca biegać urwiskami. W końcu sił już nie stało; a tu słońce ma się ku zachodowi i polanka cieniem się pokrywa.

— Janie, to nie może być, on nie spadł ale musiał pójść sobie.

— Skoczę ja na ten wirch gdzie to miernicy *patryą* postawili; ztamtąd całe grunta dworskie widać, tobym go i zobaczył.

— Dobrze, a ja tędy pójdę; jeżelibyście go zaś gdzie zdybali albo ujrzeli, to hopkajcie.

— Dobrze panie.

Za chwilę rozległ się odgłos po lesie, taki, jakim się łowcy w kniei zwołują: hop! hop! — hop! tu — hop! hop! — hop tu! — i zeszli się znowu.

— Proszę pana — woła chłop z daleka — widziałem go tam, precz na dziale koło krzyża już ku dworowi.

— Ha no! to chwałaż ci Panie! bo ja już dychać nie mogę.

— A ja sobie garnek rozbił niepotrzebnie, — bodaj téż tego pana co on nam za psotę wystroił!..

— Macie tu kilka krajcarów na garnek — a zejdźcie tam kiedy to wam dam garść zboża za mitręgę.

— Panie Boże jegomości zapłać! Panu Bogu jegomości oddaję.

Wraca tedy zmęczony i zdyszany dzierżawca, i wyszedłszy z lasu pyta pastuszka: Szedł tu jaki pan?

— Oj! jegomość! przeleciał wedle nas, aż my się przelękły.

— A nie znać było na nim że chory?

— Kaj ta kaj! tak sobie czesał na dół, aż ognia dawało!

Chwała Bogu! pomyślał sobie; to znać nie był tylko *paroksyzm hypochondryczny* spowodowany małém wstrząśnieniem i boleścią wątroby. Na łanie żeńcy składają pszenicę w kopy a karbownik zakłada na wierzch chachoły. — Antoni! szedł tu pan Jakub?

— Proszę pana nie szedł, ale tak rześko biegł, że aż Klimek zawołał: Patrzcieno karbowniku, jak to temu panu nasza wieś polubowała, — jak on to nogami zbiera kieby zając — a niedawno to łaził po polu tam i nazad przygarbiony, że my myśleli iż co zgubił.

— A za brzuch się nie trzymał? nie wyglądał słabo?

— Ale kaj tam! jeszcze się ze mną kłopotał; bo koniecznie chciał mi oderwać dwoje ludzi żeby szli pana szukać do lasa... ale ja sobie nie dał oderwać tylkom z przeproszeniem powiedział: Nasz pan tam nie zginie; trafił tam, to przyjdzie i napowrót.

— Dobrzeście zrobili.

Wraca tedy do dworu i idzie wprost do Jakuba. Wchodzi, patrzy: Emma zapłakana, matka zapłakana, Munio biega od babki do matki, od matki do babki i woła: Niech mama nie płacze! niech babcia nie płacze! bo Munio umrze i w ziemię go zakopią! pan doktor tak powiedział!... — No, pomyślił sobie dzierżawca, z tego malca już widać także kawałek *hipochondryka*!

Cóż robił nasz chory? — palił fajkę i pił herbatę z czerwoném winem.

— Moje panie, co on téż tu paniom nagadał? bo ja mu nie zapomnę tego figla co mi wypłatał.

— Figla? — on mówi że w lesie zemdlał i byłby pewno umarł, gdyby nie był miał jeszcze tyle przytomności, że sobie tarł skronie i twarz i nacierał pulsa gasnące, czém się otrzeźwił.

— A już co za nadto, to za wiele! Ale niech mi téż panie opowiedzą okolicznie jak to było? i co mówił przyszedłszy?

— Tak było, stanął we drzwiach i zawołał: Dzieci! Emciu! o włos byłbym was już więcéj nie widział... wyprowadził mnie w las — zemdlałem i małom nie umarł!

— Więc to ze strachu aby nie umrzeć pędził ćwierć mili kłusem i kłócił się z karbownikiem? — jeszcze jak żyję nie widziałem takich *pacyentów!* — a panieście uwierzyły?

— Jakżeż nie wierzyć? spłakałymy się serdecznie.

— Jabym ci dał herbaty! chleba bym ci bochen uwiesił u stragarza i zamknął w izbie o wodzie, żebyś skakał dotąd ażbyś podskoczył do chleba, urwał i zjadł! Ale poczekaj i ja tobie figla wypłatam!

Wieczór zjadł Jakub dobry talerz klejku i kawałek pieczeni, wykąpawszy się wprzód w macierzance, i najweselej pisał listy do 11téj godziny. Nazajutrz z rana wesoły i zdrowy przychodzi do gospodyni domu na dzień dobry z fajeczką i zbijając piętami hołupca rzecze: Dzień dobry gosposi! — Ta się patrzy i z uśmiechem mówi: Dzień dobry! tak to nieboszczykowie hołupce wycinają?

Rozgniewał się i mówiąc: To mi pani nie wierzy? to pani myśli że ja udaję? — odszedł i do wieczora się dąsał. Przez cały tydzień pobytu swego na wsi silił się

udowodnić że w samej rzeczy umierał w lesie, a przyjaciel jego widząc świeżego bzika, na korzyść go obracał. Ile razy bowiem zauważał że nad organizacyą rozpaczać zamyśla, napomknął mu o umieraniu w lesie i wnet całą myśl i całą żółć od organizacyi odwrócił i na siebie sciągnął. A przy tém wszystkiém Jakub widocznie do zdrowia przychodził, i wydało się nawet, że w niebytności swego przyjaciela ukradkiem tą samą drogą przechadzkę odbywał i na téj saméj polance gdzie to wprzód niby umierał, fajeczkę paląc siedział, a odchodząc zajrzał w potok i tęgi niuch tabaki zażył. Wszystko to było ukradkiem; ponieważ zaś Jan chłop właśnie także ukradkiem w lesie gałęzie zbierał, więc ukradkiem wszystko widział i ukradkiem opowiedział.

W kilka dni nadszedł *Czas*, a w *Czasie* między innemi mianowaniami: Pan Jakub ........ aktuaryuszem w Niebylcu — Pan Walanty także aktuaryuszem w Niebylcu, jeden politycznym, drugi sądowym! Pękła tedy organizacyjna rozpacz i trwoga, a nowomianowany aktuaryusz odetchnął z głębi serca. Emma zaś — która od czasu jak mąż jéj zachorował a potém rolę spazmatyka objął — spazmów nie miała, ale za to okrutnie modlić się i do kościoła chodzić poczęła; ślubowała sukienkę i płaszczyk na drewnianą figurę Matki Boskiéj, którą dziopy wiejskie podczas procesyj kościelnych po przed obrazami na drążkach nosiły.

Posłano tedy po organistę a niebawem przyniósł pod pachą drewnianą figurkę, która miała przedstawiać Przeczystą dziewicę Maryę!! Była to jak zwykle po wsiach mianowicie po górskich, potworna lalka, któréj głowa wynosiła trzecią część całéj postaci; ubrana po wiejsku z mnóstwem paciorków i dętych korali szklannych na szyi, pomalowana na ceglasto z wielkiemi czarnemi źrenicami! — Przybyła i gospodyni domu na radę i postanowiono po długich sporach ubrać w sukienkę i płaszczyk

odpowiedniejszy, i ubrano w sukienkę u spodu koronkami obszytą i płaszczyk najnowszéj mody zupełnie kroju takiego, jaki sobie niedawno pani komisarzowa elegantka sprawiła. Gospodarz domu jako prostoduszny wieśniak zauważał wprawdzie, że dawniéj na chwałę boską i posążki i suknie poważniejsze sprawiano; lecz zbyty zarzutem niedowiarstwa i filozofii, ustąpił ruszając ramionami.

Zaspokoiwszy tedy sumienie, pomyślała Emma o sobie, i spakowawszy czemprędzéj rzeczy nagliła do odjazdu.

W domu wyglądano ich przybycia z wielką niecierpliwością. Ledwie wysiedli, ledwie Emma rozpoczęła narzekanie na prochy i pyły nieznośne które podczas jéj niebytności wszystkie meble nielitościwie przysiadły; ledwie że usiadłszy u *fortepianu* rozpuściła łaknące paluszki po śnieżnych kościanych klawiszach, aby się przekonać czy fortepian i paluszki nierozstrojone; ledwie Jakub w pokoju swoim na przywitanie niuch tabaki zażywszy pierwsze cygaro zapalił, kiedy — po zapukaniu trzykrotném, uchylonemi drzwiami wszedł starozakonny Manele opiekun ludzi, których los wprawdzie wychowaniem przyzwoitém i światłem, ale za to szczupłą *fortuną* obdarzył. Z radością w oczach i uśmiechającemi usty witał pana Jakuba, wypytywał o drogie zdrowie i składał życzenia szczere z powodu otrzymanéj zaszczytnéj posady. W końcu dopiero rozmowy i to z wielką i skromną nieśmiałością, wydobył papierek półćwiartkowy i pokazał panu Jakubowi, który na ten niemiły widok czoło zmarszczył i dym kłębami puszczając, wielkiemi krokami po pokoju chodzić zaczął. Starozakonny opiekun stał u drzwi z papierkiem w ręku i patrzył za chodzącym to w prawo to w lewo.

— Jakżeż będzie proszę pana dobrodzieja?

— Daj mi spokój, nie mam pieniędzy.

— A mnie co do tego?

— Jakub jakby nie słyszał nic — chodził w milczeniu po pokoju coraz większymi krokami i coraz gęstsze kłęby dymu puszczając.

— Panie dobrodzieju! pan wié że to *wexel*, a z wekslami nie ma co żartować; bo to papierek mały a mocny!...

— Co? ty mi grozisz?

— Nie, ja nie grożę panu dobrodziejowi ale proszę o zapłatę.

— Z Niebylca ci przyszlę...

— Z Niebylca? ja wolę żeby pan tu został i zapłacił mi...

— No! słuchajże! nie droczże mię... bo...

— Bo co? — ja pana nie będę droczył, ja pana nie będę nudził, ja panu wyraźnie powiem... albo lepiéj niech pan sam czyta!... Tu wydobył drugi papier i pokazał Jakubowi. Jakub rzucił okiem i struchlał.... Był to dekret na areszt osobisty za dług wexlowy.

— No panie, jakże teraz będzie? — to co pan widzisz, to ja mam, a mój zięć ma drugi dekret na pana.... kiedy pan mówi że meble i wszystko nie panowe tylko żony, to my pana bierzemy, to pan będzie nasz! Ale na co tego paskuctwa? niech starsza pani da swój *calungsbogien* to ja sobie powoli odbiorę a państwo pojedziecie w dobrém zdrowiu.

Gdyby tak w przytomności osób życzliwych na których współczucie liczyćby można, byłby Jakub niezawodnie mdlał, konał i umierał; lecz przy żydzie, przy téj duszy lichwiarskiéj okazać słabość charakteru — tego znowu ambicya nie pozwalała. Uspokoił się i kazał żydowi przyjść nazajutrz a o całym wypadku zamilczeć, co lichwiarz uroczyście przyrzekł. Chwilę jeszcze dobrą po odejściu żyda czekał Jakub na *paroksyzm* i *mdłości*, ale nie przyszły ku wielkiéj konfuzyi jego. Był on jak

ów Herburt na wojnie, którego Turczyn dzirytem uderzywszy już z konia zsadzał, gdy w tém drugi *Spahi* z przeciwnéj strony bodnąwszy go w bok, chwiejącemu się na łęku równowagę przywrócił i przez to ocalił. — Żyd zaś przezorny nie ufając słowom Jakuba, poszedł po cichu do bawialni zkąd właśnie tkliwe dźwięki jakiejś *Thalberga fantazyi* dochodziły jego prozaicznych uszu. Żywy rumieniec, dawno nieznany gość, oblał zmieszaną twarz Emmy na okropną dla niéj wieść aresztu męża; łzy jéj się w oczach zakręciły i gdyby znowu nie ambicya byłaby niezawodnie spazmów dostała. Żyd sam wzruszony widokiem dumał coby tu czynić, a w końcu rzekł:

— Niech się pani niegniewa na mnie, bo żeby ja państwu nie dobrze życzył, tobym był zaraz przyszedł z assystencyą po pana. Ale niema się czego martwić; nich pani pozwoli to ja Mamie powiem delikatnie żeby ją nie zmartwić a zobaczy pani, że wszystko będzie dobrze. Gdzie mama jest? ja pójdę niby się przywitać i delikatnie powiem. Biedna Emma niemogąc słowa wymówić siedziała z zakrytemi oczyma a żyd dorozumiawszy się poszedł do pokoju babki.

— Czego ty żydzie chcesz? tu taty niema; przywitał go Munio zdziwiony...

— Niech się Munio nie boi, ja do babci przyszedł...

— Do mnie? cóż tam aspan powiesz?

— Tak przychodzę zapytać się jak się państwu jeździło? jak się państwo macie?

— Dobrze! dziękuję wam; ale przecie musicie mieć jakiś interes?

— Nie wielki! proszę pani Dobrodziejki! Jabym tylko chciał państwa przestrzedz; bo mój zięć chce panu zięciowi jejmości, głupstwo zrobić!

— Cóż takiego?

— Ny; on ma *wexel* a pan niechce zapłacić i powiada że nie ma nic, że to wszystko nie jego: to mój zięć mu grozi *aresztem!*

— O! mój Boże! zapłakała gorzko staruszka czy mnie też już pan Bóg...

— ... Niech no pani nie płacze my temu zaradzimy....

— ... Jakim sposobem?...

— Jakim sposobem? takim sposobem: Niech to między nami zostanie! ale ja wiem dobrze: że jejmość całą swoją pensyą dzieciom daje.... ny! to czy tak czy tak! pani nie ma nic z tego, to pani da swój *Zalungsbogen* a ja nim zięciowi mojemu gębę zatkam, i wszystko będzie dobrze. A tak to się pani gryzie i córka się gryzie i zięć się gryzie, naco tego! ja to czuję bo ja także mam dzieci, wnuki...

Staruszka biedna nie mówiąc słowa wyjęła z komody *arkusz płatny* i dała żydowi, który uspokajając ją i Munia odszedł uradowany.— Z ściśnionem sercem stała Emma podedrzwiami i słuchała rozmowy żyda i słów matki, a skoro odszedł— pokazawszy *arkusz płatny* i szepnąwszy: Widzi pani! wszystko będzie dobrze! pójdę zaraz do pana— weszła do matki i wśród płaczu stłumionego całowała jéj ręce. Staruszka biedna z suchem okiem i zupełnem poddaniem się woli Boskiéj, ściskała ją i wnuki i uspokajała i cieszyła. O ofierze uczynionéj zamilczała, bo serce jéj cnotliwe płonęło jasnym ogniem czystéj miłości macierzyńskiéj; a twarz jéj sędziwa przybrała wyraz spokoju nadludzkiego! Słodki uśmiech poświęcenia się, opromienił oblicze matki.

Jakub się nurzał jeszcze w czarnych kłopotliwych myślach; kiedy żyd znowu trzykrotnie zapukawszy z uśmiechem Judasza *arkusz płatny* pokazał mu. W kilku słowach opowiedział jak go dostał i polecił dalsze kroki potrzebne w celu usunięcia przeszkód i trudności

z strony urzędu płatniczego. Wieczór Jakub niewychodził z domu, a na dobranoc całując rękę teści — czego już dawno! dawno! nierobił — ślubował jéj: iż odtąd nie będzie miała przyczyny płaczu i łez.

Przeminęła więc i ta burza nad strapioną Jakuba głową; oswajał się z położeniem swojem i myślał o odjeździe. Trzeba było pożegnać znajomych a między niemi lekarza swego, człowieka bardzo ludzkiego i życzliwego. Zaraz na wstępie do pokoju został od niego przywitany otwartemi ramiony i wykrzyknikiem: Nieboszczyku Kubo! jak się masz? słyszałem żeś umarł na przechadzce w górach, i po śmierci miałeś tyle przytomności, żeś sobie nacieraniem skroni i pulsów życie przywrócił. Wiesz, dokonałeś arcy-arcy-arcydzieła *medycyny* 19 stulecia!

— Jakto? i ty niewierzysz że mi się...

— ... Zmarło i zmartwychwstało!... wierzę najzupełniéj wierzę!

— Któż ci to gadał?

— Wszyscy tylko o tem mówią, jesteś bohaterem chwili! ale mniejsza o to; jakże mi się masz? — I nie wdając się w dalszą pogadankę poszedł do szafki wyjmując *roztopczyna* t. j. doskonałéj wódki trochę niby tatarskiem zielem pachnącéj, nalał kieliszek i zawołał: W ręce twoje Jakubie!

— Ale bój się Boga! gdzież mnie wódkę pić?

— Z lekarzem można — zresztą, czy umrzesz? obaczymy... golnijno!

— Ale bój się Boga!

— Nie bałamuć no, pij, bo ja chcę widzieć czy umrzesz — zresztą testament masz gotowy?

— Umrzeć! nie umrę... ale...

— Nie nudź tylko... pij... duszkiem... a śmiało!... ot; tak!... teraz siadaj a wprzódy nim umrzesz zakąś szynką bo doskonała i... słuchaj! jesteś zupełnie zdro-

wym na ciele ale na umyśle nie! Miejże rozum! nie wmawiaj w siebie i w ludzi zmyślonych chorób, bo się śmieją z ciebie, a Arbuzowski jak się dowie to cię uwieczni! —

W kilka dni odjeżdżał Jakub do Niebylca. Żona i teścia miały późniéj wyruszyć. Niby w celu pożegnania się, zboczył do swego przyjaciela dzierżawcy. Cały dzień tam bawił i cały dzień kłucił się z nim: iż o jego zemdleniu po świecie rozgadał. Dzierżawca się uniewinniał: że tylko sąsiadowi swemu opowiedział, a ten tylko *expedytorowi* poczty pod *sekretem*. W końcu się dziwił co to za zakazana choroba, żeby z niéj tajemnicę robić. Wszystko to niepomogło! pod surowym gniewem odebrał napomnienie, głębokiéj tajemnicy *bzika hypochondrycznego*, i rad nie rad musiał zamilczeć.

Emma zaś wystrojona jak najpyszniéj — z łańcuchem na piersi, zegarkiem za pasem i trzema manelami u rąk żegnała sąsiady a do drogi ubrała się w zgrabny negliżyk — Munia zaś po szkocku z piórkiem za czapeczką czy kapeluszykiem.

## Organizacya jest

— To go chyba wyprzedź! — zawolała pani Walantowa na swego woźnicę, któremu jakiś wóz drabiniasty wysoko meblami wyładowany drogę zajechał poruszając się wolno gościńcem. Woźnica zaciął konie i zboczył „od siebie.“ — Skoro się wyrównał z wozem poprzód jadącym; woźnica tegoż znowu sobie konie podciął i wziąwszy także „od siebie“ niedał się wyprzedzić. Zmusiwszy zaś bryczkę pani Walantowéj pozostać w tyle, wstrzymywał konie i jechał powoli. Tak czynił raz drugi — niecierpliwiąc do ostatka podróżnych naszych. Aż się też już woźnicy i koniom samym sprzykrzyło,

ruszyły bowiem tak raźno z miejsca, że w mgnieniu oka zrównały się z furą. Złośliwie uparty chłop siedzący na niéj, widząc iż go wyprzedzają, smagał konie co mógł i pędził czwałem mimo wołań i groźby mijających. Mocnym pędem rozchybany wóz drabiniasty ilekroć koło na kamień gdzie wpadło, kołysał i rzucał się na oba boki, aż źle upakowane stołki, stoliki i stołeczki zerwawszy więzy swe z wozu i liter padać, a padając w kawałki się łamać poczęły. Łoskot mebli padających nakłonił w końcu złośliwego chłopa do wstrzymania koni. Złorzecząc rupieciom i mijającéj bryczce, zbierał zbłocone niedołamki, i wrzucał na litry, nasi zaś podróżni jechali daléj. Dojechawszy do miasteczka pobliskiego stanęli na popas w żydowskiéj karczmie, jedynym hotelu w onem miasteczku. Było ich czworo: Walantowa z matką swą panią Rzemieńską i dwojgiem dzieci; wszyscy zatuleni w chustki i futra bo listopad ostremi wiatry przejmując aż do żywéj kości, torował drogę zimie. W karczmie była tylko jedna wielka izba *z angielską* kuchnią czyli po goralsku: *z cygankiem;* ponieważ ci kłamią co twierdzą, że mało drzewa potrzebuje. Alkierz pełen łóżek i bachorków niebardzo był ponętnym; że zaś izba wbrew zwyczajowi dość schludnie wyglądała, rozgościły się w niéj. Porozwijane i ucałowane dzieci zapewniły iż nie zziębły; a babka wydobyła niebawem z koszyka garnuszki a z flaszek kawę gotową i mleko słodkie, zbierając się do odgrzania pierwszego dla siebie i córki, drugiego dla wnucząt rozpatrujących się po karczmie. Niebawem nadjechała i stara Jadwiga kucharka z wozem naładowanym naczyniami kuchennemi, śpiżarnią i meblami. Ogrzewając ręce zziębnięte opowiadała, jak tam na gościeńcu zdybała wóz, z którego się meble czyjeś wysypały, i co to za piękne meble i jaka to szkoda że się tak połamały i powalały. Opowiedziawszy to wszystko, przyniosła na-

czynie kuchenne i parę kurcząt sporządzonych i przygotowanych, także kapuśniaczki, które zaraz poodgrzywała i podczas kiedy panie kawę piły i dzieci karmiły: zrobiła potrawki, a dla siebie jakiejś kaszy ugotowała. Panie jeszcze przy kawie, widziały brykę z meblami zajeżdżającą przed karczmę. Chlop zlazł i szedł do izby zdaje się na wódkę. Wchodząc jednak, skoro zoczył naszych podróżnych cofnął się, siadł i ruszył daléj.

Pogadano o tem; zganiono złośliwość i lekkomyślność a wreszcie zapomniano o furze, woźnicy, i meblach uszkodzonych. Podróżny obiadek wnet był gotów i zastawiony, a ponieważ dzieciom podróż chęć jadła zaostrzyła; więc przy dzieciach i matce i babce lepiej smakowało. Była zresztą i bułka domowa bez *wanilli* w prawdzie, ale dobrze wypieczona i nie zła, a babka aby przecie karczmarce dać co utargować, kazała przynieść piwa, dla siebie zimnego a dla kucharki i woźnicy grzanego. Z takiemi więc wygódkami kończyły panie swój obiadek i rozmawiały o dalszéj drodze, kiedy świeży transport gości nadjechał. Pani dość młoda prowadziła za rękę chłopczyka bladego i płaczącego, a wystrojona pokojówka z niechęcią niosła zatulone małe dziecko. Chłopczyk w kapeluszyku z strusiem piórkiem w płaszczyku modnym miał wprawdzie na nożkach berlaczyki piękne, ale za to spodeńki szkockie do kolan ledwie sięgały a czerwone pończoszki nie bardzo musiały być ciepłe kiedy chłopczyna rzewnie płakał i dygotał. Sama pani także widać porządnie przeziębła, bo ją dreszcz brał a pokojowa miną tylko nadrabiała.

Wszedłszy do karczmy obejrzała się w około, kiwnęła głową naszym podróżnym, i pytała żydówki czyby niemożna czego dostać do zjedzenia dla siebie i dziecka. Żydówka odrzekła, że ma obwarzanki i masło, a jeżeli pani każe, to piwa zgrzeje.

— Mleka nie macie?

— Było! ale dzieci zjadły na objad!

— A jaj?

— Jaj? teraz jaj? kiedy się kury nie niosą? niech pani każe piwo...

— Nie lubię piwa... ale możeby mięsa dostał na rosół?... albo cielęciny?...

— Cielęciny? teraz? aż po godach to zaczną cielęta bić a mięso to na szabas dostanie, ale we wtorek?....

W tem chłopczyna ujrzał że dzieci Walantego jadły bułkę i żałośnie zawołał: Mamo ja chcę bułki...

To już za wiele było dla Rzemieńskiéj. Wstawszy poszła ku Emmie, bo to ona była tą panią i rzekła: Niech się ta pani niegniewa, że ja taka śmiała, ale pani nic tu niedostanie — na szczęście mamy ze sobą bułkę świeżą i mleko i kawę, a i kurczątko się znajdzie; jeżeli pani pozwoli to prosiemy.

— Emma zaczęła dziękować — wymawiając się, ale pani Rzemieńskiéj nie tak łatwo odmówić. Niechże pani pozwoli, niechno pani *ceremunij* nie robi! prosiemy... Marysia także przyłączyła swoje zaprosiny, i wnet Jadwiga przygrzała kawę i mleko i zrobiła potrawkę dla Emmy i dzieci. Munio zaś niepotrzebował długo czekać bo Zosia wnuczka Rzemieńskiéj wzruszona jego płaczem ulitowała się i swój kawałek bułki odstąpiła mu, za co się oboje serdecznie ucałowali. Przysiadła się tedy Emma do nich a po kilku słowach niebyło radości końca skoro się Rzemieńska dowiedziała, że karmi synowę i wnuki kumeczka swego a żonę Jakuba, którego tak chętnie za zięcia przybrać chciała.

Emma się wypatrzyła ciekawie na Rzemieńską, która ludzkością swoją niesłychanie miłe wrażenie na jéj umyśle sprawiła i na córkę jéj przystojną i przyzwoitą kobietę; — owoż wieczór ów pamiętny, stanął jéj zaraz przed oczyma, kiedy to Jakub zabawiał całe towarzystwo kosztem tej poczciwéj rodziny... Przypomnia-

wszy to sobie wielki ją wstyd ogarnął. Szczególniej za męża swego wstydziła się i postanowiła wymówki mu czynić o to; zwłaszcza, gdy przypuszczała, iż Rzemieńscy przez zięcia swego mogli się dowiedzieć o całéj tej rozmowie krzywdzącéj ich dom. Nie miała się jednak czego obawiać, gdyż poczciwszy Walanty zatrzymał wszystko w tajemnicy, niechcąc siebie podwyższać poniżeniem drugich.

Rzemieńska widząc, że Emma córce jéj sąsiadować miała, nierobiła odtąd różnicy między nią a swemi dziećmi. Najprzód wydobyła z kufra poduszkę i chustkę wełnianą ciepłą, w którą Emmę zaodziała, dając poduszkę na nogi. Munia przybrała w swoją staroświecką przyjaciołkę królikami podbitą, całując biednego chłopczynę, który ledwo odtajał z przeziębienia. Nawet wyelegantowana panna pokojowa — która przez cały czas popasu nie raczyła się tknąć niczego, coby można było nazwać usługą, zapewne bojąc się dyshonoru, zruciła pychę z serca i przyjęła ciepły wełniany koc na przyodzianie od ostrego wiatru. Tak więc zaopatrzona od zimna, puściła się Emma w dalszą podróż, trzymając się swych towarzyszek opiekuńczych, aż wreszcie po niegodziwych drogach i bezdrożach cała karawana dostała się szczęśliwie do Niebylca.

Niebylec miasto górskie na kraju świata naszego galicyjskiego położone, słynie z swéj skromności historycznéj, która jest jedynym powodem: że nikt o niem nie wié. Zresztą miasto całe patryarchalnie pod strzechą stoi, jak za dobrych czasów Piasta, a w okolicy znane przysłowie: że tam w aptece maź sprzedają. Co jednak wcale mylne i ubliżające aptece: bo maź *in crudo* t. j. w surowym stanie, sprzedaje żyd sąsiadujący aptece w tym samym domu, a napis tylko i godło wspólnie służy maziarzowi i aptece; aptece prawem własności a maziarni prawem przywłaszczenia. Zresztą obfituje to

miasto w krypcie czyli kurpiele, nie tak jednak wyłącznie, aby między mieszczanami nieistniało pułtora buta t. j. para nowych i para podszycia. Owoż takie miasto przeznaczone na stolicę urzędu powiatowego, a tem samem na *rezydencyą* naszych pań podróżnych. Emma, aczkolwiek nie z Paryża rodem, jednakowo znając Tarnów, Wojnicz, Tuchów, myślała: że Niebylec będzie podobnym do którego z tych miast; więc kiedy woźnica pani Rzemieńskiéj wjeżdzał do ratusznéj karczmy, pytała się zdziwiona: czemu tu się zatrzymuje? czemu lepiej prosto do Niebylca nie jedzie? a jeszcze bardziéj się zdziwiła, gdy jéj powiedziano, że to już sam—niechwaliwszy się — Niebylec! — Niedowierzając jeszcze wysiadła i poszła do izby, zkąd wielki hałas słychać było, a wszedłszy ujrzała: męża swego pana Jakuba, w nowym *uniformie* z czapeczką urzędową, jak właśnie w gniewie tuzował potężnie tego zuchwałego chłopa, który jéj meble wiózł i pogruchotał na gościńcu. Na widok wchodzących, zmitygował się pan Jakub i kazał winowajcę wsadzić do kozy; poczem się przywitał z żoną, dziećmi, z Rzemieńską i jéj rodziną.

— Gdzie nasze pomieszkanie? zapytała Emma trwożliwie.

— A tu!

— Bój się Boga! To niepodobna.

— Dziękuj Bogu kochanie i za to, bo nasz przełożony ani takiego nie ma. W końcu! co ci po pięknem pomieszkaniu, kiedy ten łotr meble pogruchotał w kawałki, a *kwotlibety* w proch potłukł!

Emma spojźrzała w koło siebie, i łzy jéj w oczach stanęły. Bo najprzód: podłogi nie było, chociaż nadzieja niedaleka że będzie, gdyż dwóch cieśli siedząc na kupie deszczek trzymali hebel za oba końce a wióry długie gdyby wstęgi zlatywały na ziemię. Ściany były wybielone, piec chociaż nowy jednak już ze dwa razy

przepalany, a szklarz wędrowny zaprawiał szyby w oknach. W alkierzu pukali mularze kielniami w próżne cebrzyki i wołali: gliny! — bo już lepili wierzch pieca, a za alkierzem palił się ogień pod cygankiem, który już ukończony wyglądał kucharza. Właśnie Emma rozrzewniona sielankową prostotą pomieszkania swego, chciała puścić wolny pęd uczuciowości swéj, kiedy prozaiczny Walanty wpadł i najprzód żonę swoją i dzieci po prostu bo serdecznie ucałowawszy, matkę i Emmę w rękę pocałował i naglił:

— Chodźcie, chodźcie, bo ojciec wygląda a wygląda. Pani z nami pójdzie bo tu nie ma co robić i za tydzień jeszcze — służę pani, niech się pani nie namyśla....

— Idź rozumie się, kiedy masz gdzie; bo tu trudno ci zostać — rzekł Jakób — a Walanty wyprowadził całe grono.

Z podziwieniem patrzyła Emma na cel uroczego pochodu podziwianego przez sławetną publiczność Niebylca. Celem bowiem onym była chałupa wiejska, pod nową wprawdzie strzechą ale jednak pod strzechą. Wchód do niéj mimo zwyczaju był od tyłu, a z przodu niby płot, niby sztachetki otaczały kawałek ziemi, widać na ogródek przeznaczonéj. Płotek ów nowy, już organizacyi cywilizującéj Niebylec byt swój zawdzięczał, gdyż dotąd nie mogło się miasto poszczycić podobném obwarowaniem i ozdobieniem ogrojców swoich. Mała sionka także nie wiele obiecywała, ale czém daléj tém więcéj. Z izdebki bowiem po prawéj wyszedł stary i siwiuteńki Maciéj Rzemieński z święconą wodą, z solą i chlebem, i po staroświecku t. j. po ojcowsku przyjął żonę i dzieci swoje ukochane. Izdebka była ciepła bo ogień płonął na kominku, a stolik do pisania, łóżko i książki świadczyły że to przybytek gospodarza. W drugiéj izbie cokolwiek większéj stał stół okrągły i mebliki skromne ale schludne, a zegar ścienny mierzonym krokiem ru-

chadła i skazówką bieg czasu pokazywał; na oknie stało parę wazoników, a firaneczki muślinkowe już były opięte. Dalêj był mały pokoik jak stworzony na dzieciarnię, a w końcu izba jasna na wschód i południe, zkąd małe drzwiczki do kuchni prowadziły. Umeblowanie skromne, już samo wskazywało przeznaczenie jéj, choćby Walanty nie był wyrzekł: Nie wiem Maryniu czy będziesz kontenta z mego rozkładu, bo ja ten pokój dla ciebie obrałem; masz drzwi do kuchni i spiżarki, możesz się jeżeli zechcesz zamknąć przed ludźmi, a jak ci się spodoba to i przedemną.

Serdeczny uścisk odebrał w odpowiedzi, a Emma westchnęła niewiedząc sama czego. Porozbierano się z podróżnych rupieci; Emma na prośby przyjęła bawialny pokój na tymczasowy pobyt nim jéj pomieszkanie ukończoném będzie; a z kuchni rozległ się niebawem odgłos wałka jaworowego, którym stara Jadwiga mięso tłukła aby huzarska pieczeń była krucha i aby się państwu pierwszy obiad w Niebylcu nadał. Po rozpakowaniu zaś i zniesieniu rzeczy z wozów, pani Maciejowa najsamprzód powiesiła obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj nad łóżkiem córki, wraz z srebrną lampą, którą nalała oliwą i zapaliła według swego staropolskiego zwyczaju. I lampa gorzała jasnym płomykiem a w sercu babki roznieciała się bogobojna radość. Zmówiła akty strzeliste do Matki Boskiéj, prosząc o błogosławieństwo dla nowéj siedziby.

Nazajutrz rano zdziwiła się Emma kiedy ją oboje Rzemieńscy zaprosili z sobą do kościoła na wotywę śpiewaną: aby Pan Bóg dał zdrowie i szczęście na tym nowym pobycie i w tém nowém zmienionem położeniu. Pobożność ta prostóduszna, żywego rumieńca ją nabawiła. W kłopotach bowiem pożegnania i podróży, zapomniała była o ślubach pobożności; a matka poczciwa

którą odjechała dla fortepianu t. j. aby w drodze z fortepianem jadąc onegoż od szkody strzegła: stanęła jéj przed oczyma i obudziła wyrzuty sumienia. W kościele za przykładem Rzemieńskich tak się szczerze przejęła modlitwą, iż ani uważała, że zwróciła uwagę i księdza i organisty i nawet samych jéj towarzyszy modłów.

Czem więcéj wglądała w domowe pożycie swych gospodarzy, tem bardziéj ich szanowała i lubiła, a porównywając z własnem domowem udręczeniem, zastanawiała się nad przyczyną: czemu u siebie w domu niema téj spokojności? czemu przy większych wydatkach niema téj wygody, ani sama, ani mąż, ani dzieci ani biedne poczciwe matczysko? — Ile razy zaglądnęła do zimnéj ratuszowéj karczmy przyszłego swego pomieszkania: tyle razy widziała *niepraktyczność* męża swego. Jemu widać zawsze chodziło o wystawność. *Salon* to jego cel, jego główna uwaga. Niedawno jeszcze ani jéj na myśl nieprzyszło, żeby to mogło być inaczéj. Wszakżeż meble, fortepian, to jéj własność, ona była panią, ona gospodynią salonu swego; tam błyszczała wystawnością, tam jéj talent podziwiany. — Oh ta wystawność, ta chęć wzbudzenia podziwu! Ile razy na nie wspomniała, zdawało jéj się: że widzi czarny węgielny kamień niedoli swéj — bo za tem szły długi, zmartwienia, choroby ich fizyczne i moralne, a w końcu: na tym salonie, wśród tych podziwiań wił się cierniowy wieniec męczeński dla staréj matki jéj, niegdyś tak kochanéj. Skutkiem podobnych rozmyślań był zwykle żal do Jakuba, bo jéj się zdawało: że on jako mąż jéj, jako głowa domu, odpowiedzialnym jest za całą lekkomyślność jéj i swoją. On najlepiéj wiedział stan dochodów i całego mienia: powinien był mieć na tyle doświadczenia albo ostrożności, żeby nie narażać siebie i rodziny na podobne smutne następstwa. Niemogła mu zapomnieć

owego często powtarzanego wyśmiewania starych Rzemieńskich, których naśladować w wielu rzeczach ale nie wyśmiewać potrzebę czuła. Czekała tylko sposobności aby mu to wszystko wymówić. O sposobność zaś podobną było najłatwiéj.

W parę dni przyjechała wreszcie matka jéj z fortepianem dla którego całą drogę największe niewygody ponosiła. Obaczywszy pomieszkanie, ruszyła tylko ramionami i rzekła córce: Bój się Boga Emciu, jakże my tu wysiedzimy? To jedno izbisko za wielkie; tamta kliteczka za mała, że się niema gdzie obrócić; niebyło też raczéj tak zrobić jak państwo Walantowie?

Pan Jakub posłyszał tę mowę bodzącą jego zarozumiałość i odpowiedział opryskliwą niegrzecznością; Emma szukająca zaczepki nieomieszkała mu wylać żalu którem serce jéj przepełnione było. Pan Jakub wytrzeszczył oczy bo się nie spodziewał podobnego oporu ze strony Emmy, która dotychczas bezwarunkowo dzieliła jego przekonanie co do prowadzenia życia. Już miał odciąć ironicznie jak się nieraz był odcinał we Lwowie współuczniom swoim różnonarodnym; ale gdy Emma dotknęła *tematu* wyszydzania Rzemieńskich którzy dla niego dawniéj i teraz tyle ludzkości okazywali — zmalał i umilkł. Emma zaś postanowiła sobie odtąd nieulegać woli męża co do wystawności i zmienić sposób życia.

Zaczęła zatem od prośby do Walantego: czyby to nie można jako przerobić żeby się nie wprowadzać do téj zimnéj, pustéj karczmy?

— Jeżeliby pani nie wzgardziła pomieszkaniem podobnem naszemu toby do tygodnia mogło być gotowe zaraz obok nas, gdzie także chałupa jest do wynajęcia. Piece są gotowe i ten sam murarz je stawiał co tu — izby wybielone, chodziłoby o podłogę i przepierzenie

sieni aby z niéj zrobić podobny pokoik dla dzieci jak nasz. Najdaléj do dziesięciu dni możnaby to uskutecznić. Fortepian by się może nie tak dobrze wydał... ale...

— Nie mów mi pan o tem, proszę pana, bo ja się teraz dopiero uczę tego com dawno powinna była umieć, przerwała Emma i odwróciła zapłakane oczy, — a jakżeżby z ratuszem?

— Najmniejsza! Pomieszkanie to jak raz nada się na sądową izbę któréj nam koniecznie potrzeba. Nawet gdyby się nieznalazło lepsze pomieszczenie urzędu niewiem czyby go nie przenieśli z Niebylca, choćby i na wieś gdzie, tembardziéj: że kilku panów z okolicy mają wielkie niepotrzebne zabudowania, a dawniejsze gorzelnie i browary które do trzechmiesięcy w pomieszkania przemienić się obowiązują.

— Mój panie, chciéj mi też tę łaskę wyświadczyć i zająć się tem, bo mój mąż...

— Właśnie chciałem pani o tem mówić. On koniecznie obstawał za tamtem pomieszkaniem i gotówby się na mnie obruszyć!

— Dobry panie, muszę się panu wyspowiadać; bo przecie raz trzeba znaleść przyjacielskie serce! — Pan znałeś dawniéj Jakuba i lepiéj odemnie. Jam siebie nieznała i jegom nieznała. Dziś jestem rozczarowaną zupełnie. Kobieta nierozumna myślałam: że co on zrobi, na co on przystanie, to musi mądre być i dobre dla żony i dzieci. Mnie jedynaczkę rodzice stroili i pieścili za młodu; cóżem więc mogła innego czynić jak stroić i pieścić się. On mnie powinien był naprowadzić na drogę rozumu; powinien był nauczyć w ostatnim razie: zakazać głupstw robić. Nieuczynił tego — niechciał czy niemógł; mniejsza o to! Stracił zdrowie sobie, mnie i matce mojéj. Żydzi nas grabić, a w końcu jego do wię-

zienia za długi oddać mieli. Matka go wykupiła oddawszy żydom swoją pensyą wdowią! — Niedolą z zaślepienia wyleczona, czuję potrzebę odmiany życia, potrzebę oszczędności i gospodarstwa domowego... a on i teraz matce mojéj ubliża...

Płacz niedał jéj dokończyć. Walanty stał jak na szpilkach; a chcąc ją uspokoić, zaczął go uniewinniać.

— Niech go pan nieuniewinnia!... przerwała — on nie wart tego... zarozumiałości niemożna uniewinnić... jemu wszystko było głupiem co tylko tchnęło zdrowym rozsądkiem... państwo wielkie czepiło się go, a tu niema czem dokazywać... zresztą ja mam do niego żal głęboki za te wyszydzania... ot! ja się panu w oczy nie śmię spojrzyć za niego!!

— A to o co? proszę pani.

— Powiem` panu o co! bo ja się raz muszę przed panem wynurzyć tak jak przed ojcem lub bratem... radabym zapomnieć ten wieczór u nas, kiedy się o mnie starał, i te żarciki pańskiéj żony i teściowéj...

— Ależ moja pani! jakżeż można takie dziecińwa pamiętać — tać to tyle lat temu...

— Prawda! że lata minęły; a ja co chwila żywiéj widzę tę scenę całą niegodną mężczyzny z honorem.'..

— Otóż to macie! jak pani będzie dłużéj o tem dziecińwie mówić to dalipan gotowym być niegrzecznym! i powiem...

— Muszę mówić.

— ... Bo powiem!

— ... Co pan powie?

— „Wspomniała sobie babka, że też miała dziadka“ Moja pani! wtedy on był trzpiotem i starał się panny bawić. — Zresztą moja teścia w saméj rzeczy oryginalnie go swatała, a „kawa z arakiem“ i mnie nie mało kłopotu i śmiechu nabawiła; ale to rzecz skończona,

wróćmy do rzeczy! Więc jutro zamawiam pani kwaterę obok nas, a karczmę czyli ratusz obrócimy wedle jego dawnego przeznaczenia. Pana Jakuba zaś jeżeliby co broił oddamy pod sąd kobiecy. Zgoda?

— Niemogę, tylko szczerze podziękować.

— Ot! idzie winowajca! poczkaj no Jakubku! sprawiemy ci tu łaźnię!

Jakub nadchodząc już w sieni dokąd Walanty wyszedł na powitanie go, zaczął: Proszę cię mój Walusiu! moja pani mi się tak dzisiaj zbuntowała, że się obawiam czy mi ją nie bałamucisz.

— Żebym tylko mógł! ale to jeszcze czas na to. — Słuchaj coś ci powiem.

— Słucham!

— Będziecie mieszkać obok nas!

— W téj chałupie?

— W téj saméj! za dziesięć dni kubek w kubek ją urządzę jak moją. Będziecie mieli ogród, będzie można krowę trzymać, będziesz gospodarował, a zamiast w karty grać, będziesz pielił grządki albo z dziećmi figle stroił — a zabawy, wystawność, jako rzeczy przedorganizacyjne pojdą *ad acta*!

— Jakub się popatrzał na niego zdziwiony a jeszcze bardziéj na panią Rzemieńską, która dosłyszawszy płaczu Emmy niemogła tego przenieść na sobie i ujęła się po swojemu: Panie Jakubie niegadała ja, to zawsze że z pana był lampart i będzie lampart! Za młodu to mi pan Marysię prętem smagał aż się biedne dziewcze od płaczu zachodziło, a teraz to żona na pana będzie płakać! a godzi się to tak, zaraz mi ją pan przeproś; zaraz!

— Ale proszę Pani, ja niewiem o niczem...

— Ja pana niebędę prosić! Marysiu, pomóżno mi, weź no go za rękę,... mąż powinien wszystko wiedzieć... przeprosić natychmiast!

— Niech i tak będzie, — przeproszę, kiedy panie każecie.

— Ba, ale Emma niechciała się przeprosić i z gorzkim wyrzutem rzekła: Tam moja matka, ją niech przeprosi, on wie za co?

— Ależ Emciu, bój się Boga!

Emma się odwróciła, a on się zdziwił, bo taką nieznał jéj jeszcze.

— Mamę przeprosić! babcię przeprosić, nagliła Rzemieńska.

— Dobrze.

Poszedł, przeprosił staruszkę i wróciwszy rzekł: Przeprosiłem, o cóż ci jeszcze chodzi?

— O co mi chodzi? tu pani Rzemieńska tu jéj córka: wiesz doskonale jak szczerze winieneś ich przeprosić; myślę, że się dorozumiesz za co? czy może mam przypomnieć?... rzekła, patrząc mu surowo w oczy.

Jakuba gdyby ukropem zlał, zmięszał się, niewiedział od czego zacząć, w końcu ruszył ramionami: Przepraszam i panie jeżelim obraził...

— Nie, jeżelim — bom obraził, przerwała Emma dodając: a teraz przeproś swój rozum za te niedorzeczności coś porobił przez życie.

— Ależ bo to pani nie żartuje! odezwał się Walanty zdziwiony, ja na jego miejscu paniąbym nazwał rozumem i przeprosiłbym.

— Obejdę się tą razą bez jego przeprosin, rzekła Emma już z zimną spokojnością, a Jakub stał jak trusia i nieśmiał słówka pisnąć. —

---

Za dwa tygodnie sprowadzili się państwo Jakubowie obok Walantego, a w tydzień póżniéj przyszła Emma do Maryni swéj wielkiéj przyjaciołki:

— Z prośbą przychodzę do ciebie!

— Proszę cię z jaką?

— Naucz mnie też chleb piec, bo te gnieciuchy kupne widocznie nam niezdrowe, a ja przy całéj. méj edukacyi uczciwego chleba ani bułki upiec nie umiem. Torty różne, ciasta wymyślne to mi się udaje, ale tego mi teraz nie trzeba, a wstydzę się nieumieć chleba piec. —

Najchętniéj wysłuchano prośbę. Także i Munio zyskał na sąsiedztwie, bo miasto szkockiego ubioru dostał wygodną flanelową bluzkę i buciki w których tupa po pokoju i nawet po ogrodzie albo do Zosi biega. Za poradą Rzemieńskiéj pije mleko prosto od krowy i widocznie zdrowszéj cery nabiera. — Fortepian nie poszedł w zapomnienie, owszem po gospodarskiem zajęciu najmilszą dla Emmy rozrywką, zwłaszcza: że ci co słuchają jéj trelów, wszyscy są dobrymi przyjaciołmi. Grządki w ogrodzie skopane na zimę, nasionka warzywne i gospodarskie zapisują się, i niemoże się Emma wydziwić jak mile jéj czas upływa w Niebylcu· Wszyscy zyskali na zmianie prócz Jakuba: bo przewaga jego w domu przepadła z kretesem. Ile razy dowcipem ironicznym usiłuje ją sobie zdobyć, tylekroć ulyszy wspomnienie *wexlów*, *aresztu*, *umierania na spacerze* itd. i musi stulić słuchy. Panna pokojowa także nie zasmakowała w słomianéj strzesze: odprawiła się korzystając z sposobności iż znajomy jakiś *sierżant* wracał z *transportem* do Tarnowa.

Przed kilkoma dniami przyjechała żona przełożonego okręgu Niebylca i niesłychanie się zcieszyła Emma, gdyż była nią jedna z owych dwóch niebiesko ubranych wesołych panienek; poszła ona za komisarza Czecha, który został przełożonym obwodu. — Humor jéj nie zmienił się, zawsze lubi spiewać ładne piosneczki i zaj-

mować się literaturą, a mając wiele świeżych książek, zasila niemi swoje sąsiadki. Młoda ta i wesoła kobieta doskonale się z niemi zgadza, tylko Emmie wymawia, czemu swego męża tak krótko trzyma, prawie jak pod pantoflem. — Emma zaś odpowiada: Nieumiał on mnie trzymać, za to ja go trzymam.

Bartłomiéj Arbuzowski.

# PRZEGLĄD PISMIENNICTWA.

---

Do najwykwintniejszych przyjemności życia, a przytém najwięcéj urozmaiconych i najmniéj rozczarowujących, są podług mnie podróże. Świat otwarty, wolność nieograniczona, bo jako gość nie doznajesz tego co miejscowych dotyka lub boli — urok i niebezpieczeństwo najprzeciwniejszych sobie klimatów — bogactwo widoków natury rozwijających się bez końca przed oczyma podróżnika — arcydzieła wszelkich sztuk rozsiane w każdym kraju — pamiątki i ruiny zwiedzane na ziemiach klasycznych — historya, umiejętność, poezyja towarzysząca ci w każdym kroku — oto są roskosze wzniosłe i trudne zarazem; bo ileż to potrzeba mieć odwagi, ile znajomości rzeczy wszechstronnéj, ile wyobraźni, ile świętego ognia, aby te widziane dziwy ogarnąć, zrozumieć, i podać w taki sposób, iżby ten, co niemiał szczęścia patrzeć na nie, mógł je wyobrazić sobie, zrozumieć i powiedzieć w duchu: nie byłem tam, a jakbym był tak znam!

Takie podróże i tacy podróżnicy zawsze należyć będą do rzadkich wyjątków, chociaż jeśli kiedy to za naszych dni ułatwione środki podróżowania pędzą najróżnorodniejszą ludność na sieć kolei żelaznéj pokrywającą ląd stały, na parowce przerzynające we wszystkich kierunkach morze Śródziemne, które dziś zmalało do wielkości jeziora. Tysiące niezatrudnionych głów, prostodusznych hreczkosiejów, spanoszonych giełdowców, dam nudzących się na partykularzu gdzie ich toaletowych wdzięków nikt podziwiać nieumié, zgoła wszystko co ma za co i niema za co, przebiega Włochy, Sycylię, Grecyę, płynie w górę Nilu, pielgrzymuje do Jerozolimy, drapie się na Liban, zagląda do Stambułu pytać zapewne o zdrowie wysokiéj Porty. — I cóż z téj wycieczki przynoszą? Oto chorobę morską, i prawo nudzenia nas rozpowiadaniem o tém, o czém wszyscy wiedzą:

Zboże tanie, deszcz pada, w Grecyi rozboje.

Ja i ty mój czytelniku, co pilnujemy domowego ogniska, zostawmy tym szczęśliwym śmiertelnikom ich niepotrzebne trudy i kłopoty, oklepane wzruszenia i podziwy, widoczki kupowane na miejscu, a robione gdzie o tysiąc mil, stosy starożytnych rupieci sfabrykowanych w wilią ich przejazdu, niebezpieczeństwa hotelowe, rozbicia się na kropli wody, oszustwo Greków, spokojną otrętwiałość Turków, i ten kanibalizm czy na południu, czy na wschodzie, który już nie zjada podróżnych a tylko na ich kieszeń poluje.... Siedząc na domowych śmieciach zyskujemy na tém najwięcéj, bo nie popisując się przed cudzoziemcami z zapasem naszych próżności i śmieszności, nie narażając się na trud i koszt, pożywamy najspokojniéj każdy owoc jaki nam z wycieczek dalekich przyniosą; — co jeżeli się nie zawsze zdarza aby miał smak i świeżość, to przecież nie można powiedzieć aby na tysiąc turystów, jeden się nie znalazł

który pojechał nie na darmo, jeżli przywiózł ze sobą tak bogate żniwo postrzeżeń i żywych obrazów, iż gdy się zamkniesz w pokoju i wyobraźnię swoją powierzysz temu przewodnikowi, to widzisz, myślisz i czujesz z nim razem i jesteś jakby w śnie przeniesiony pod skwary Afryki, lub w przedpotopowe lasy nowego świata.

Wielu tem się tłumaczy: poco opisywać, poco badać— kiedy tylu przed nami opisało i zbadało te lub owe strony? — Zapewne, przysłowie mówi: Nic nowego pod słońcem — lecz w świecie umiętności i pojęć wszystko bywa nowe, lub odnawiające się. Po tylu np. pobożnych i uczonych pielgrzymach wzbijających od trzech wieków tumany kurzu na świętéj drodze palestyńskiéj, po Radziwile Sierotce, Drohojewskim, Hołowińskim, Chwalibogu — zostało jeszcze dużo miejsca na interesujące nowością karty. Co wiecznie piękne, to i wiecznie świeże, byle patrzeć z innego coraz punktu.

Taka Podróż na Wschód M. Mana — lubo potoczyła się po gościńcu ubitym stopami Chateaubriana i Lamartyna, tych najniebezpieczniejszych towarzyszy, co rozsieli tyle brylantów poezyi i wymowy na piaskach pustyni — zawiera jednakowoż mnóstwo rysów pominionych przez jego poprzedników, i wiele postrzeżeń zrobionych z innego punktu widzenia.

Tak bardzo już nadużyto owych wrażeń podróży, tak przekarmiono publiczność zachodami słońca, burzami, zachwytami w obec ruin, a nadewszystko zmyślonemi przygodami, że jaki taki z trwogą bierze podróż do ręki, myśląc sobie: co mi po jego wrażeniach i przygodach, kiedy o pierwsze nie dbam, a w drugie nie wierzę! I słusznie, dziś bowiem rutyna nie popłaca; światły czytelnik chce ścisłości i prawdy nawet w romansie, a cóż dopiero w podróży, która powinna się liczyć do rzędu pism łączących przyjemność z rzeczywistym pożytkiem, zawierać rysy dokładnéj ścisłości, naukę grun-

towną, i fakta niezmyślone. — Dla tego Podróż Mana na Wschód obfitując w fakta i postrzeżenia, nie jest igraszką wyobraźni; autor nie wynajduje, lecz widzi; nie marzy, lecz sądzi; nie pragnie olśnić, ale oświecić i nauczyć. Opisy jego brane z natury na którą patrzał gołém okiem, skromne są, bo prawdziwe, nie przesadzone kolorytem i bez fałszywych efektów, a w opowieści zawsze czerpane z historyi, kiedy mówi o przeszłości — z życia rzeczywistego kiedy teraźniejszość maluje. — W ciągu całéj téż drogi którą przebiegł od Nilu do Stambułu, mnóstwo potrąca przedmiotów odnoszących się do miejscowości, do ludzi, do historyi, do sztuki, do administracyi, obyczajów a nawet do polityki. Obfitość ich taka, że zaspakaja umysł i serce czytającego daleko więcéj, niżby zaspokoić mogły namiętne deklamacye, igraszki stylu kwiecistego i zaraźliwe urojenia umysłu upojonego samym sobą, a głuchego na wrażenie prawdy.— Lubię i to w jego podróży, że się wyrzekł swéj osobistości aby uwydatnić każdy przedmiot; chowa się by sobą nie zasłaniać widoku na rzecz; nie mówi o sobie, a za to każe mówić faktom. — Zgoła sumienna ta i na obszerniejszą skalę zrobiona podróż grzeszy może tém tylko, że autor więcéj po podróży, jak przed nią oddawał się studiom nad zwiedzanemi przez siebie krajami, co sprawia, że nie będąc dostatecznie przygotowanym na tę drogę która nań niespodziewanie przypadła, nie miał tych zasobów pamięci niezmiernie dopomagających wyobraźni do ożywienia miejsc, dźwignienia ruin, zaludnienia pustyń. —

Bądź jak bądź, dziwi mię dla czego książka mająca tyle dobrych zalet, została milczeniem pokrytą w warszawskich pismach czasowych, które lubią tak szeroko rozprawiać nieraz o najfałszywszych relacyach podróży, będących raczéj prostą igraszką z łatwowierności czytelników, niż sumiennném opowiedzeniem tego co się wi-

dzi, doświadcza, odkrywa i obserwuje przy zwiedzaniu cudzych krajów. — Czyżby publiczność miała być tak usposobioną że jéj więcéj do smaku przypadają niestworzone banialuki haftowane na tle jeografii elementarnéj, niż pracowite studium nad duchem i fizyonomią spółeczeństwa, nad zabytkami i wspomnieniami z historyi, nad obyczajami, instytucyami, gospodarstwem i urządzeniami wewnętrznemi jakiego kraju? — Przyznam się że nie bardzo wierzę aby taki smak miał być powszechnym, bo zbyt niekorzystną dawałby miarę o stanie intelligencyi; prędzéj przypuściłbym niedostatek dobréj krytyki która niewyrobiła sobie żadnéj skali i wszystko jednym łokciem mierzy, czy ulotną powiastkę lub wierszyk, czy owoc trudu, doświadczenia i nauki.

Bynajmniéj nie miałem zamiaru mówić o téj książce Mana w téj myśli, abym ją chciał we wszystkich częściach rozbierać; ale wszcząwszy rzecz o podróżujących i podróżach, uważałem za właściwe dotknąć tego faktu, któryby mógł być wcale niepocieszającym symptomatem, gdyby wszystkie fenomena i symptomata umysłowe w spółeczeństwie, znachodziły pełny swój organ i wierne tłumaczenie w gazetach i dziennikach. Że tak nie jest — więcéj niż pewna; a najbardziéj u tych nie jest, co sobie przypisują wyłączne posłannictwo wyrażania potrzeb, chęci, nadziei, a nawet dążeń czytającego i nieczytającego spółeczeństwa. — Zaiste, byłoby to rzeczą wcale niepokrzepiającą dla ducha żebyśmy mieli kochać się więcéj w fatałaszkach rozbrykanéj imaginacyi, niż w rzeczach prowadzących do ścisłego zbadania prawdy, a do tego nie w płodach fantazyi, jak powieść, lub romans, ale w przedmiotach wymagających ścisłości nieledwo matematycznéj, skrupulatnych studiów i obszernéj znajomości różnorodnych przedmiotów, czego wszystkiego wymaga podróż, jeżeli na to nazwisko zasłużyć pragnie. —

Co się dotąd rzekło', miało jedynie na względzie podróż w najobszerniejszem znaczeniu wziętą — podróż kosmopolityczną, przez którą wchodzimy do składu literatury powszechnéj, trącając o przedmioty opisywane i obrabiane przez koryfeów literatury francuskiéj, angielskiéj, niemieckiéj i t. p. Taka zagraniczna podróż nie jest bez interesu dla obcych, a bez znaczenia dla nas, bo pokazuje w jaki sposób zapatrujemy się na różne instytucye, spółeczności, obyczaje i sprawy publiczne; nam zaś pochlebia ten rozszerzony zakres obserwacyi przynoszący w zysku miarę porównania, a nadewszystko praktyczną mądrość doświadczenia.

Wszakże gdybyśmy pędzeni ciekawością poznania i badania samych tylko obcych i dalekich krain, niemyśleli o poznaniu téj ziemi, na któréj żyjemy, z przyczyny, że to nie tak zaszczytnie brzmi powiedzieć: wracam z Polesia, lub Pokucia, które zwiedziłem — jak kiedy sią powie: wracam z pod bieguna lub z Australii — gdybyśmy w ten sposób palili ofiarę naszéj próżności, i chorobie włóczenia się światami, byłoby naganną sprawą, jak naganną jest dzisiejsza podróżomania która rokrocznie na kilka miesięcy wypróżnia kraj z połowy ludności klas zamożniejszych. Lecz na szczęście, można od niejakiego czasu uważać, że zajęcie się rodzinną ziemią mające na celu dokładne poznanie miejscowości będących z historyą w związku, badania nad fizionomią, zwyczajami, i wyobrażeniami ludu, poszukiwania zabytków pod względem archeologii, postrzeżenia geologiczne, zoologiczne, roślinne, n'emniéj nad stanem rolnictwa i przemysłu, stósownie do tego jak co gdzie przeważa, — że zajęcie się temi przedmiotami wchodzącemi w monografie, czy miast, czy pewnych okolic, czy prowincyj, — stało się rzetelną potrzebą. Najmniejszy taki opis z wycieczki w jakąbądź okolicę więcéj nierównie interesuje, jeżeli nie jest suchym i trywialnym, niż

najświetniejsze opisy obcych dziwów, lub najniepodobniejszych do prawdy przygód. W téj tedy gałęzi piśmiennictwa postąpiliśmy niesłychanie, zwłaszcza gdy weźmiemy na uwagę niezmiernie ubogie i skąpe monografie z czasów dawniejszych, które można powiedzieć nieumiały się wyłamać z ram jeografii i to jeografii nie tak rozwiniętéj jak dzisiaj. Nasi starzy nierozumieli pejzażu.

Najpierwsza Tańska w listach swoich opisujących podróż do Krakowa dała szerszy zakres téj gałęzi piśmiennictwa[1], ograniczonéj dotąd na humorystycznych postrzeżeniach przeplatanych dowcipnemi wierszykami, jak to widzieliśmy u Krasickiego i Karpińskiego. Po niéj, Kraszewski który wyborne rzucil szkice okolic Polesia i Litwy może za doskonały wzór służyć. Przeździecki opisał Podole i Wołyń. Raczyński Wielkopolskę. Goszczyński i Zeiszner Tatrzańskie okolice. Syrokomla część Litwy a szczególniéj Nieśwież; dodajmy do tego wyborne monografie Poznania, Warszawy, Krakowa, Wilna, Rzeszowa, Tarnowa, Jarosławia; dodajmy mnóstwo artykułów rozsianych po pismach czasowych a opisujących malowniczo wdzięczniejsze okolice, zamki, kościoły, tak pod względem dziejowym, jak archeologicznym i etnograficznym, a będziemy mieli wyobrażenie materyałow co dzień mnożących się do uzupełnienia obrazu całéj krainy, już na tle jakie sucho jeszcze, rzucił był w Opisie starożytnéj Polski Baliński i Tymoteusz Lipiński, już w sposób więcéj ożywiony i malowniczy, bo obejmujący i dawne i nowe życie rozsianego na niéj narodu. O takiéj podróży wolno nam marzyć, że kiedyś biegłe pióro przysłuży się nią ogółowi, ale dopiero wtenczas, jeżeli wszystkie strony kraju zostaną dokładnie zwiedzone przez ludzi znających rzecz, umiejących robić studia i rozmiłowanych w ubożuch-

nych zabytkach i pięknościach natury, często tak oryginalnych....

Co do tego punktu można powiedzieć, iż mamy wiele zakątów takich które w powszechności, a nawet dla ludzi oczytanych, mogą być oznaczone mianem: *terra incognita*. Zazwyczaj są to okolice słynne nawet w dziejach, lecz na pograniczach, lub daleko od dzisiejszych dróg cywilizacyjnych położone, czyli nieprzytykające do bitych gościńców wiodących ku stolicom, ani do kolei żelaznéj, wiodącéj w świat — a zatém zapomniane, jak ułamek co się z rachunku wyrzuca... Tymczasem właśnie bywają to miejsca najbardziéj interesujące, bo jeszcze świeże, bo zachowały odrębny charakter tak w swoich mieszkańcach, jak na licu krainy gdzie jeszcze natura fantazjuje sobie w najlepsze.... Mógłbym wiele takich okolic naliczyć, które drzemią w zapomnieniu, dla tego, że pióro pisarza z wyższym talentem nie dało im życia, czyli niewykryło téj poezyi jaka tkwi w ludzie, w pamiątkach, w uroczéj naturze. Pieśń lub powieść popularyzuje opiewane strony, i napawa ku nim tęsknotą, jak do każdéj krainy obleczonéj w mglisto-różową szatę poetyczności; zajmuje to i wystarcza na jakiś czas, ale nie na długo; bo człowiek, dziecko ciekawe, tłucze najmisterniejszą zabawkę, aby zobaczyć czemu ten kanarek śpiéwa, i co to za płyn przelewa się w téj szklannéj kuli niemającéj żadnego otworu?—To samo i z poezyą miejsc; z razu zachwycają cię te brylantowe opisy — potém zbiéra chęć przekonać się naocznie o prawdzie — zastajesz rzeczywistość prawie zawsze prozaiczną i niższą, lubo duch unosi się nad nią jeden i ten sam, jaki wyśpiéwali poeci....

Ukraina tylekroć opiewana, zacząwszy od apostrofy Trębeckiego, aż do poematów Alexandra Grozy, mająca prawie osobną swoją szkołę, nazwaną przez Michała Grabowskiego *ukraińską* —żyła długo w wyobraźni na-

széj upryzmowana wszystkiemi czarodziejstwy nagarnionemi na nią ze świata fantazyi jéj ludu, rozmiłowanego w tęsknych dumkach i roskosznych powieściach naniesionych gdzieś od Gangesu, i branemi z téj natury stepowéj nadzwyczaj bujnéj i dziko-swobodnéj, która uroczy tworzyła kontrast z prowincyami wystawionemi na bezpośredniejsze parcie cywilizacyi.... Wszyscy kochali Ukrainę i tęsknili do niéj, oczarowani dumkami i szumkami; lecz w powszechności mało kto miał wyobrażenie o téj stronie pod względem dokładnych opisów miejscowości, stanu rolnictwa, przemysłu, towarzyskiego pożycia, obyczaju, a nawet pamiątek historycznych dosyć gęstych. Szczególniéj część Ukrainy leżąca nad Dnieprem, cały ten kąt od Zabotyna do Kremenczuga, należy do najmniéj znanych, choć może najciekawszych. Te to właśnie strony znalazłem opisane w książce *Opowiadania i krajobrazy — szkice z wędrówek po Ukrainie* przez Tadeusza Padalicę *). Autor, jak sam powiada, urodzony w tych stronach, będących sercem Ukrainy, od dawna zajmował się zbieraniem podań i pieśni ludu i studiami historycznemi, odnoszącemi się do miejsc pamiętnych po największéj części bojami staczanemi z kozactwem i Tatarami, niemniéj krwawym dramatem koliszczyzny. Z takiem przygotowaniem i zaopatrzeniem się w zasoby badań, przy gorącéj miłości dla stron rodzinnych i ludu, z uczuciem poetyczném dla uroczych krajobrazów naddnieprskich, i dla natury jeszcze tak świeżéj i tak ogromnych rozmiarów, mógł on snadno wywiązać się z zadania i skreślić obrazki i sceny tchnące życiem i tą prawdą, która pociągając i przywięzując czytelnika, już tém samém daje mu pewność że autor nie igra z jego dobrą wiarą.

---

*) Tomów dwa. Wilno, nakładem Zawadzkiego, 1856 r.

Z sumienną tą pracą przybywa nam jeden ciekawy rys do dziejów naszéj ziemi; zaznajomiamy się bliżéj z tym ludem który poduszczony i prowadzony przez śmiałych swoich pół-hetmanów, pół-hersztów, zadał był ciężkie rany Rzeczypospolitéj, jakby za karę, że niemiała dość siły i energii zasłaniać mieszkańców tych ziem odległych, przeciw nadużyciom i krzywdom możnych panów, a raczéj ich podwładnych, którzy administrowali dobrami bez żadnéj kontroli, najczęściéj z całą dzikością drapieżnego służalca wyniesionego z łaski pańskiéj nad równych sobie.

Historyczne pola wielu bitew stoczonych w tych okolicach, częstokroć mylnie podawane przez naszych kronikarzy, znajdujemy w tym opisie skreślone z taką dokładnością, że czytelnik czuje się przeniesionym na miejsce akcyi; do czego autor posługiwał się ciekawą kroniką Wieliczki podającą wiele nowych szczegółów, jak niemniéj zwiedzenie sceny saméj, jeszcze silniéj uobecniło nam te wojenne rapsody w których jako działające postacie występują Potoccy, Czarniecki, to znów Chmielnicki i zgraja przewódzców rzezi Humańskiéj.

Od szerokiego obrazu bitwy ważącéj na ostrzu losy téj prowincyi, do domowych scen po drewnianych zameczkach gubernatorów, i po futorach gdzie się przechowywał jaki watażka, wszystko tu się przewija w ożywionem opowiadaniu, pełnem miejscowego kolorytu, aż do języka pochwyconego z całą znajomością gminu.

Wszystko tu nowe, urocze, poetyczne i ciekawe — czy posłuchamy co nam z przeszłości opowiada, czy damy ucho uwagom nad obecnym stanem téj części Ukrainy — która, cóż piewcy dumek i szumek na to powiedzą! przeobraziła się w ruchliwy cukierniany warsztat z smukłemi kominami i szumem machin parowych, powstających w miejscu dawnych zameczków i ostrogów, oku-

rzanych nieraz dymem samopałów i szmigownic, a najczęściéj powiewających sztandarem ogniowéj pożogi....

Osobliwa rzecz! przeszłość historyczna Ukrainy niezostawiła prawie znaku po sobie: Zameczki budowane z drzewa i ziemi, spopielone pożarem, wiatr rozwiał — został tylko gdzieniegdzie okop lub wał... i podanie zapisanie w ustach gminu lub w kronikach. — Mnóstwo zaś kurhanów rozsypanych jak gwiazdy na niebie po całym obszarze tych ziem — Bóg wie do kogo należą, jakich to ludów pomniki — bo to pewna że rzadka mogiła kryje kości poległych w boju...

Tem większa zasługa autora tych wędrówek po Ukrainie, gdy na téj białéj karcie narysował, ubarwił, ożywił tę rycerską przeszłość, a nadewszystko gdy umiał się wtajemniczyć w dziwy tych romantycznych łąk, borów i siół, monasterów porozrzucanych w jarach nad brzegami Dniepru, Rosi, Taśminy, i nieodłączając ludu od pejzażu, malować go takim jakim jest, choć może studiował go tylko w chwilach jego poetycznéj zadumy, lub rozpasanéj hulanki z nożem i głownią...

Szczegółowego rozbioru téj podróży dawać niepodobna, bo w takim razie trzebaby zatrzymać się nad każdym opisem, każdą sceną, lub powiastką, lub rozumowaniem czy historycznem czy ekonomicznem — a zatem wypadałoby powtórzyć w skróceniu całą książkę; coby znowu dało pretext niejednemu do poprzestania na mojéj treści; gdy zaś najszczerzéj pragnę aby z talentem napisaną książkę jak najwięcéj osób czytało, przeto zatrzymam się tylko na niektórych miejscach co mię najwięcéj zajęły, lub co wywołują spór na polu wyobrażeń i faktów.

Trafne jest postrzeżenie autora, gdy mówi, iż lud nasz nieumie szanować pamiątek historycznych, nawet takich co się odnoszą do bohatyrów najściśléj z nim

związanych, czyli najpopularniejszych. Ta myśl przyszła mu na widok Subotowa, téj sławnéj siedziby Bohdana Chmielnickiego, o któréj znaczeniu historycznem żaden chłop nie wie, choć pamięć Chmielniczeńka uwiecznia w pieśni. — Daléj powiada, że na Zachodzie ocalonoby każdą cegiełkę, wystawionoby mu pomnik itd. Niech mi wolno będzie zapytać czy autor rozumie, że lud na Zachodzie bywa troskliwszy o pamiątki narodową, niż Ukraiński? — Bardzo wątpię; — trzeba tylko zapytać historyi, aby się przekonać że w każdym ruchu rewolucyjnym, nieprzepuszczał żadnym pamiątkom choć ciosanym z granitu, choć przypominającym mu najlepszych jego dobroczyńców. Prosty lud wszędzie jednakowy; będąc bowiem bierną stroną w dziele cywilizacyi a zatem niewyrabiając jéj z siebie, o tyle tylko przyjmuje cywilizacyjne wyobrażenia, o ile mu takowe w większéj lub mniejszéj massie dane są z góry. — Niewątpić że i do dziś stałby w Subotowie czy dom Chmielnickiego, czy jaki posąg poświęcony jego pamięci, gdyby to był bohater narodu — lecz Rzeczpospolita nie miała interesu stawiać posągu — buntownikowi, kiedy go stawiała swemu obrońcy w Tykocinie, gdzie po dziś dzień stoi.

Autor troskliwy o przechowanie nam pamiątki po Bohdanie: daje opis Subotowskiego dworca, podług jakiegoś pisarza Małoruskiego który opisując dom Sotnika Czornysza w Woronežu, powiada że był zbudowany na wzór domu Chmielnickiego. — Ciekawy to opis: „Sześć czeremchowych drzew wyrastało przed oknami hetmańskiego pomieszkania. Opodal stała jabłoń rozłożysta przy któréj na trzech dużych lwach wspierało się koryto wyciosane z kamienia. W paszczękach tych lwów umocowane były trzy kółka srebrne, do których uwiązywano konie starszyzny wojskowéj, przybywającéj do hetmana gdy ten szukał wytchnienia w Subotowie. W ścianach

domu widniały niskie staroświeckie okna z okrągłemi szkłami, w dębowe ujęte ramy, zieloną pomalowane farbą. Nad oknami były ulepione z gipsu konie i armaty, ulubione wizerunki Chmielnickiego. Ściany wzmocnione były ogromnemi szkarpami, których szczątki dotąd postrzegać się dają, a na północnéj stronie domu wybiegała do góry zębata wieżyczka z podługowatemi otworami do koła, jak w strzelnicy. Ganek domu wspierał się na dwunastu słupach, i zajmował prawie część trzecią frontowéj ściany. Był on wyłożony kamiennemi płytami rzeźbionemi w nieokreślone kwiaty i postacie. Dach tego ganku niebył wyprowadzony w trójkąt jak teraźniejszych ganków, lecz miał fronton w półkole, ozdobiony sztukateryą. Na polu frontowem owego ganku ulepiony w płaskorzeźbie był niedźwiedź wybierający miód z ula, a z tyłu jego pasiecznik z zamierzoną siekierą. —

Do koła owego wizerunku stał napis: „Co będzie to będzie; a będzie tak jak Bóg da.“ Sentencya ta była godłem Chmielnickiego, niektórzy zaś pisarze małoruscy utrzymują iż wyobrażenie niedźwiedzia z pasiecznikiem, miało być aluzyą do zajścia Czaplińskiego z Chmielnickim i odebrania ostatniemu futoru z pasieką i młynem na uroczysku Subotowo“.

Padalica Subotów tak kreśli: „Wyraz okolicy tęskny, dziki i zaprawdę oryginalny. Nieprzypisujemy bezwzględnie Chmielnickiemu, ażeby w tych hajdamackich jarach wykołysał dumną myśl rokoszu, ale patrząc na te garby, do których przylepiły się szeregiem wieśniacze chaty, na tę tęskną smugę piasku ścielącą się za rzeką i zakończającą widokrąg; z tyłu zaś na te głębokie paszcze jarów, co niegdyś patrzyły przerażającą ciemnością lasu, przyznać trzeba iż podobny widok jeźli nie natchnął krwawych zamiarów, to powzięte mógł rozżarzyć i żywić. Nie jest to futor, jakich na Ukrainie

tysiące, ani ma z niemi podobieństwo. Ani pól potoczystych, ani kwiecistych niema tu gajów. Rybacka to raczéj lub myśliwska sadyba, a nie spokojnego rolnika.“ A jednak ten futorek wartujący niewiele był pierwszą przyczyną owego szerokiego pożaru, który zapalił Ukrainę i palił ją wiek cały.

Autor słusznie twierdzi, że ani Polacy, ani Rosyanie, ani Małorusini niemają epoki Chmielnickiego napisanéj bezstronnie. Radzi więc zbierać materyały przygotowawcze; i bardzo słusznie, bo nigdy rozumowania i poglądy niemogą być trafne, jeżeli się nieoprą na pewnych danych.

Nowe są niektóre szczegóły zebrane tu przez Padalicę, a jeden mianowicie rys podany w kronice Wieliczki nazwałbym sceną z Szekspirowskiego dramatu, tak ma coś patetycznego. Jest to akt zemsty Bohdana na Czaplińskim. — Po zwycięztwie Żółtowodzkiém, wysłał Chmielnicki do Czehryna oddział kozaków, rozkazawszy im pojmać i przywieść Czaplińskiego. Wpadnięto na zamek o zmroku i wyciągnięto go z łóżka, obito nahajami, a potem odziawszy w prosty kożuch i kazawszy na wieki pożegnać się z żoną, porwano na konia i stawiono przed strasznym mścicielem. Natenczas Chmielnicki w obec więźniów polskich oświadczył, iż z Czaplińskiego przyczyny zaczął wojnę, i za obóz go odprowadziwszy, ściąć rozkazał, a jak dodaje Wieliczko: „daby wrah mira i pokoju, nieležał z tymi szlachetnemi trupami, kotoryje z jeho pryczyny, tam, na Żowtojwodie, swoi biedstwenno położyli hołowy.“ Rzecz pewna, iż takie uczucie nieraz w początkach tych krwawych wojen odzywać się mogło w Chmielnickim, który sam szlachcic, wychowany na dworach pańskich, żałował że tak marnie gubi rzeczpospolitę przez nienawiść dla możnowładzców Ukrainnych. Wówczesnych pamiętnikach nieraz napotyka się to jego zdanie, że się czuje być narzędziem do ukarania niesfornéj i butnéj szlachty

odmawiającéj posłuszeństwa własnemu królowi.... Winienem wszakże sprostować jedną myłkę w opowiadaniu Padalicy, który ją powtórzył za kroniką Wieliczki, a ta jest, jakoby zamku w Brodach miał być fundatorem któryś Potocki. Następnie że tenże Potocki oglądając roboty forteczne uważane za niezdobyte, spytał koniuszego swego Chmielnickiego, co myśli o tych wałach i murach? na co zapytany odpowiedział: Co ręka ludzka zbuduje, taż ręka i zburzyć może! — Odpowiedź ta, jak wiadomo oburzywszy dumę Potockiego zawiesiła nad głową Bohdana niebezpieczny piorun gniewu; on też nieczekając aż spadnie, umknął na Ukrainę. W podaniu tem błędem jest pierwsze: bo nie Potocki, lecz Stan. Koniecpolski wystawił zamek Brodzki — podrugie ta odpowiedź powtórzona we współczesnych relacyach miała być daną Alex. Koniecpolskiemu przez Bohdana przy fortyfikowaniu Kudaku po wycięciu załogi Mariona, a zatem była to jakaś stereotypowa odpowiedź, wzięta zapewne z jakiego obcego historyka dla okrasy stylu.

W ciągu rysów z historyi wojen kozackich które autor podaje lub z nowych źródeł wyjaśnia, widzimy wszędy chęć dotarcia prawdy, i postawienia faktu w właściwém świetle — z tego téż powodu częste stacza utarczki z kronikarzami małoruskimi, którzy jako stojący na bardzo poziomém stanowisku nienawiści i ciemnego fanatyzmu, pletą niestworzone duby o okrucieństwie takiego np. człowieka jak Żółkiewski. — Gdzież się już mieścić będzie rycerska wspaniałość, i łagodność pochodząca z religijnego i światowego wykształcenia, jeżeli ją odmówimy Cecorskiemu męczennikowi, który słynął i z męztwa i z pobożności, i cnót obywatelskich i z nieposledniéj nauki? — Do téj szermierki miał szerokie pole autor, lecz widać że wiele rzeczy musiał pominąć milczeniem; dla wyświecenia historycznéj prawdy niezawsze wolno swoją świeczkę zapalić. — Na bardzo

wiele ustępów i opisów Padalicy mógłbym zwracać uwagę czytelników, bo gdzie jest obfitość, tam wybór nie trudny i wszystko nęci. Mam sobie jednak za obowiązek, polecić powiastkę osnutą na tle hajdamaczyzny Ukraińskiéj, a wplecioną w jego podróż — pod napisem: *Zosia Zytkiewiczówna*. Jest to jeden z najudatniejszych obrazków, pełen porywającego interesu, i téj świeżości która zawsze towarzyszy studiom z natury jeśli im przyświeca lampa poezyi. Co ją wszakże najbardziéj w oczach moich podnosi, to wyborna charakterystyka osób — tego Zytkiewicza, cichego a pełnego odwagi szlachcica — tego Mamaja co pod szatą szlachecką zdradza gbura — a niemniéj i tego Pawła co tak się zhultaił, że i na Sicz za wiele.... A jakże znowu uroczo na tych szorstkich ogorzałych postaciach odbija się miniaturowym pędzlem namalowana pół anielska twarzyczka Zosi!... Wszystko tu tak plastyczne, tak dokładnie narysowane, że tylko układać i robić sceny do obrazków.... a to nie mała zaleta, kiedy większa część figur wchodzących w nasze powieści tak słabo stoi na nogach, że gdzieś to na kupie wszystko spoczywa, jak te szeregi kart które dziecko podmuchem obala.... Druga powiastka: *Nestor Pisanka*, ponieważ podobna w treści do poprzedniéj, bo opowiada romans hajdamaki z panienką, a zatém czerpnięta z jednego zdroju, mniéj już interesuje.....

Kończąc jednak to sprawozdanie, miałbym chęć napomknąć cośkolwiek o potrzebie unikania przesady w unoszeniu się nad życiem i naturą gminu z uszczerbkiem klasy ucywilizowanéj, którą raz tylko pokazał nam autor na jarmarku w Medwedówce, a to obok obrazka wziętego z Osnowianeńki, który porywa swoim humorem przedstawiając rozhulanego Szponia, co z roskoszy wskakuje w beczkę smoły — otóż obok tego arcydzieła fantazyi Ukraińskiéj, postawił Padalica rozmowę kilku

szlachty. Wiemy przecież że rozmaity może być przedmiot rozmowy, i zajmujący, i nudny, i rozumny, i głupi... téj treści rozmowy bywają nawet w Paryżu.... ale nie godzi się włożyć stek głupstw oklepanych w usta szlachty tamtejszéj, dla tego aby uroczéj odbijały poetyczne legendy ludu.... Że to rys chybiony, dowód łatwy — bo nikt nie wierzy aby szlachta ukraińska nie mogła i nie umiała lepiéj mówić, jak tym karczemnym językiem popowiczów.

Również znalazłem nie dość trafnie i w duchu kościoła wyrażoną myśl Padalicy co do zakładania klasztorów. Ujmuje się on niby za klasztorami przeciw owym co na Zachodzie usiłują dowieść ich niepotrzebność. A dowód swój popiera tém, że „człowiek skołatany, bez nadziei i szczęścia na tym padole płaczu, niemiałby nawet ustronia gdzieby się mógł schronić, i odświeżyć w rozmyślaniach samotnych ścieżkę duchowego żywota i zbliżyć się do Stwórcy.“ — Zdaje mi się że to tylko połowa rzeczy i to mniejsza, bo większą połową, a właściwie celem klasztorów było poświęcenie się ludzi niekoniecznie złamanych i startych przez świat i nieszczęścia, ale świeżych czuciem i umysłem, na służbę i chwalenie Boga. — Rzecz pewna, że ta myśl oddania żywota Bogu na chwałę, jak to i dziś jeszcze trafia się, gdy nieraz młode osoby najszczęśliwsze w życiu, zamykają się w klasztorze — niełatwo mieści się w nowożytnych rozumach, czemu dziwić się nie można, kiedy i sam Napoleon, który wszystko na świecie rozumiał — był zupełnie ciemnym w téj kwestyi, jak przekonywa rozmowa jego z przeorem Karmelitów w Głębokiem na Litwie:

— Czy bogaty wasz konwent? — zapytał Cesarz.

— Mamy do tysiąca dymów — odparł przeor.

— *C'est trop* — a czemże się zatrudniacie? —

— Boga chwalimy.

— *C'est peu....*

Odpowiedź na pierwsze mogła być sprawiedliwą — na drugie tylko dowcipną...... — Jakkolwiek niezupełnie zgadzam się w niektórych rzeczach z autorem Podróży, mimo tego z niecierpliwością wyglądam dalszych tomów przynoszących ze sobą tchnienie stepowe i woń ukraińskich sadów...

Lucyan Siemieński.

# INTERESA EUROPEJSKIE

## I PRAWO MOCNIEJSZEGO.

---

Europa życzy sobie pokoju. Dowodzić tego nie potrzeba: dość spojrzeć na to co się dzieje, na kierunek opinii publicznéj, na ruch w świecie finansowym i przemysłowym, na sposób oceniania spraw politycznych bieżących przez wszystkie warstwy społeczeństwa — z małym bardzo wyjątkiem. Zaledwie ukaże się jakowa kwestya na widnokręgu politycznym, natychmiast powstaje pytanie: czy tylko pokój przez nią lub przez jéj następstwa naruszonym nie będzie?... Oto pytanie powszechne, ale też i jedyne. Odpowiedzi na nie zajmują wyłącznie umysły, poruszają giełdy, miarkują przedsiębiorstwa, zgoła, stają się barometrem dla wszystkich interesów, nietylko publicznych, ogólnych, znaczniejszych, ale nawet dla prywatnych, szczególnych, najdrobniejszych. Obok tego pytania wszystko reszta jest obojętne: strona polityczna kwestyi pozostawia się dyplomacyi, strona zaś prawna marzycielom i dziennikom.

Nikt nie dba, nikt się nawet nie pyta: przy kim zostaną ostatecznie wyspy Wężowe, lub kto się utrzyma przy Bołgradzie? Mniejsza o to, czy Turcya czy Rosya, byle tylko ktoś ustąpił, i spór był usunięty... Komuż o to idzie, czy księstwa Naddunajskie połączą się w jedną całość, lub czy pozostaną nadal tak jak są dzisiaj? Mniejsza o to, czy Turcya ma jedynie prawo zwierzchnicze *lenności*, czy prawo zwierzchnicze *poddaństwa*; czy Księstwa mają prawo domagać się połączenia; mniejsza nawet o to, komu dogadza taki obrót téj sprawy, a komu ten obrót nie dogadza — byle tylko sprawa co prędzéj rozsądzona, przestała być kością niezgody... Któż się troszczy, ażali Czarnogórę w jéj żądaniach, zaspokoją, lub jaki los czeka Słowian pod berłem Ottomańskiém zostających? Niema dziś Słowianofilów, tak jak niema już Filhellenów, coby żądali ewakuacyi Peloponezu przez wojska sprzymierzone. Niechby okręty francuzkie i angielskie wiecznie stały w porcie Pirejskim, jeżeli w tem leży najmniejsza choćby rękojmia trwałéj spokojności na Wschodzie. Niepodległość państwa Greckiego, to dla pokoju europejskiego bardzo podrzędna sprawa...

Co większa, niema już politycznych filantropów, negrofilów. Cała kwestya amerykańska ogranicza się na wyborze prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mniejsza o to, kto będzie wybrany, czy Fillemore czy Fremont, jak również mniejsza o to, czy stronnictwo obstające za niewolą, lub stronnictwo jéj przeciwne weźmie górę w Nowym Świecie — byle tylko wybór padł na człowieka, któregoby sposób myślenia, opinie, a szczególniéj rządy, jak najmniéj przedstawiały trudności i zawikłań w stosunkach ze Starym Światem, wzdychającym za utrwaleniem pokoju.... Pięknieby to zapewnie było dla ludzkości, gdyby nie było korsarzy morskich, gdyby Ameryka zgodzić się chciała na ową humanitarną zasadę,

ogłoszoną na kongresie paryskim, a znoszącą na przyszłość rabusiostwo morskie ulegalizowane! Ale zresztą niechby sobie Amerykanie i zachowali prawo wydawania listów korsarskich — aby tylko do wojny morskiéj nie przyszło...

Rozumowaniom takim nie można praktycznéj loiki odmówić. Lecz z latarnią Diogenesa szukaćby dziś podobno wypadało po Europie człowieka biorącego udział w ogólnym ruchu społecznym, coby się jak to mówią, zapalał w jakowéj kwestyi politycznéj przez wzgląd na zasady. Zasady polityczne dawniejsze przestały być podstawami rządów społeczeństwa — stały się narzędziem. Idea państwa pochłonąwszy je w swym ogromie, używa ich teraz dowolnie; są one dla niéj środkiem — nigdy celem. To też forma rządu jest tu rzeczą całkiem obojętną. Czy w Hiszpanii będzie konstytucya lub nie; czy będzie konstytucya z roku 1837 lub 1845, czy też inna całkiem nowa, oktrojowana — kogóż to obchodzi?... Niechaj u steru rządu będzie O'Donnell lub Narvaez, mniejsza o to, byle Hiszpania zastósowała się do wymagań dzisiejszego systematu politycznego; byle weszła w skład państw; byle niewywołała zbrojnéj interwencyi, a w końcu nie stała się powodem do wojny... Kogóż to obchodzi, czy król Pruski utrzyma się przy swych prawach do kantonu Neufchatelskiego — byle się utrzymał przy nich bez zerwania stosunków ze Związkiem Szwajcarskim, bez europejskiego z téj strony wstrząśnienia... A nawet niechaj król Neapolitański da jakąkolwiek amnestyę lub jéj całkiem odmówi, niechaj przeprowadza reformy sądowe lub téż żadnéj nie czyni zmiany— byłe zapowiedziane lub dokonane demonstracye nie wywołały następstw, któreby pokój zakłócić mogły... Bo wreszcie, mało komu chodzi o prawo interwencyi, lub nieinterwencyi, lecz wszystkim chodzi o utrzymanie pokoju.

Pomimo wszelkich polemik dziennikarskich, najściślejszych rozumowań, historycznych lub społecznych dowodzeń; pomimo przytaczanych argumentów z traktatów lub teoryj z prawa publicznego; pomimo Grocyuszów i Puffendorffów — taki jest rzeczywisty prąd opinii publicznéj, z małemi jak powyżéj zastrzeżono wyjątkami. Prąd ten jest ogólny, objawia się wszędzie, po części nawet tam, gdzie kwestye są w toku, to jest na teatrach sporu. Obrót jaki bierze sprawa, jest prawie wszędzie obojętny; ostateczny tylko wypadek zajmuje, i to jako działacz wywierający wpływ na ogólną politykę europejską, czyli na kwestyę pokoju. Każda sprawa pojedynczo wzięta i wszystkie razem, przypuściwszy że zerwać one pokoju nie zdołają, mniéj są dla opinii dotkliwe, cokolwiekby zresztą się stało, aniżeli sama jedna kryzys obecna we Francyi. Prawdziwa to skazówka dla bezstronnego dostrzegacza.

Kierunek ten umysłów, jest koniecznem następstwem dzisiejszéj formy społeczeństwa, owéj kolei po któréj postępuje, dążności w jakich się rozwija, sfery która jeszcze została dla działania przystępną; jest on odpowiedni systematowi politycznemu jaki się na idei państwa wyrobił. Im głębiéj systemat ten przenika społeczeństwo, im bardziéj wciela się w jego żywioły i na jedną ogólną przekształca je modłę, zacierając dawne tradycye i różnice, kosmopolityzując zwyczaje i pojęcia, naginając je w jednym kierunku i wpierając do jednego ruchu — tem więcéj z jednéj strony obojętnić musi społeczeństwo, tem silniéj z drugiéj życzyć sobie musi pokoju. Gorące to życzenie w obecnym stanie społeczeństwa przeradza się już w żądanie; będzie ono wkrótce potrzebą społeczną; a w końcu koniecznością stać by się musiało, gdyby rozumem wskazane następstwa były przeznaczeniem świata, a spełnienie obrachowań zadaniem ludzkości.

Atoli wie o tem każdy, że mylą najdokładniejsze rachuby zawodzą najbystrzejsze przewidzenia, niedopisuje rozum i doświadczenie, kiedy idzie o koléj jaką postępują polityczne wypadki. O téj ktoś wyżéj ostatecznie rozstrzyga. Opinia publiczna ma jeszcze w świeżéj pamięci, że w chwili zawiązania się sporu rosyjsko-tureckiego, nikt prawie nie przypuszczał wojny i co większa nikt jéj nie chciał. Chybiły wszakże wszelkie kombinacye, usiłowania daremnemi się okazały. Wojna wybuchła i trwała dwa lata wbrew woli rządów, w brew dążeń spółeczności europejskiéj.

Ztąd też ciągła obawa zerwania pokoju towarzyszy owemu gorącemu życzeniu jak największéj jego trwałości. Obawa ta może wyraźniejsza w obecnéj chwili, niż przed wojną wschodnią; bo też i potrzeba pokoju nierównie jest większa. W miarę potrzeby rośnie żądanie, to zasada nieochybna tak w sferze ekonomicznéj jako i politycznéj. Tu one obie mocno z sobą spojone. Systemat polityczny rozwinął się na kongresie paryskim przez przyjęcie zasady solidarności państw europejskich, utrudnił wybuchnięcie wojny, ale też w równéj mierze postąpiła spółeczność europejska na drodze spekulacyjno-przemysłowéj. Może nawet poszła za rączo, i zaszła daléj aniżeli na to systemat pozwalał, a przynajmniéj daléj, aniżeli w téj chwili mógł swą opiekę nad nią rozciągnąć. Ruch spółeczny ku przedsiębiorstwom i spekulacyom najśmielszym skierowany, niemałą zdaje się być trudnością dla dyplomacyi w załatwieniu spraw bieżących. Wywołując rezultata niespodziewane, kryzysy, jeżeli nie wiąże rąk zupełnie gabinetom, to przynajmniéj sprawia ciągłe wahania i zwłoki. Wszystko też zostaje w zawieszeniu.

Owe zwłoki, przerwy w działaniu pośród nieustannych negocyowań, konieczne dla dyplomacyi, która przecież nie może całkiem spuścić z oka maksymy *respice finem*, wskazane zresztą naprzód traktatem paryzkim który stanowczo i ostatecznie żadnéj nierozwiązał

kwestyi — lubo niepokoją cokolwiek umysły, bywają wszelako prawie zawsze z pewném zadowoleniem przyjmowane przez opinię publiczną. W każdéj takiéj zwłoce upatruje ona nietylko przedłużenie pokoju, ale niejaką rękojmię utrzymania go nadal. Przysłowie mówi, że co się odwlecze to nie uciecze. Opinia przeciwnego jednak jest zdania, a w polityce doświadczenie za nią przemawia. Z szczególnym też instynktem tuli się ona pod skrzydła owego systematu solidarności, przeczuwając bardzo trafnie, że naturalnem jego następstwem jest utrudnienie wybuchu wojny. Każdą, choćby najdrobniejszą, najmniejszéj wagi sprawę, rozciąga na warsztacie tego systematu. Kwestya przybiera ogromne rozmiary i rośnie aż do wielkości interesu europejskiego. Wtedy opinia publiczna nie widzi już innego dla téj sprawy rozwiązania oprócz kongresu: stawia ją przed kratki najwyższego europejskiego trybunału. Nie zważa bynajmniéj na to, że w takiem postępowaniu znikają już nietylko narodowości, bo o tych mowy niema, ale znikają nawet państwa, to jest ich istota: zwierzchnictwo najwyższe i niepodległość. Cieszy się tylko, że tym sposobem Europa cała stanowi jedno państwo, które samo sobie wojny wydać nie może — a zatem pokój... Daléj idąc tym torem, opinia baczy pilnie i troskliwie oblicza wszelkie symptomata tyczące się przymierzy istniejących: nie dla tego aby jéj na zachowaniu ich wiele zależało, lecz że widzi w nich sposoby oddalenia i utrudnienia wszelkiego prawdopodobieństwa wojny. Przyjęłaby z chęcią inne, gdyby się tylko przekonać mogła, że będą one korzystniejszemi dla cywilizacyjnych dążności, które według niéj, od utrzymania pokoju zawisły.... W bieżących sprawach, opinia chwyta z wielką skwapliwością wszelkie oznaki owéj solidarności politycznéj, mniéj o to dbając, czyli wmięszanie się wielu mocarstw w spór jaki jest uproszczeniem lub nowem

zawikłaniem — albowiem spór sam i jego rozwiązanie nie obchodzi jéj bynajmniéj, ale pyta się tylko: czy nadal używać będzie pokoju?.... A pytanie to tem drażliwsze, że opinia wyniosłszy każdą sprawę do godności interesu europejskiego, czuje aż nadto dobrze, iż w razie gdyby się z téj sprawy wojna wywiązała, takowa musiałaby mieć tę samą cechę: byłaby wojną europejską. Owóż odwrotna strona systematu — który jak każda rzecz, musi mieć dwie strony.

Łatwo pojąć, że przy takiem usposobieniu pokojowem, okólnik księcia Gorczakowa niemiłe musiał sprawić wrażenie w opinii publicznéj. I znowu powiedzieć można: mniejsza o to, że okólnik ten do ajentów rosyjskich tylko był wystósowany, i nie miał, jak utrzymują, oglądać światła dziennego', czyli kolumn dziennikarskich — lubo uwierzyć trudno, aby tajemnica dyplomatyczna tak w samą porę naruszoną została, publikacya bowiem tego dokumentu wypadła równocześnie prawie, kiedy demonstracyę zbrojną przeciw Neapolowi jako bliską i pewną głoszono.... Mniejsza o to, że styl okólnika różni się od stylu zwykłego nót dyplomatycznych i nierównie energiczniéj się wyraża — rzecz to kancelaryi petersburskiéj.... Mniejsza o to, że okólnik nie może opierać swych rozumowań na historyi rosyjskiéj, na jéj polityce dawniejszéj i najświeższéj; że nowy całkiem kierunek polityczny wskazany w tym akcie, jeżeli się zgadza z tradycyą samowładców Rosyi co do niezależności najwyższego zwierzchnika w państwie, to znów nie zgadza się wcale co do zasad interwencyjnych z polityką Piotra Wielkiego, Katarzyny II i cesarza Mikołaja... Mniejsza nawet i o to, że okólnik rozesłany z Moskwy, w chwili właśnie, gdy reprezentanci systematu solidarności politycznéj państw, przesadzali się w przepychu na uroczystościach koronacyjnych, — w chwili, gdy szli o lepsze który z nich świetniéj się przyłoży do

inauguracyi nowego z Rosyą pokoju.... Ale co ważna, to że okólnik w zastósowaniu prawa interwencyi na mocy systematu solidarności upatruje tryumf prawa mocniejszego i przeciw takowemu protestuje, protestacyę zaś swoją popiera wzmianką o rozporządzeniu materyalnemi siłami państwa.

Nie idzie zatem, aby Rosya wojnę z powodu Grecyi lub Neapolu wydawać miała, ani się też opinia publiczna w Europie wojny z Rosyą w téj chwili nie ulękła. Wojna wschodnia nie dość jeszcze odległa — dzień 16 stycznia, w którym Rosya propozycye mocarstw sprzymierzonych przyjęła za bliski. Lecz wywołanie prawa mocniejszego, prawa którego wykonanie zawsze niemal dotąd wojnę za sobą pociągało; ukazanie go w dzisiejszym systemacie w tem samem świetle co dawniéj, ni mniéj ni więcéj jak zawsze bywało, a to pomimo traktatów i kongresów, pomimo wszelkich cywilizacyjnych dążności i postępów; — ukazanie prawa mocniejszego po traktacie paryskim, i ukazanie go takiem jakiem było na końcu zeszłego i na początku teraźniejszego wieku, — w innéj formie pod innem hasłem i pozorem, ale bez zmiany co do istoty to jest co do przymusu słabszego przez mocniejszego za pomocą siły; — zgoła zaprzeczenie zasady, aby państwa europejskie nawet solidarnie miały prawo narzucać wolę swoją jednemu, kiedy chodzi o niepodległość i godność władzy zwierzchniczéj, a każdy spór o takowe potrącić musi, wstrząsało zawsze budowę systematu politycznego, około którego garnęły się nadzieje pokojowe. Okólnik księcia Gorczakowa dawał do zrozumienia, że Rosya nie uznaje aby „interes europejski“ miał być w prawie publicznem najwyższą ustawą: *suprema lex esto.* Minister rosyjski sprowadzał politykę państw w pewnym względzie do zasad dawnéj polityki narodów, stosując to co

niegdyś mówiło się o narodach, do naczelnych zwierzchników państw. Czyni on ich jedynymi i najwyższymi sędziami interesów państwa i wszystkim, najmocniejszym jako i najsłabszym, równe w téj mierze przyznaje prawo od Boga idące. Gwałt temu prawu zadanym być może według niego chyba tylko na zasadzie prawa mocniejszego, i zawsze jest gwałtem, czy się go dopuści jedno państwo, czy też trybunał z kilku państw złożony.

Lubo idea państwa przerabiała się w systemat polityczny głównie na podstawie prawa mocniejszego, i to od czasów Reformacyi czyli od traktatu westfalskiego, jak to już dawniéj i obszernie na tem samem miejscu wykazanem było, to przecież prawo to, jako w teoryi przeciwne cywilizacyi, coraz więcéj w aktach politycznych wychodziło z użycia. Cywilizacya uzyskawszy obywatelstwo w prawie publicznem, niepozwalała się na to prawo odwoływać, potępiając je jako zabytek barbarzyństwa i czasów średniowiecznych. Wszakże, gdy prawo to ciągle istniało, a istniało tak dalece, że nawet najczęściéj i najotwarciej w imieniu właśnie tejże saméj cywilizacyi wykonywanem bywało — okazała się potrzeba w aktach politycznych, dyplomatycznych notach, w traktatach, nadania mu innego miana zgodniejszego z ideą państwa i z nowym kształtem jaki przybierała społeczność europejska, czyli zgodniejszego z tak zwanym duchem wicku i postępu.

Przyznać należy, że publicystyka europejska wielką pod tym względem oddała dyplomacyi przysługę. Nie sięgając zbyt daleko, pomijając koniec zeszłego stulecia i epokę napoleońską gdzie armaty większą grały rolę niż noty dyplomatyczne i rozprawy gazeciarskie, ukazuje się zaraz po traktacie wiedeńskim gdzie systemat państw wybitniéj się przedstawił, wyrażenie bardzo często używane: „interes państwa dobrze zrozumiany.“ Nic słuszniejszego nad to, że publicyści pisali nie „o pra-

wach" ale „o interesach," bo rzeczywiście z upadkiem polityki narodów interes zwykle zastępywał prawo. Ależ „dobrze zrozumiany interes" był zawsze płaszczykiem pod którym ukrywała się groźba prawa mocniejszego. Publicyści podając rady jakowemu zagranicznemu państwu w téj formie, powinni się byli domyślać, że jako rada bez żadnego od rządu poparcia nie ma ona żadnéj wartości,bo przecież każdy minister spraw zewnętrznych lepiéj rozumieć musi interes państwa aniżeli oni wszyscy razem. Niespostrzegli atoli zrazu doniosłości używanego wyrażenia; lecz wyrażenie było dogodne, nosiło cywilizacyjną barwę i przeszło też niebawem do nót gabinetowych.

Tu naturalnie nabrało innego znaczenia. Było dowodem „że interes państwa tego lub owego inaczéj jest rozumiany przez inne państwo" — że więc „pierwsze państwo źle swój własny interes rozumie" — w końcu zaś „że trzeba aby państwo to swój interes tak rozumiało jak tego życzy sobie, chce, lub wymaga tamto państwo". Upór prowadził do wojny — a szło o to kto mocniejszy. Słabszy ustępował, czyli „zrozumiał swój własny interes." W podobnego rodzaju sporach rozstrzygało tylko prawo mocniejszego. Król Holenderski „nie rozumiał dobrze interesu swego państwa" w roku 1833, i wojska francuskie stanęły pod Antwerpią. Sułtan Mahmud „nie rozumiał dobrze interesu Turcyi" w roku 1828, a feldmarszałek Dybicz przeszedł Bałkan i zajął Adryanopol. Dziś „dobrze zrozumiany własny interes" nakazywałby królowi Neapolitańskiemu ustąpić i uczynić to czego po nim państwa zachodnie oczekują... Ale dziś już wymaga tego ustąpienia po nim nie tylko „własny interes dobrze zrozumiany" ale „interes europejski."

Z rozwijającym się bowiem coraz bardziéj systematem politycznym państw w kierunku solidarności euro-

pejskiéj, i z wzrastającem coraz szybciéj kosmopolitycznem dążeniem społeczności na polu przemysłowém i spekulacyjném, „interes“ przybierał również cechę coraz ogólniejszą, powszechniejszą, stawał się „interesem europejskim.“ Każdą sprawę uważać zaczęto z tego stanowiska, jako odpowiedniego i systematowi politycznemu i dążnościom społeczeństwa. Jeżeli interes jest ważny, musi być europejski. Skoro wyrażenie to przeszło do not dyplomatycznych, a przeszło tak dalece, że za podstawę dzisiejszych czynności gabinetowych, za zasadę polityczną uważanem być może — zmieniła się nieco postać czyli forma w jakiéj się objawiało prawo mocniejszego, ale w gruncie pozostało to samo. Nie idzie już o to, aby państwo „zrozumiało dobrze swój własny interes“ w sporze jakowym, ale idzie o to aby punkt sporny uznany przezeń został za „interes europejski.“ Jeżeli go zaś za takowy uzna, przystać musi na stawione żądanie w imieniu takiego interesu, bo interes własny każdego państwa, nie może odłączać się od interesu ogółu, od interesu całéj Europy. Interes europejski, to wyrażenie kosmopolityzmu w systemacie państw. Chodzi więc tylko dziś „o uznanie,“ czyli o przyznanie téj cechy każdéj sprawie — skoro zaś to nastąpi, interes jak to mówią — skończony.

Wszakże, gdy właśnie cecha ta nie da się dotykalnie określić, ani bezsprzecznie oznaczyć; gdy różne w téj mierze mogą być zdania, nietylko pojedyncze ale gabinetowe; gdy żądania postawione lub wymagane ze strony jednego lub kilku nawet państw, jako dla interesu europejskiego niezbędne, konieczne, mogą się wydawać temu państwu, ktoremu są postawione, jako wcale niekonieczne a nawet interesowi europejskiemu przeciwne — przeto i tu zachodzi potrzeba sędziego a raczéj wykonawcy. Dekret sam bowiem niewystarczy,

trzeba egzekucyi, przymusu— tak więc rozstrzygnienie zostaje ostatecznie zawsze przy prawie mocniejszego. Królowie Grecki i Neapolitański nie są wcale tego zdania aby zajęcie Peloponezu przez wojska sprzymierzone, i reformy sądownicze w państwie Obojga Sycylii miały być interesami europejskiemi. Lecz mocarstwa zachodnie są tego zdania, i dla tego flaga francuzko-angielska powiewa ciągle w porcie Pirejskim, i zagraża ukazaniem się w zatoce neapolitańskiéj....

Rosya w wypadkach lat ostatnich najlepiéj doznała skutków ostatecznych zasady mieszczącéj się pod nazwą „interesów europejskich.“ Zdawało jej się „że interes Turcyi dobrze zrozumiany“ wymagał aby protektorat nad chrześcianami berłu Ottomańskiemu poddanemi, przez nią to jest przez Rosyę wyłącznie był wykonywany, do niéj wyłącznie należał i traktatem przyznany jéj został. Turcya przeciwnie, upatrywała w tem swoją zgubę. Obce mocarstwa wystąpiły na scenę sporu w imieniu cywilizacyi i interesów europejskich, których wnet ukazało się więcéj na Wschodzie, aniżeli z początku spór rosyjsko-turecki zawierał w sobie punktów. Żądano „uznania“ od Rosyi — a gdy go nieotrzymano, wybuchła wojna.

Po jednéj kampanii, Rosya na konferencyach wiedeńskich uznała i to z niemałą trudnością, że niepodległość Turcyi jako państwa jest interesem europejskim. W skutku czego zrzec się musiała wyłącznego protektoratu nad Księstwami Naddunajskiemi, w którego posiadaniu już była, tudzież protektoratu wyłącznego nad chrześcianami poddanemi Turcyi, o który jéj właśnie chodziło. Uznała, że protektorat wszystkich wielkich mocarstw nad Księstwami Naddunajskiemi i nad rajasami tureckiemi, były to interesa europejskie. Niemniéj jednak wojna ciągnęła się daléj, bo się wykazały

inne jeszcze interesa europejskie na których uznanie Rosya zgodzić się nie chciała.

Po drugiéj kampanii, Rosya uznała neutralność morza Czarnego jako interes europejski; w skutek czego przystała na ograniczenie panowania swego na tych wodach i na usunięcie stanowcze swéj przeważnéj floty Czarnomorskiéj. Daléj uznała wolność żeglugi na Dunaju jako interes europejski, w skutek czego ustąpiła części Besarabii.

Każde uznanie „interesu europejskiego“ okupiła Rosya pewnem ustąpieniem praw już nabytych mniejsza o to jakim nabytych sposobem, lecz zawarowanych traktatami; każde zadość uczynienie żądaniu wymaganemu w imie takowego interesu opłacić musiała pewną ofiarą, która bądź co bądź szła na korzyść mocarstw sprzymierzonych. Jakkolwiek bowiem politykę tych ostatnich cechowała bezinteresowność, bo nie działały dla siebie ale dla całéj Europy, a kongres paryski nie mieścił w swojem gronie ani zwycięzców ani zwyciężonych i wszelkie ofiary za dobrowolne ustąpienia ogłaszał, zawsze jednak podstawą zawiązanych konferencyj było przyjęte przez Rosyę *ultimatum* po dwóch latach krwawéj, uporczywéj i kosztownéj wojny.

Nic przeto dziwnego, jeżeli Rosya doświadczywszy praktycznie skutków zasady „interesów europejskich,“ i przekonawszy się na jakiem one koniec końców opierają się prawie, nawet w systemacie solidarności państw, jeżeli Rosya, zwraca uwagę swych zagranicznych ajentów na tę stronę systematu, z powodu bieżących spraw, i z pewną drażliwością a niezwykłą otwartością wypowiada swój sposób widzenia. Dziwniejszą atoli rzeczą, jeżeli tylko prawda, że Rosya z powodu sprawy neapolitańskiéj do nowego zachęca kongresu. Chyba że ma nadzieję ukończenia na téj drodze z korzyścią dla siebie niektórych spraw w zawieszeniu będących, lub też

zająć na nim pragnie nowe stanowisko w obec zasady „interesów europejskich.“ Tego domyślaćby się kazał okólnik z 2go września, jeżeli rzeczywiście ma on być programatem dalszéj polityki cesarza Aleksandra.

Lecz jakkolwiek niemiłe wrażenie w opinii sprawić musiała odezwa rosyjska, wystawiając na jaw słabszą stronę systematu politycznego na traktacie paryskim opartego, stronę zresztą w cywilizacyjne zwoje starannie uwitą, ale bardzo naturalną, jakby ułomność ciała ludzkiego w zręcznie przykrojonych sukniach ukrytą;— wrażenie to zawsze miarkowane było przekonaniem, że prawo mocniejszego trudniéj w wojnę przemienić się może, gdy dla wydania onéj potrzeba koniecznie zgody państw kilku. Spór wtedy dłużéj na drodze dyplomatycznéj pozostawać musi. Pokój przeto ma zawsze w systemacie solidarności niejaką rękojmię. Wypadki dopiero wskazać mogą, jak dalece forma, istotę rzeczy w stosunkach politycznych przy nowym systemacie zastąpić zdoła.

Maurycy Mann.

# KRONIKA.

**Kraków** w październiku.

Przez parę tygodni Kraków niezmiernie w tym miesiącu był ożywiony. Hotele przepełnione, w sklepach ścisk, na chodnikach uwijano się z trudnością, rogi ulic obwieszono różnojęzycznemi afiszami, a domy wielkiemi znakami kupieckiemi, płatami płócien, pstremi serwetami i chustkami, płaszczami i futrami; gwar i szwargotanie w całem mieście, na ulicach, w hotelach, oberżach, kawiarniach, knajpach: to czas jarmarku w Krakowie. Jarmark w Krakowie był tylko dopełnieniem przeobrażenia tego miasta; kto w niém od dziesięciu lat nie postał, tenby go już niepoznał wśród zwykłych okoliczności, a cóż dopiero w ciągu jarmarku. Zdaje się nawet, iż dla tem dokładniejszego przeobrażenia go, potrzebny był ów pożar który znaczną część jego w gruzy zamienił, aby na tém pogorzelisku powstało nowe miasto; bo kiedy mieszkańcy się zmienili, mury także nie powinny były pozostać te same. Zmiana ta Krakowa nie wypadła na szkodę jego jako miasta. Przybyło mu ludności, ruchu kupieckiego i rękodzielnego, świetności wystaw sklepowych, jaskrawości w strojach niewieścich, konsumpcyi cygar i piwa, słowem tego wszy-

stkego czego wymaga powierzchowność miasta europejskiego. Dawniéj Kraków był tylko zaściankiem — dziś (est już miastem. Zaściankowy jego charakter przeniósł się na przedmieścia, ale samo *City* potrzebuje tylko jeszcze gazowego światła, aby się piękność jego tem piękniéj wydała. Przedmieścia niedługo się ostoją w swoim stanie osowienia. Kleparz, dawniéj będący stekiem domów zajezdnych, błotnistą targowicą, po któréj tylko wysokie buty kapotowego mieszczanina i łapserdaki zaszarganego żyda stąpać się nie wzdragały, dziś opustoszał, zamarł i wyludnił się; bo właściwe pokolenie kleparskie musiało wymrzeć, rozwiać się po świecie, lub iść w dziady, aby przygotować wolne miejsce dla nowéj przyszłości. Krakowskie „City" już dziś za ciasne, musi część swych mieszkańców wyrzucić za obręb plantacyj, a pustkowie kleparskie oczekuje ich przybycia ofiarując im za bezcen walące się chaty swoje, by na ich miejscu wznieśli piętrowe kamienice. Podcienia na misternie rzezanych słupach wsparte, już więcéj nie istnieją, część ich zniszczył pożar, część wyprostowała się wedle przepisów budowniczych w bielejące ściany niedające przed słońcem i deszczem ochrony, reszta zaś pochylona starością, pozbawiona ozdób wykrawanych które odpadły, straciła cały swój charakter odmiennego porządku architektonicznego.

Przedmieście Piasek dawno już pozbawione właściwéj swojéj cechy, która go czyniła siedliskiem przemysłu garbarskiego, tak jak Kleparz był siedliskiem handlu zbożowego. Przodowa część Piasku patrzy już oddawna w miasto rzędem kamienic pod sznur wyciągniętych, a ulice jego które przed najazdami szwedzkiemi aż pod dwór łobzowski, dwór królewski, ciągnęły się, skurczone teraz, niebłyszczą już sieciami zasłanemi przeźroczystym złotawym klejem. Z okiennic jego raz po raz znikają znaki rozpiętych skór białych i kolorowych, a z cechów białoskórniczego, garbarskiego, kordybanowego, łaziebnego, piwowarskiego, krupniczego, itd. które zaludniły to przedmieście osiedlając się nad wodami Rudawy, pozostały dziś tylko ślady po części w formach dachów do suszenia skór i kleju przeznaczonych, po części w nazwach ulic: Garbary, Krupniki, pod Młynami itd.

Przedmieście Groble znikłe pod nowoczesną nazwą Nowy Świat, niema w sobie nic takiego, coby tę nazwę usprawiedliwiało.

Smoleńsko tak dziś jak i dawniéj siedziba największego ubóstwa, będzie zapewne ostatniem z kolei, do którego zajrzy cywilizacya. Ponieważ zaś cywilizacya niewyklucza ubóstwa, lecz owszem przez wzrost proletaryatu szeregi jego zwiększa, przeto Smoleńszczanie mogą śmiało wzrostu ludności swojéj spodziewać się.

Zwierzyniec stracił całą swoją ważność przystani wiślanéj, odkąd koléj żelazna zasila Kraków węglami, a handel zboża i płodów rolniczych do Warszawy i Gdańska bądź ustał zupełnie bądź zwrócił się na Wrocław i Szczecin. Niskie położenie tego przedmieścia nigdy tam nie znęci mieszkańców miasta, lecz za to Smoleńsk i Piasek mogłyby się z czasem pokryć willami, gdyby u nas powstała kiedy ta klasa mieszczańska, któraby umiała używać bogactw w handlu, przemyśle i rękodziełach nabytych, bez uciekania się zaraz do zmiany stanu swego.

Rybaki na Podzamczu, osada niedawna, przeniesiona z Zawiśla, gdzie dotąd ślad jéj w nazwie nadbrzeża pozostał, nie uległa najmniejszéj zmianie od swego tu przeniesienia się. Ale za Wisłą już nie znajdzie zamożnych niegdyś rybaków; część ich podupadła i w chałupy i zagrodniki poszła, część rozbiegła się po świecie oddając się flisactwu. Upadek téj osady datuje się od wielkiego wylewu 1813 r. który wtedy poobalał ich domostwa, poprzerywał groble wiślane i podmył brzegi, a te odtąd obsuwając się coraz dalej, zmieniły znacznie koryto Wisły, a natomiast Zwierzyniec i ujście staréj Wisły coraz bardziéj odsepami piasczystemi okrywać się zaczęły.

Na Stradomiu nastąpiło zetknięcie się dwóch żywiołów chrześcijańskiego i żydowskiego, a jako w punkcie zetknięcia się ich najzaciętsza wrzała długi czas walka, w któréj właściciele niewielu domów tego przedmieścia stanęli po stronie najezdników. Osiedlenie się żydów na Stradomin, było jedyną wyprawą w r. 1848, która się powiodła szczęśliwie, a zwycięzcy przy zdobyczy zostali. Na kongresie paryskim, gdzie nawet Neufchatel ma być zwrócony domowi Hohenzollern a Monaco domowi

Grimaldi, zdobycz ta Kazimierska pominiętą zapewne będzie milczeniem, by zawikłań europejskich jeszcze bardziéj nie plątać. *Fait acompli* najpiękniejszy tryumf tu swój obchodzi. Mniéj już szczęśliwymi byli żydzi poznańscy, gdyż przyjęcie ich do Rzeszy niemieckiéj cofniętem zostało.

Jak przed kilku laty ze Stradomiem, tak dawniéj stało się z Kazimierzem, który przyjął na łono swoje mieszkańców tak zwanego żydowskiego miasta i stał się sam przez to miastem żydowskiem. Ci co rządzili na ówczas Krakowem, niedoprowadzili równouprawnienia żydów aż do wolności nabywania przez nich domów w głównéj ulicy Kazimierskiéj, wykluczywszy ich od prawa posiadania w téj ulicy domów które najwięcéj właśnie przynosiły korzyści. Na innych ulicach dozwolono im wspaniałomyślnie budować się. Dziś miasto żydowskie stoi pustką, a stare mury Kazimierzowéj szkoły głównéj która tu pierwsze swoje miała w 14tym wieku siedlisko, obszarpane z tynku i smrodliwe, najuboższemu tylko żydowstwu dają przytułek. Ale już i żydzi dużo postąpili na drodze europejskiéj cywilizacyi, bo jeśli weźmiemy miarę z tego co pewien Anglik powiedział, iż każdy naród o tyle jest ucywilizowańszym, o ile więcéj spotrzebuje mydła; to bacząc na to, że coraz mniéj widać na Kazimierzu nieumytych żydziaków, wnosić należy że konsumcya mydła znacznie się tam zwiększyła, a zatem cywilizacya wzrosła. W ubiorach również widoczna zmiana. Lubo starzy żydzi noszą jeszcze długą odzież, młodsi co rok każą sobie ucinać poły, aż naraz niepostrzeżenie powstaje z żydowskiéj kapoty modny paletot. Skoro się oko z nim oswoi, paletot się rozpina z przodu i z pod niego błyszczy na atłasowéj kamizelce złoty łańcuch od zegarka, a z rękawa coraz szerszego wyścibia główkę złocista zapinka. I już przeobrażenie gotowe. Żydówkom łatwiejby jeszcze szło to przebranie, gdyby nie ów wschodni zabytek strzyżenia włosów, którego nie osłoni żadną sztuczną tkaniną, a moda wymagająca otwartego z pod kapelusza czoła utrudza właśnie to zaparcie się pochodzenia.

Tym sposobem Kazimierz przekroczywszy raz most na staréj Wiśle, sięga przez Stradom do Krakowa i już część plantacyj ku Nowéj Bramie w wyłączne prawie

zajął posiadanie. Tandeta pod Nową bramą, a ztamtąd przecznicc ku Szpitalnéj ulicy, którą niewłaściwie poświęcono na miejsce handlu starzyzny, są to jakby stacye etapowe, po których pociągnie kiedyś wielka wyprawa kazimierska do środka miasta.

Na jarmark przybyli oni tylko w gościnę na Rynek Krakowski, na wielki podziw tych którym się zdawało, że same Paryże i Londyny zjadą do Krakowa.

Jarmark przeminął — pozostało po nim tylko w mieście paręset jesiennych burych paletotów i tyleż szarych płaszczyków damskich, które jednéj barwy, jednego niemal kroju pojawiają się na ulicach. Niewiem zaprawdę co znaczy szara lub bura barwa w języku kolorów, lecz mile mi zawsze wpada w oko suknia szara, bura, lub popielata może dla tego, że jako nieoznaczone i przechodnie kolory nie wyrażają one nic stanowczego, nie udzielają noszącemu je jakiegoś oznaczonego charakteru, a przeto niedozwalają mieć uprzedzenia do osoby już z samego koloru sukni jéj. Zdaje się jakoby szara odzież była pewną oznaką zaniedbania. Odzież szara znalazła wielką liczbę zwolenniczek w mieście naszem, gdzie od niejakiego czasu zagnieżdżać się zaczynała taka pstrocizna ubiorów, iż po tem zmęczeniu wzroku rozrywanego między najróżnorodniejsze i niezgodne ze sobą barwy, oko dziś spokojnie spocząć może na téj łagodnéj barwie zmroku i wytchnąć jakby w cieniu szarej godziny. Na balu, na świetnem wystąpieniu, niechaj suknia odpowiada wewnętrznemu popędowi serca, wesołości lub uroczystości. Kolor jéj powinien wtedy oznajmiać usposobienie serca i umysłu, czy to naturalnie czy z umiejętnem ku temu nagięciem; lecz w chwilach powszednich szary kolor najlepiéj odpowiada przeznaczeniu, nie udziejając sukni żadnego znaczenia wybitnego. Kolor szary jest także kolorem jesieni i może dla tego teraz wśród jesieni tak mi się wydaje być zgodnym z niebem, powietrzem i popielatem błotem krakowskiem. Otóż na sukni szaréj nieznać plam od błota. Może to ten tylko powód, dla którego tyle szarych płaszczyków przesuwa się po zbłoconych chodnikach ulic krakowskich.

---

**Lwów** w październiku.

Chciałbym wam donieść nieco, przy dzisiejszéj ciszy powszechnéj, o naszych domowych, czyli raczéj miejscowych uroczystościach. Jakkolwiek nie zadziwiamy świata wielkiemi rzeczami, a może najmniéj w dziedzinie naukowéj, to na chęciach i usiłowaniach chwalebnych nam niebraknie, więc niech mi się godzi za spiewakiem rzymskim powtórzyć: *sint hic etiam sua praemia laudi.* Na początku miesiąca tego otworzono we Lwowie szkołę realną, składającą się z sześciu klas, tak zwanych trzech niższych realnych i trzech wyższych. Uroczystość otworzenia odbyła się w obecności JExcellencyi hr. Namiestnika i władz miejscowych, grona profesorów, licznéj publiczności i uczniów z różnych wydziałów naukowych. Po przemowie dość długiéj inspektora szkół, p. Linzbauera, w któréj tenże wyłożył obszernie w języku niemieckim cel i korzyści nauk realnych, odezwał się także burmistrz miasta p. Höpflingen składając dzięki Jego Excellencyi za podjęte starania około wzniesienia téj szkoły. Dzięki te JExc. Namiestnik w przemowie swojéj uchylił od siebie, przyznając w tém pierwszą zasługę miastu, które w główniejszych rzeczach do uposażenia téj szkoły przyczyniło się. JExc. Namiestnik odezwał się przy końcu swéj przemowy, do młodzieży w języku polskim, zagrzewając ją do nauk i do wdzięczności rządowi za podaną sposobność nową kształcenia się. Słowa JExcellencyi wnikały do serc i wywołały oklaski rzetelnych dobrych chęci. Oby tylko w tych chęciach młodzież nasza, tyle zdolności zawsze okazująca ostatecznie wytrwała! Ciekawą jest rzeczą słyszeć toczące się rozmowy tu i owdzie z powodu przeważających zapędów dzisiejszych ku naukom realnym, praktycznym, technicznym. Wielbiciele dawniejszego kierunku nauk wołają: „ukształcenie humanitarne coraz więcéj znikać będzie z koła społecznego; nauki podnoszące ducha i uszlachetniające serce ustępować będą w głąb sceny; ich miejsce zajmie zimna praktyka; powstanie pokolenie samolubnych utilitaryuszów, dla których pożytek jest jedynym celem, a giełda świątynią wiedzy i cywilizacyi wszelkiéj.“ Łatwo pojąć i wytłu-

maczyć takie głosy w obec dzisiejszéj europejskiéj pochopności ku materyalnym sprawom i śród atmosfery giełdowéj, która wnika coraz więcéj w wyższe i niższe społeczne warstwy. Posłuchajmy drugich.: „Swiat, mówią oni, dość nabłąkał się to po mrzonkach mitologicznych klasycyzmu, to po fantastycznych niwach romantyzmu, to po ciemnych manowcach abstrakcyjnéj niby wiedzy; i do czegóż doprowadził? Oto widzimy go bezradnym w potrzebach życia, które czas niesie, bo nie stał na gruncie rzeczywistości, patrząc myślą zawsze albo wstecz po za siebie, albo naprzód przed siebie, niepomny obecności, która mu każe żywić się chlebem powszednim.“ — I te głosy łatwo pojąć przy jednostronności dawnego kierunku nauk u nas. Na dwóch przeciwnych biegunach stoją więc zdania, jak zwykle w chwilach przechodowych. Jestto niby dalszy ciąg sprzeczek o to co nam spadnie z koleją żelazną: złe czy dobre. Tymczasem czas, gospodarz na swéj zagrodzie, zasiewa co zasiać trzeba, i on zapewne pogodzi zdania o kierunku wychowania publicznego, potwierdzając swoje odwieczne: *medium tenuere beati.*

Drugą uroczystością w naukowym świecie było posiedzenie w zakładzie naukowym imienia Ossolińskich, które odbywa się corocznie 13 października. Jego Excellencya hrabia Namiestnik, Jej Excel. hr. Namiestnikowa i J. Emin. ksiądz Arcybiskup Baraniecki, zaszczycili swoją obecnością tę uroczystość zakładu, na którą wiele osób z koła uczonych i liczna publiczność złożona z miłośników nauk i młodzieży szkolnéj przybyła. J.W. hrabia Kurator zakładu zagaił uroczystość pięknem wspomnieniem o zasługach ś. p. Ossolińskiego, i odczytał sprawozdanie coroczne z zarządu tegoż zakładu. W sprawozdaniu tém zestawiony teraźniejszy stan biblioteki i funduszów zakładowych ze stanem jéj pierwszych lat, nader korzystny we wielu względach okazał wypadek. Następnie dyrektor zakładu p. August Bielowski zdawał sprawę ze świeżo odbytéj podróży naukowéj i poszukiwań historycznych w bibliotekach berlińskiéj, drezdeńskiéj, mnichowskiéj i wiedeńskiéj. Sprawozdawca rozpoczął od uwagi nad szczupłą liczbą swojskich źródeł dziejowych, a oznaczywszy trafnie przyczyny tegoż, przeszedł do źródeł postronnych, w których,

co w podróży naukowéj odkryć zdarzyło się, tak we wzmiankach i objaśnieniach stósownych, jakoteż i w podobiznach przedłożył. Po nim odczytał kustosz biblioteki p. Karol Szajnocha rozprawę swoją: jak pojmować należy wzmiankę Marcina Galla o łaźni, którą Chrobry niektórym sprawiał, tudzież o przeciwném znaczeniu ztąd urosłego przysłowia, do czego snać kronikarz tenże dał powód, zapisując mylnie pojęte zdarzenie łaziebne. Pan Szajnocha opiéra swój wywód na indukcyi złożonéj z przykładów, które napotykamy w rycerstwie średnich wieków; odnosi on się także w tém do początków orderu łaziebnego, wnosząc z podobnych okoliczności, że owa łaźnia sprawiana przez Bolesława Chrobrego ma raczéj znaczyć zaszczyt poprzedzający pasowanie na rycerza. Nie tu miejsce ważyć argumenta mowcy; zostawiamy wszystkie *pro* i *contra* swobodnym pogadankom uczonych przy nadchodzących długich wieczorach jesiennych.

Kiedy już dziś o duchownym obroku mówić mi wypadło, dodam jeszcze słów kilka o tutejszym domu poprawy dla kobiet, zostającym obecnie pod wyłącznym zarządem Panien Miłosiernych obok kościoła św. Maryi Magdaleny. Słyszałem już nieraz o dobrém jego urządzeniu, a pochwały częste i ciekawość moja, poznać bliżéj system poprawczy, zachęciły mię odwiedzić to miejsce, gdzie pokuta z poprawą najbliżéj siebie, według zdań niektórych, staćby powinny. W istocie znalazłem urządzenie domu nader odpowiadające celowi, można powiedzieć z pomocą gospodarczą, jakiéj tylko postęp dzisiejszy dostarczyć może. W przyziemiu wewnętrzne domu gospodarstwo, kuchnia, pralnia, spiżarnia, magazyny, składy potrzeb domowych i t. d.. Za pomocą parowego ogrzania gotuje się jedzenie, pierze się i suszy bielizna; wszystko z widoczną oszczędnością pracy, czasu i miejsca. Dom jest obszerny o dwóch piętrach z wielkim dziedzińcem, z salą czyli długą galeryą, w któréj pokutnice pracują. Tuż obok nich tak zwane *kaźnie*, czyli raczéj komnaty widne dla spoczynku nocnego, i ciemne dla skazanych na osobną pokutę za niesforność i występki już w domu poprawy popełnione. Wszedłszy do galeryi przeznaczonéj do pracy, widzisz

dwieście pięćdziesiąt pokutnic, zatrudnionych przy stołach — niesłychać ani słowa gdziekolwiek wymówionego. Tu mówić nie wolno; więc wszystko milczy grobowém milczeniem. Nie małe to zadanie, zważając na liczbę i naturalny popęd towarzystwa. Jeden tylko, nader rzadko i z cicha odzywa się głos — wielebnéj siostry dozorującéj. Właśnie gdym miał odejść, była chwila kończącéj się dziennéj pracy. Zadzwoniono — wszystko pada na kolana, odprawia modły wieczorne i udaje się do komnat na spoczynek. Lecz nie o samym tylko porządku i wewnętrzném urządzeniu mówić chciałem. Więcéj jeszcze niż owe wzorowe urządzenie uderza tu kierunek pracy i porządek obok zachowania dla władzy uroku jéj należnego, bez użycia środków ostatecznych. Jest to położenie arcytrudne, i tylko sumienna dokładność w dozorze, i ścisła konsekwencya w postępowaniu z pokutnicami, potrafił wszystko w należytych utrzymać karbach. Mimo ca odziennéj pracy, kłopotu z żywiołami niesfornemi, mimo dawanych nauk, w głos czytanych ksiąg ku poprawie obyczajów, ku ulepszeniu woli i serca zmierzających, trzeba jeszcze w nocy odbywać straż po oświetlonych korytarzach, chodząc i słuchając, czy nie ma rozmów lub jakich zdrożności. Tę straż znowu odbywają siostry miłosierdzia, kosztem trudu a następnie i zdrowia. Był nawet i rokosz w pierwszych początkach objętego przez nie zarządu, rokosz grożący niebezpieczeństwem życia obecnéj nadzorczyni, którą tylko przytomność i takt pewien uratowały. Rzecz jasna, że nazajutrz władza wyższa zapobiegając podobnym wypadkom surowo ukarała występne, a na przyszłość umieszczono w pobliżu dziedzińca straż wojskową. Lecz ileż pracy i poświęceń! Zaprawdę, niegodzi się ubliżać zasługom znanéj Miss Nightingale, jak niegodzi się zaprzeczyć wielu osobistych poświęceń, które wszędzie gdzie szlachetne serce bije, powstać mogą; lecz to są osobiste i pojedyncze popędy szlachetne. Tylko pod strażą wiary katolickiéj (i to jest naszem przekonaniem) mogą być praktykowane poświęcenia podobne zbiorową siłą całego towarzystwa, które ożywione pobudkami wiary świętéj, pełni obowiązek poświęcenia przez nią włożony połączonemi

siłami. Słychać, że dom karny i poprawczy męzki ma być powierzony kierownictwu O. O. Franciszkanów.

---

**Wiedeń** w październiku.

Powierzchowność stolicy już zapowiada zbliżającą się zimę, pomimo że termometr wskazywał dotąd bez przerwy od 20 do 25° wyżéj zera. Jest to jesień, tutaj niepierwsza. Od lat kilku mieliśmy podobnych trzy czy cztery, ale tak piękném, pogodnéj i ciepłéj, jeszcze nie widziałem. Owóż i ruch po ulicach wśród dnia i wieczorami jest niesłychany. Co krok napotyka się znajoma jakaś postać pośród tego tłumu, w którym cudzoziemcy i przybyli z prowincyj przeważne zajmują miejsce. Damy szczególniéj przez ciekawość lub obowiązek gospodarski, zwijają się po sklepach. I w rzeczy saméj jest między niemi (mówię tu o sklepach) nie mała liczba takich, które drogą ciekawości lub pozornéj potrzeby, prowadzą do przesadzonych nawet wydatków. Pod tym względem Wiedeń zbliżać się zaczyna do Paryża. W ozdobach zewnętrznych, równie jak w rozkładzie i wystawie towarów, coraz więcéj artystycznéj widać symetryi, znajomości ludzi i zręczności. Kupiec wiedeński zrozumiał już, że przez oczy trafia się do duszy. Brakuje mu tylko jeszcze téj wprawy i téj biegłości jaką Paryż podniósł do stopnia sztuki lub nauki w urozmaiceniu, odświeżaniu, i że tak powiem w odnawianiu przez sam układ i uporządkowanie rzeczy, niekiedy zupełnie nawet wyszłych już z mody. Wiedeńczyk wystawia zwykle takie towary na pierwszéj linii, i sądzi, że dokazał arcy-sztuki pokrywając je wielkim złoconym napisem: „Etoffes fran*çais*“ — albo „angl*ais*“ — „Haute qualité.“ Po przypatrzeniu się z bliska, dostrzedz nie trudno, że nie tylko wyroby nie są świeże, ale że nie są ani francuskie ani angielskie, lubo oddać trzeba tę słuszność fabrykantom austryackim, że w niektórych śmiało z zagranicznemi iść już mogą w zapasy. Krążąc po tych sklepach, gdzie cały jeszcze dzień drzwi otwarte, patrząc na ubiory prawie letnie dam i mężczyzn po ulicach, na okna zasłonięte od słońca zielonemi jak

zwykle lub różowemi firankami, trudnoby powtarzam było, przypomnieć sobie, że jesteśmy w końcu października, a nie w czerwcu, gdyby wyglądająca tu i owdzie z powozu wilczura jakiegoś północnego wędrownika lub toczące się przy każdym prawie domu, stosy drzewa opałowego, nie ostrzegały, że po za temi uśmiechającemi się i niestety zwodliwemi wdziękami już dobrze podstarzałéj jesieni, idzie w trop często i tutaj nawet dokuczliwa i kapryśna zima.

Jaką będzie teraz trudno zgadnąć, patrząc przez szkło prześlicznych obrazów któremi otacza nas dotąd łaskawa jesień. Oprócz ruchu po ulicach, co za życie na wałach, na Glacis i na Praterze! Powozy które odpoczywały latem, już się ukazują na nowo, lubo rzadkie dotąd, w nowym stroju. Jest to jeszcze strona dosyć słaba wiedeńskiego smaku. W Paryżu i Londynie powóz jest oznaką jeżli nie godności, to majątku. W Wiedniu jest zaprzężonem mieszkaniem. Byle wygodny, byle w nim spać i na przypadek przekąsić było można, główném to jest obok przyjemności uniknienia pieszéj bieganiny przeznaczeniem powozu w oczach Wiedeńczyka. Wystawa, przepych, okazałość, są tak rzadkie pod tym, jak i pod wielu innemi względami. Najpierwsze arystokratyczne rodziny, widuję od lat kilku przez cały czas ich pobytu w stolicy, w tych samych koczach lub karetach niezmienionych bynajmniéj ani co do zaprzęgu ani co do służby, ubrania i t. d. Młodzi strojnisie zwijają się w lichych faetonach, karyolkach, zaprzężonych nieraz końmi, które na lędźwiach noszą niezatarte ślady swéj niegdyś wojskowéj służby. Miłośnicy jazdy ukazują się czasami na dobrych koniach angielskich. Najpiękniejsze są w stajniach cesarskich. Oficerowie poprzestają na koniach krajowych, między któremi galicyjskie i węgierskie, pierwsze zajmują miejsce. *Prater* od dni kilku jest jak zwykle polem tych popisów. Powozy zatrzymują się na drodze, lub idą jedne za drugiemi wolnym krokiem na zawołanie dam i dzieci przechadzających się najczęściéj pieszo. Inne pędzą cwałem aż do zakręgu i na powrót. Rzadko które posuwają wycieczkę aż do kawiarni nazwanéj *Lusthaus*. Przyczyną téj ostrożności, zdaje mi się być pył nieznośny, którym się trzeba przebijać puszczając się w te ustronia. A

wszakże woda Dunaju tuż pod ręką i nieledwie że wiadrami możnaby ją do skrapiania drogi sprowadzić. Paryżanie którzy po raz pierwszy widzą *Prater*, odchwalić się nie mogą tych upiększeń, któremi błyszczy teraz lasek Buloński, lecz wyznają, że przy pomocy sztuki i starań, Prater mógłby się stać pierwszym parkiem w Europie. Zdaje mi się, że to nie tak rychło nastąpi, i że długo jeszcze, jak dotąd jedyną jego ozdobą będą stóletnie drzewa, zakręty błękitne Dunaju i pyszne stada jeleni.

Patrząc pewnego dnia na cały ten obóz rozłożony pod szopą, w któréj zimą znajdują jelenie swój pokarm, zapytałem stojącego na boku dozorcę, dla czego przy tak pięknéj i ciepłéj pogodzie, zwierze to szuka już przygotowanego dla siebie na przykrzejsze czasy pożywienia. Odpowiedział mi, że jest to zwykle oznaką blizkich i tęgich przymrozków. Lecz na pytanie, czy z tego fenomenu, można co o zimie wnosić stanowczego, nie umiano dać mi objaśnienia.

Sądziłbym atoli z przygotowań, które robią przezorni gospodarze, i z podniesionéj ceny drzewa, że zima teraźniejsza będzie ostrą. W mieście da się ona uczuć mniej, lecz na przedmieściach, po domkach wyrobników, gdzie niedostatek jest prawie przyjacielem domowym, co za smutne widoki!

Pospieszam wszakże z pocieszającem zapewnieniem, że dobroczynność tak prywatna, jak publiczna, już zwracają w te strony swe pieczołowite oko. Oddać nawet w téj mierze sprawiedliwość trzeba ludności tutejszéj, że obmyślone i zastósowane środki do ulżenia cierpieniu bliźnich, rzadko kiedy chybiają swego chwalebnego celu. Zawód jawnego żebraka lub wstydliwego nędzarza, albo nieznany tu jeszcze albo małe bardzo zrobił dotąd postępy. Ci co mogą, wolą o tyle i jak mogą zarabiać na życie pracą, niż żyć z łaski lub jałmużny. Widzę zimą nawet na ulicach i przechadzkach publicznych kaleki i ślepych, którym rozrzewniająca dla serca i często bardzo przyjemna dla ucha muzyka, dostarcza co dzień, uczciwie i pracowicie zarobiony kawał chleba. Proszących o jałmużnę spotyka się rzadko, jakkolwiek w razach podobnych, policya zdaje się patrzyć przez szpary, lub zamykać zupełnie oczy.

Dziś mamy pierwsze przedstawienie p. Renza w Cyrku. Powiadają iż konie są tak piękne i jeszcze lepiéj wyrobione, jak te, któreśmy widzieli, a które padły w Warszawie. Kompania ma być również dobra. Ścisk będzie przez dni kilka nieznośny. Miejsca wszystkie z góry na tydzień wyprzedane.

Teatra żyją staremi sztukami, i dobre robią interesa, gdyż są pełne i zbywają publiczność małym kosztem. Opera wróciła do p. Andera po rozmaitych nadziejach i pogłoskach, które krążyły, że się nowym i nadzwyczajnym wzbogaci tenorem. P. Ander ma jeszcze głos dość czysty i silny, ale nieodpowiedni wszystkim wymagalnościom sceny. Wszakże chcąc niechcąc musi śpiewać co każą. P. Bock jest ciągle na pierwszém jako barytonu miejscu, pani Czyllag-Hermann daje się słyszeć rzadziéj: może dla tego że jest zamówioną na lat kilka, natomiast panie Liebhart i Tietjens śpiewają jak mogą w rozmaitych rolach. W tych dniach przybywa panna Taglioni i z nią nadzieja nowego baletu. Oczekujemy także pani Ristori, która zabawi dni parę w przejeździe do Pesztu.

---

**Poznań** w październiku.

Nasza kronika miejscowa, tak mało obfitą jest w wypadki, że nawet dwumiesięczny przeciąg czasu zaledwie cokolwiek ich dostarczy, by niemi choć krótki list zapełnić.

W ciągu września mieliśmy uroczyste przyjęcie Arcybiskupa, po powrocie jego z Granu i Częstochowy; pobyt Deotymy w Księstwie, a wreszcie egzamina po gimnazyach: oto jedyne wypadki ubiegłego miesiąca. Przyjęcie J. O. Arcypasterza, jak to wiecie z miejscowych dzienników, było bardzo świetnem; publiczność zamiejscowa tak świecka jak duchowna, nie wzięła w niem udziału, bo ordonatorowie nie budzili ogólnego zaufania, nie wiedziano, czy to były ku temu upoważnione osoby, ponieważ nie było żadnéj rocznicy kościelnéj, a wreszcie cały rozkład uroczystości, zupełnie cudzoziemską miał cechę; ale brak ten udziału w tym razie, nie

wyklucza bynajmniéj gotowości całéj archidyecezyi, okazania każdéj chwili swego uszanowania Głowie naszego kościoła. Twierdzą że jeden z ordonatorów uroczystości, zostaje kanonikiem, jesteśmy przekonani że to złośliwy wymysł.

Deotyma zwiedziła Gniezno, Kruszwicę, Trzemeszno, Poznań, ślady jéj przejażdżki ukazały się w drobnych poetycznych utworach, drukowanych w *Gazecie W. ks. Poznańskiego*, nie wątpimy że je dostrzeżem w poemacie, dla którego właśnie chciała zwiedzić wspomnione miejsca. Żałujemy, że była w porze kiedy Poznań pusty, mało ją też osób poznało, ale wszędzie serdecznie ją przyjęto, a dowodem tego, że zadowolnioną była, jest gorące pożegnanie z nad granicy przysłane, również w *Gazecie* zamieszczone.

Egzamina gimnazyalne, obfite w tym roku wydały owoce: jeszcze nigdy tyle młodzieży nie ukończyło z dobrym postępem nauk szkolnych; nadzieja ztąd, że się dużo ludzi wykształci w wszelkich zawodach, a co jeszcze więcéj pociesza, to że kościół z tego tak znacznie skorzysta; znaczna bowiem liczba wstępuje do seminaryum duchownego, które dziś w Poznaniu i Gnieźnie liczy z okładem 180 alumnów; jakże to cieszyć winno J. O. Arcypasterza, gdy sobie przypomni, że przed 10ciu laty ogólna ilość kleryków 30 do 40 wynosiła na tak wielką archidyecezyą.

W Poznaniu budują nowe gmachy dla obu gimnazyów, w Trzemesznie także, ale wszystkie gimnazya razem niewystarczą potrzebie; muszą przeto utrudniać wstęp podniesieniem opłaty szkolnéj i ograniczeniem liczby uczniów, co wiele rodziców w smutne stawia położenie niemożności dania dzieciom wyższego wykształcenia.

Ćwiczenia duchowne księży świeckich powtórzyły się dwukrotnie około Śgo Michała w Poznaniu, Gnieźnie, Gostyniu; dyrygowali je Ojcowie Jezuici; myślimy, że mało jest duchownych w archidyecezyi, którzyby w nich nie byli wzięli udziału już w tym roku. Wrzesień przyprowadził w domowe progi większą część naszéj podróżującéj publiczności, z wód, kąpiel, przejażdżek, a wreszcie w drugiéj swéj połowie szczególniéj, tak piękną nas trwającą dotąd obdarzył pogodą, żeśmy go

mile wspominać winni, a najwięcéj gospodarze, którym pogoda sprzyjała i do zasiewów jesiennych i do wszelkich innych robót i prac téj porze właściwych.

Z dniem 1go października, po raz pierwszy myśl ludzka od Wrocławia iskrą przybiegła do Poznania. W tym dniu bowiem otwarto telegraf, te dwa miasta a zarazem i Kraków z Poznaniem łączący; ale przy obecnéj kryzys finansowéj, niezawodnie cyfry, kursa giełdy, pierwszym były podróżnym na téj pierwszéj drodze, a bodaj czy i nadal najczęstszym niebędą, sądząc po ogólnym kierunku świata, tak industryalnym, tak materyalnym, że właśnie telegraf, jedyną jego duchową stroną być się zdaje.

Oczekujemy w tym miesiącu oświetlenia gazem Poznania, (chcielibyśmy znośniejszego bruku w dodatku), wreszcie otwarcia kolei wrocławsko poznańskiéj, po któréj już codzienne chodzą pociągi, lecz jéj dotąd nieoddano jeszcze nu usługi publiczności. Koléj ta łączy nas z Krakowem, z Warszawą; oby więc w tych kierunkach jak najżwawsze obudziła stosunki, bo zresztą, każda lokomotywa w kraj nasz wchodząca, to rydwan cywilizacyi zachodniéj, z którego nam tu w księstwie chorągiew złowróżbna powiewa, stając się niesłychaną siłą parcia z zachodu na wschód.

Sejm prowincyonalny 5go b. m. otwarty, nader mały budził interes z powodu nic nie znaczących przedmiotów obradom jego przedłożonych; z tego też pewnie powodu, wielu członków zwykle czynnych, nie zjechało; co jednak zawsze jest nagannem i ze szkodą dobra publicznego, bo nikomu niewolno w żadnym razie opuszczać stanowiska na jakie go okoliczności powołały. W kościele Ojców Dominikanów, odbyło się z równą jak lat dawnych uroczystością, i z równym napływem wiernych, nabożeństwo Różańcowe i w tym roku; przez dni kilka kazali i spowiadali Ojcowie Jezuici, tak że to nabożeństwo, od lat trzech stało się jakoby corocznie powtarzającą się missyą dla miasta Poznania.

Ochrona Sgo Józefa, połączona z Szwalnią sierot, pod zarządem Siόstr Miłosierdzia zostająca, rzeczywisty ideał i model ochron, przeniesioną została z walącego się domku, w którym dotąd była, do zdrowego, porządnego domu, na ten cel zakupionego, z funduszów kilku mo-

żniejszych Sióstr, co przed laty kilku do zakonu wstąpiły.

Dla Ochroniarek wiejskich temi czasy osobny nowicyat na wsi otworzonym został, i widocznie dziełu temu, o którem wam w styczniu wspomniałem, Bóg sprzyja, i szerokie rozwinięcie przeznacza.

W Zaniemyślu odbył się 2go tego miesiąca pogrzeb ś. p. Konstancyi z hr. Potockich hrabiny Raczyńskiéj, dokąd zwłoki jéj, z Francyi gdzie przed kilku laty umarła, sprowadzonemi zostały, i pochowanemi obok grobowca ś. p. jéj męża Edwarda hr. Raczyńskiego.

Interes jaki obudziło śród naszéj publiczności pismo Ojca Gagaryna o nawróceniu się Rosyi, którego dowodem rozbiory poważne pisma tego, i w waszym *Dodatku*, i w naszem peryodycznem piśmie, powinienby dowieść tym, którzy nas o indyferentyzm religijny posądzają, jak żywo kwestye kościelne nas obchodzą.

Obraz dagerotypowéj wierności jednego z największych bólów ludu naszego w powieści zamieszczonéj w zeszło-miesięcznym *Dodatku*, pod tytułem „Z blizka i z daleka,“ nadzwyczaj zajął i rozrzewnił publiczność tutejszą.

August Cieszkowski, po kilkoletniéj niebytności, wrócił do Księstwa.

---

**Berlin** w październiku.

Około otwartéj tu od początku września wystawy obrazów i dzieł rzeźbiarskich koncentruje się obecnie wielka część umysłowego zajęcia publiczności berlińskiéj. Mniemasz może szanowny Redaktorze, że w dwudziestu salach Akademii sztuk pięknych, w których się wystawa urządza, niemożna się przecisnąć przed natłokiem odwiedzających ją każdodziennie osób? Bardzobyś się mylił. Zdarza się to tylko w południowe godziny niedzielne, w których salony wystawy są miejscem schadzki cywilizowanéj i eleganckiéj publiczności, zbierającéj się więcéj dla przypatrzenia się sobie saméj, niż dziełom sztuki, do których wtedy rzeczywiście niemasz odpowiedniego przystępu. Obecna wystawa mieści w so-

bie mnóstwo portretów osób żyjących. Unieśmiertelniony śmiertelnik lub śmiertelna, przychodzą w dzień świąteczny podziwiać ideał swego ziemskiego stworzenia w gronie promieniejącéj wyrazem zadowolenia rodziny, i chwalić na głos przed otaczającą publicznością genialność malarza, fryzyera, krawca, jubilera, złotnika, który potrafił cały charakter, stan, godność, nawet wewnętrzne usposobienie osoby wlać z taką wytwornością wykończenia w każdy szczegół ubrania, w każdą ozdobę z złota i drogich kamieni, mianowicie w order przypięty na piersiach lub tabakierkę wysadzaną brylantami w ręku. Przysłuchującemu się spokojnie głośnemu objawieniu opinii przez publiczność niedzielną na wystawie, zdaje się, że ma samych znawców a przynajmniéj zagorzałych miłośników malarstwa przed sobą. Ale zajdź tylko na wystawę w dzień powszedni, nie będziesz wiedział, co się stało z owymi niedzielnymi znawcami i miłośnikami, zastaniesz wcale inną publiczność, przypatrującą się pilnie i długo, w bliższym i dalszym odstępie, każdemu znakomitszemu dziełu; a z tego i z miernéj ich liczby domyślisz się, że to są prawdziwi znawcy i miłośnicy.

Liczba ich, mianowicie pierwszych, nigdzie podobno nie jest zbyt wielka. Ale czyżby tak być miało i w Atenach nad Sprewą? gdzie tyle piszą o sztukach pięknych i tak się chwalą z ich pielęgnowania? gdzie od wieku mają akademią sztukom pięknym poświęconą? gdzie mają galeryą obrazów starych mistrzów, nie najpierwszą wprawdzie co do wartości i liczby arcydzieł, ale zawsze zbiór zupełny i historycznie wedle szkół, z wyraźnym celem kształcenia smaku i sądu, jak najdokładniéj uporządkowany, a oprócz niéj galeryą obrazów mistrzów bieżącego wieku w pałacu królewskim Bellevue, i znakomite galerye prywatne hr. Raczyńskiego, konsula Wagnera, kupca Ravenego i inne? gdzie nieustająca wystawa obrazów w litograficznym instytucie Sachsego daje poznać publiczności najlepsze prace żyjących mistrzów wszystkich krajów? gdzie istnieje od wielu lat towarzystwo sztuk pięknych, które stoi w związku z podobnemi towarzystwami całéj Europy a nawet i Ameryki, i stara się przedstawiać publiczności peryodycznie wszy-

stko to co w bieżącym czasie wychodzi znakomitego w dziedzinie malarstwa, rytownictwa, druku, rysunku? gdzie co kilkanaście, co kilkadziesiąt kroków napotkać można w znaczniejszych ulicach handel przedmiotów sztuki, i każda księgarnia jest zarazem składem wszelkiego rodzaju rycin i olejnych obrazów? gdzie od lat kilkunastu budują ogromne muzeum dla pomieszczenia zbiorów i wzorów sztuki wszystkich wieków, w którém sławny Kaulbach maluje freski? gdzie dla Campo santo przyszłéj katedry protestanckiéj, przerwanéj dziś w budowie swojéj, niemniéj sławny Cornelius rysuje znane po części światu kartony? gdzie istnieją liczne instytuta rytownictwa, nie mówię już na kamieniu lecz na miedzi, których prace, wychodzące np. z pracowni członka akademii prof. Mandla, równają się najsławniejszym angielskim i francuzkim? gdzie wreszcie liczą się na setki pracownie artystów malarstwa i rysunku — o daguerrotypistach i fotografach nie mówię — a każda piękniejsza samopas chodząca dziewczyna, gdy ją zaczepisz, powie ci z pewną dumą, zapewne dla uzacnienia osoby swojéj i upiększenia procederu o który ją może podejrzywasz — że jest modelem?

Wszystko to prawda. Znajdziesz w Berlinie tysiąc sposobności do estetycznego wykształcenia się; znajdziesz je może prędzéj i łatwiéj niż gdzieindziéj, bo tu każde muzeum, każda galerya, każdy gabinet jakichkolwiek wzorów lub osobliwości, urządzają się przedewszystkiem dla nauki. Nauka pierwszym i głównym jest celem w każdym podobnym zakładzie publicznym. Zaspokojenie ciekawości publicznéj jest rzeczą podrzędną. Gdzieindziéj można widzieć i więcéj i większe arcydzieła sztuki; ale uformować, wykształcić i wytrawić sąd swój w tym zakresie wiedzy ludzkiéj, nie łatwo znajdzie się do tego tyle i tak taniéj sposobności.

Wnieśćby ztąd należało, że gruntowne znawstwo w dziedzinie sztuki malarskiéj jest dość pospolitym przymiotem nawet pomiędzy tak zwaną wielką publicznością Berlina. Tak nie jest. W mieście, w którem pomiędzy sztukami pięknemi prym wiedzie muzyka, upodobanie w malarstwie i wytrawny sąd w niem mogą tylko być udziałem mniejszéj publiczności. Muzyka z natury swéj, lubo także powstaje z żywiołów wymagają-

cych bliższego nad niemi zastanowienia się, przystępniejszą jest dla słuchającego, bo uderza od razu całą jego istotę i w ogólnem subjektywnem czuciu znajduje dość pewną co do upodobania i sądu podstawę. Malarstwo zaś zajmuje nasamprzód refleksyą i stopniowo tylko prowadzi patrzącego do rozpoznania i pochwycenia w całéj harmonii tajników swojéj piękności. W muzyce każdy słuchacz mniema mieć bezpośrednie prawo do sądu; w malarstwie zastanowi się wprzód, nim go wyda, albo pójdzie za zdaniem znawcy. Każda nowa opera lub inne nieznane dzieło muzyczne ściąga tu zaraz na pierwsze przedstawienie i wykonanie wielką publiczność do teatru i sali koncertowéj. Odegranie takowego dzieła muzycznego staje się wypadkiem w mieście, przedmiotem powszechnéj rozmowy nietylko pomiędzy publicznością, która chodzi na pierwsze miejsca, ale i pomiędzy tą, która chodzi na ostatnie. Muzyka, jednem słowem, stała się tu własnością wszystkich klas towarzystwa, a teoretyczna i praktyczna znajomość jéj ustaliła o niéj pojęcie i smak, które rzadko stają w sprzeczności z wyższą estetyczną krytyką.

Przeciwnie się rzecz ma z malarstwem. Obecna wystawa obrazów w pierwszym dniu i tygodniu otwarcia była pusta. Pierwsi co pospieszyli odwiedzić ją w samym początku, byli to artyści wystawiający dzieła swoje, krytycy piszący o nich do dzienników i osoby mające szczególnie w sztuce téj upodobanie, wolące patrzeć na piękny obraz, niż słuchać opery. Wielka publiczność oczekiwała sądu krytyki, zanim zaczęła odwiedzać wystawę i popisywać się w towarzystwach z przyjętem zdaniem Mówiłem już w poprzedzającym liście o tem, jakie to trudności z samego względu na techniczną stronę malarstwa, mają przed sobą wszyscy, którzy, nienależąc do cechu, zabierają się do sądzenia mniemanych nieśmiertelnych utworów mistrzów i uczniów wpisanych do bractwa ś. Łukasza. Ta to techniczna strona sztuki malarskiéj, jak wszędzie gdzie malarstwo znajduje się jeszcze w poczęciu i szkołę dopiero przechodzi, tak i w Berlinie, gdzie więcéj ma pretensyi niż rzeczywistéj wartości, najdrażliwszym bywa punktem dla każdego malarza z profesyi, gdy się go właśnie zaczepi. Wielka część tych długowłosych,

na wzór Rafaela ubierających się wirtuozów pędzla, mniema istotnie, że malarstwo jest ich wyłącznym wydziałem, o którym gruntownie sądzić nikt inny nie jest w stanie, jak artysta z powołania. Zdaje im się niemal, że sztuka malarstwa istnieje tylko dla samych malarzy. Każdego, który pozwoli sobie objawić naganne zdanie o ich mniemanych arcydziełach, gotowiby zmusić do milczenia klasyczną odprawą starożytnego mistrza: ne sutor ultra crepidam. Ale wprzód trzeba być mistrzem, aby mieć prawo do dania takiéj odprawy; a potem klasyczny ten cytat nie przypada całkiem do stopnia rozpowszechnienia sztuk pięknych w naszych czasach, od świątyń i gmachów publicznych aż do prostych prywatnych mieszkań, a nawet mieszkania niejednego szewca; nie przypada i do stopnia rozlania się ich, mianowicie rzeźbiarstwa i malarstwa, nawet na wyroby rękodzielne i fabryczne.

Nie ulega wątpliwości, że malarz patrząc na obraz, więcéj w nim widzi, niż niejeden z ludzi zwyczajnych. Pochodzi to ztąd, że jako malarz zmuszony był obserwować naturę z większą uwagą i pilnością. Nie zależy to jednak bynajmniéj od znajomości techniki, bo inaczéj, każdy malarz byłby w stanie czuć i wydać najdelikatniejsze odcienia natury, co przecież tak nie jest. Obserwować może każdy, i jest to szczególny talent, który w bardzo różnym stopniu posiadać mogą równie profani jak artyści, pierwsi nawet w stopniu daleko wyższym niż drudzy, chociaż techniki nie znają. Jakże to często się zdarza, że profan zwróci uwagę malarza na szczegóły postaci, postawy, kolorytu, perspektywy, światłocienia, chociaż nie ucząc się ani rysować ani malować, oddać ich nie umie, jak nieumiał oddać ich z zupełną akuratnością i prawdą przestrzeżony artysta, mimo znajomości techniki, w któréj mniemał, że przyswoił sobie najskrytsze tajniki malarstwa. Co wykształconemu estetycznie profanowi pozostaje istotnie w sztuce malarskiéj tajemnicą, to sposób, jakim się ta technika, o któréj mowa, dokonywa, czyli innemi słowy, jak malarz prowadzi pędzel, jak nim nawodzi i nawodzić powinien kolory, aby przedmiot malowany przez niego przedstawił nam się w całem znaczeniu prawdy. Niekiedy prawda ta tak jest uderzającą, że zapominamy o o-

brazie, a pytamy , jakim sposobem malarz potrafił tak wiernie przekopiować naturę? Wiadomem jest w tym względzie współubieganie się o pierwszeństwo najsławniejszych malarzów dawnéj Grecyi, Zeuxisa i Parrhasiusa, z których pierwszy malował winogrona, do których się ptaki zlatywały, drugi płócienną zasłonę, która zwiodła samego Zeuxisa. Na to trzeba odpowiedzieć, najprzód, że malarstwo nie jest prostem naśladownictwem natury, i przywiedziony przykład z starożytnego świata nie daje nam zbyt wysokiego pojęcia o jego ówczesnem przeznaczeniu i udoskonaleniu; powtóre, że powyższe pytanie całkiem jest obojętne dla samego sądu o dziełach malarstwa, bo krytycznemu estetykowi nie chodzi bynajmniéj o to, jak obraz powstał, lecz jakim jest obraz sam?

Widzimy stąd, że odmawianie sądu o dziełach malarskich ludziom nieznającym praktycznie techniki, jest całkiem bezzasadném, a doświadczenie uczy, że pochodzi ono po największéj części od takich artystów, którzy lepiejby zrobili, gdyby technikę swą do malowania szyldów lub lakierowania butów ograniczyli. Gdy się nadto zastanowimy nad idealną stroną malarstwa, nad zadaniem jego estetycznem, nad pojęciem piękna, nad kompozycyą, to mocniéj się jeszcze przekonamy, że strona ta wewnętrzna mniéj jeszcze jak poprzednia uważaną być może za wyłączną dziedzinę malarzów z profesyi. Również i okazanie prawideł i oznaczenie granic każdéj sztuki pięknéj z osobna, niejest rzeczą samych tylko artystów, lecz w ogóle ludzi wykształconych, a w najczęstszych razach, jak historya sztuk pięknych uczy, rzeczą wszechstronnie i głęboko uczonych estetyków, co właśnie nie jest zbyt wydatną cechą wszelkiego rodzaju artystów i wirtuozów naszego czasu. To też wielcy filozofowie począwszy od Platona i Aristotelesa aż do Kanta, Schellinga i Hegla byli rzeczywistemi twórcami i prawodawcami nauki estetyki. Oni zaś równie jak najwięksi w nowszych czasach znawcy sztuki: Lessing, Winkelmann, Visconti i tylu innych, niebyli nigdy wykonywającymi artystami. Wielcy malarze wiedzą o tém bardzo dobrze; wiedzą i to, że wszystkie sztuki piękne stoją z sobą w ścisłym związku i powinowactwie, tak co do pojęcia i powołania swego, jak i co do prawideł

kompozycyi i wykonania, którym każda w swoim obrębie podlegać muszą. Opozycya przeciwko profanom poważającym się sądzić dzieła sztuki malarskiéj, wychodzi głównie, jak już powiedziałem, a diis minorum gentium, którzy wiedzą że ich popiersia nie będą stały w żadnéj Walhalli, ani przeglądać będą w freskach muzeów w Atenach nad Sprewą lub w Atenach nad Isarą.

Każda nowa wystawa obrazów w Berlinie poczyna się od takiej walki pędzla z piórem. Malarz i krytyk, to są dwa wrogi, którym trudno być razem w jednem towarzystwie. Wystawa teraźniejsza jest czterdziestą z porządku, a walka o której mówię, toczy się z większą niż w wszystkich latach poprzednich zaciętością. Już to samo dowodzi, że malarstwo berlińskie nie stanęło jeszcze na takim stopniu udoskonalenia, z któregoby mogło z spokojnością słuchać sądu krytyki w obec ukształconéj publiczności. Kto bowiem pewnym jest swego ten nie lęka się sądu. Próżne tylko i słabe duchy trwożą się przed objawem każdej śmielszej opinii. Postrzega się to równie w rzeczach sztuki, jak w wszystkich innych stosunkach i zawodach. Duch jest, który o wartości każdego położenia i dzieła ludzkiego wyrokuje. Znaném jest powszechnie zdanie Lessinga, który powiedział: że Rafael byłby największym malarzem, chociaż by się był bez rąk urodził. Jest to wprawdzie paradoks, bo bez rąk nikt nie zostanie malarzem, i niewidziano dotąd, aby kto zamiast rękami nogami malował, chociaż widziano takich co nogami szyli i pisali. Ale w zdaniu powyższém leży ta myśl głęboka, że to co malarza czyni prawdziwym mistrzem w swéj sztuce, nie mieści się głównie i jedynie w rękach, lecz przedewszystkiem w duchu. Duch zaś jest wspólną wszystkich ludzi własnością. Im więcej ukształcony, tem większe ma prawo mówić o wszystkiem co z ducha pochodzi, a więc i o dziełach sztuki malarskiéj.

Przeciwko tym, zdaniem mojém, dość pospolitym orzeczeniom, powstają, jak mówiłem, po największéj części tylko tuzinkowi wirtuozi pędzla, którzy widząc się zaszczyconymi przyjęciem malowanych płócien swoich na wystawę, największy mają w tem interes, aby z towarem swoim wyszli jako tako przed sądem publiczności.

sprzedali go jak można najkorzystniej, i nadto polecili firmę swoją dalszym kupujących względom. Z panami tymi, co do umysłowego wykształcenia, chociaż mieszkają w uczonym Berlinie, i wielu z nich było i w Paryżu i w Rzymie, pospolicie dość zaniedbanymi, łatwaby była dla krytyki sprawa. Lecz ten stan rzeczy zmienia się i przybiera daleko poważniejszą postać, gdy po stronie przypuszczonych na wystawę peckarzy stają mistrze zawołani, sędziwi wiekiem, i używający niemałej w kraju i za granicą reputacyi. Rzecz tak się ma.

Senat akademii sztuk pięknych, który się trudni urządzeniem wystaw obrazów w budynku swoim, wydaje przy tej okazyi z urzędu katalog wystawionych dzieł sztuki, z krótkiém podaniem treści każdego i z oznaczeniem ojczyzny artysty; na wstępie zaś zdaje sprawę z ważniejszych wypadków, zaszłych w akademii w przeciągu dwóch lat ostatnich, które przedzielają jednę wystawę od drugiej. Otóż w sprawozdaniu takiém, zamieszczoném przed tegorocznym katalogiem, akademia, dając szkic życia i dzieł zmarłego tu w zeszłym roku malarza Begasa, swego członka, w którym to szkicu dla geniuszu jego nie szczędzi największych pochwał, nazwała krytyków, którzy ostatnie, mianowicie religijne prace tego artysty dość ostro byli sądzili, „najemnymi pismakami, znajdującymi przyjemność w szarpaniu sławy wielkiego mistrza.“ Senat akademii, mówiący publicznie przez usta sprawozdawcy, nie mógł wyrzec nierozmyślniejszego słowa. Cały szereg krytyków zerwał się jak ukąszony na nogi, i uderzył z niezwykłą gwałtownością nie tylko na piszącego katalog członka, ale i na całe grono akademickie, odpowiedzialne za publiczny głos pierwszego. Przed innymi, redaktor tygodniowego literackiego pisma *Montagspost*, najzdolniejszy, lecz zarazem najzłośliwszy z tutejszych estetycznych krytyków p. Kossak, natarł na pisarza katalogu i jego akademickich kolegów, sposobem tak dotkliwym i w rzeczy i w osobach, że senat akademii uznał się być spowodowanym do zaniesienia przed prokuratorem królewskim skargi przeciw obrażającemu jego akademicki majestat krytykowi. Na przypadek, że prokurator znajdzie słuszny powód do skargi i sprawa dostanie się przed sąd, zarazem jako próbkę polemiki pióra przeciwko pędzlowi,

przytaczam tu w skróceniu główniejsze myśli zaskarżonego artykułu.

Autor jego powiada naprzód, że zna bardzo dobrze stopień zuchwałości, który mieć trzeba, gdy się kto zabiera mówić w materyi sztuki, bo pamięta, że przy dawniejszych razziach profana na terytoryum malarstwa, ściągnął był na siebie taką nienawiść dzisiejszych Tycyanów i Vandyków, że ciż, aby go zabić najęli sobie i uzbroili najśmielszych panegirystów, przed którymi go tylko tępość ich sztyletów, niezgrabność bandytów, i łaska nieba uratowały. W obec twierdzenia dzisiejszych malarzy, że kto nienależy do ich cechu, nie jest w stanie rozprawiać i sądzić w przedmiotach sztuki, przyznaje się autor, że przy całym swoim długoletnim entuzjazmie dla starych i nowych arcydzieł malarstwa, i mimo zbogacenia wyobraźni swojej przeglądaniem pierwszych galeryi obrazów w Niemczech, w Francyi, w Włoszech, oraz najpilniejszego rozważenia różnych metod malarskiéj techniki, talent jego własny w użyciu związanych włosów i szczeciny pozostał na tym samym stopniu, na którym stał, gdy go dwunastoletniego chłopca stary profesor rysunku zabić chciał kluczem od domu, ponieważ, mając od niego rozkaz odrysowania jakiegoś przedmiotu wedle natury, wybrał sobie do tego naczynie, które konwencyonalność dzisiejszych ludzi usuwa z widoku dziennego. Nie rozbiera, jaką truciznę konflikt ten bardzo wczesny pomiędzy starym profesorem rysunku i malarstwa a nierozwiniętym jeszcze przyszłym dziennikarzem, mógł wlać do jego duszy. Ale to czuje, że ma instynktowy wstręt przeciw starym akademikom i ich dziwacznym obrazom, i że uczucie to prawie równie jest gwałtowne i niepowstrzymane, jak owa historyczna odraza starych profesorów malarstwa i rzeźbiarstwa od ludzi, którzy pozwalają sobie w dziennikach pociągać ich do odpowiedzialności za tyle poniszczonego płótna, za tyle uszkaradzonych murów publicznych gmachów. Przechodzi potem krytyk do pisarza katalogu, i powiada, że do niego zastósowaćby można to co filolog Fryderyk August Wolf powiedział o starym Hircie: jako ten wielostronny uczony nietylko jest „ein Hirt,“ ale także „ein . . . .“ w naukach i sztukach.

Autor artykułu rozbiera potem znaczenie użytego przez pisarza przedmowy katalogu wyrazu „Lohnschreiber,“ i przywodzi szanownym członkom korporacyi akademickiéj, których antypatye koleżeńskie i nepotyczne stały się prawie przysłowiem, wszystkie takie przykłady na pamięć, które świadczą, że właśnie członkowie jéj używają najczęściej „płatnych pisarzy,“ zamieszczających w dziennikach od czasu do czasu pełne kadzidła dla nich panegiryki. Imby więc najmniej przystało o nich wspominać. Brudy czyszczą się najlepiej w zakątku ogniska familijnego, i już Sancho Pansa polecał tę regułę życia: żeby w domu wisielca nie gadać o powrozie. Wyzwanie krytyków wystawy przez akademią, mówi w końcu autor artykułu, odniesie swoje korzyści. Sławni wirtuozi pędzla niechaj to sami sobie przypiszą, jeżeli na przyszłość ich rafaelska wysokość mniej będzie szanowaną, jakby to może było w innym stanie rzeczy. Być może, że takowe spory wpłyną i na modyfikacyą dzisiejszych akademii stosunków, a biorąc pochop z wyrazu „zapłaty,“ nie będzie może niestósowności, gdy profan przypatrzy się wystawie berlińskiej, choćby raz jeden, w blasku jej merkantylnego światła. W tym względzie stawia autor korporacyi akademii takie pytania: Jaki zysk mają professorowie akademii z dochodu za bilety wejścia? Jaką szkodę ponoszą ztąd, gdy przez ganiącą krytykę w dziennikach bojaźliwe dusze powściągają się od częstego odwiedzania wystawy? Czy żądane ceny za obrazy, odpowiadają ich wartości, czyli też, jak w małych handlach, zachowuje się pewien system zaceniania, spekulujący na nieznajomość kupującego? Czy istnieje szeroko rozgałęziona spekulacya, licząca na smak mody, co to kryjąc się pod patetycznemi frazesami sztuki, pracuje tylko dla luidorów?

Niewiadomo, czy senat akademii, jeśli sprawa przyjdzie przed kratki sądowe, na pytania powyższe odpowie? Mniejsza o to. Sprawa i tak toczy się jawnie, przed sądem publiczności. Cała korzyść z niej ta, że publiczność pilniéj czyta krytyki, które przy takiem umysłów podrażnieniu, muszą starać się być i gruntowniejszemi i sumienniejszemi; przez to pojęcia się prostują, sąd się wytrawia, i sztuce wskazuje się stanowisko, do którego podnieść się musi, jeżeli ma odpowiedzieć wy-

sokiemu zadaniu swemu, i nie poniżyć się do prostego rzemiosła, pracującego dla widoków przemysłu i handlu. W następnym liście dalszy ciąg o znakomitszych obrazach wystawy.

---

**Paryż** w październiku.

*Ab Jove principium.* To znaczy przetłumaczone na dobrą polszczyznę, że jeżeli kto ma pisać sprawozdanie z tego co się dzieje w jakim zakątku ziemi, powinien zacząć od nieba, czyli od stanu atmosfery. — Tak téż czynię, choć wiem że ten przedmiot tak mało ludzi obchodzi, że aż w przysłowie weszło, jeźli kto chce nudną definiować rozmowę, mówić, iż prawił o pogodzie i dészczu — jakby to rozmowa o powietrzu którém oddychamy, o słońcu które w nas wlewa życie i siły, nasuwa świetne pomysły i piękne czyny — rozmowa o burzy co przestrasza i dręczy ducha, o słocie co go pozbawia wszelkiéj jasności, energii i ochoty do czegobądź, była mniéj zajmującą niż *szpeiscetel* ostatniego obiadu pani A. — swary podsłuchane w sypialni pani B. — toaleta pani C. — rozmowy z garderobianą lub kielnerem — i wszystkie na świecie „*on powiedział*“ lub „*ona powiedziała*“, które ogół interesują przedewszystkiém.

Nie łudźmy się. Człowiek niemniéj ściśle połączony jest z naturą jak każde drzewo lub źwiérzę; tylko duma nie dozwala mu dopatrywać w sobie jéj wpływów, a godność jego osobista srodze uczułaby się dotkniętą, gdyby nawet sam przed sobą wyznał, że ta lub owa szlachetna myśl z któréj się chlubił, wpłynęła do serca z promieniem majowego słońca, a to znów niecne postanowienie weszło do głowy z podmuchem północnego wiatru. — Nie łudźmy się. Matka natura rządzi nami tak dobrze jak marnym kwiatkiem róży i wyniosłym cedrem Libanu — jest naszą wielką przewodnicą, któréj słuchamy niewolniczo choć bezwiednie, i słuchać musimy, chcąc nie chcąc, gdyż biada temu kto się z pod jéj praw wyłamie! — Zaczynam więc od pogody— chociażbyś mnie nawet miał nazwać nudziarzem.

W tym pięknym kraju Franków, w którym kwitnie laur i winogrono dojrzewa, bywa zazwyczaj jesień słotna, stokroć smutniejsza i przenikliwsza niż w krajach więcéj na północ posuniętych — jesień mglista, bez uroczych słońca zachodów, które napawają duszę tęsknotą, bez zapachu zrumienionych skwarem owoców, bez latających płócien Arachny co srebrzą nasze pola skoro z nich złote kłosy ustąpią — jesień nudna, splinowa, podczas któréj słońce jak kokietka zamyka się u siebie, skazując swych wielbicieli na ciemność i czczości serdeczne.

W Paryżu nie rzadko zdarzają się jesienie podobne do zimy jak dwie krople wody; drzewa jeszcze zielone, georginie i astry kwitną, winogrona i brzoskwinie dojrzałe, ale dészcz zimny pada, niebo szare, a bruk czarny. Na bulwarach, przed Passażami stoją melancholiczne grupy czekające na fiakra lub promień słońca, niewidzialne obadwa; właściciele kawiarń i restauracyj wzrokiem pogrzebowym spoglądając na bolesny brak spacerujacych, powtarzają na wszystkie tony jedną piosnkę: „Istna kara boża, taka jesień!“ — Przyjaciele witają się pod parasolami i udzielają sobie wzajem nowiny, że nieznośny dészcz pada. — „Czy słychana rzecz taki październik?“ pyta jeden. — „To minie“, odpowiada drugi, i pocieszają się, że to tylko taką kwadra. Ale niestety, zdarza się że ta kwadra dopiéro przez mróz zluzowaną bywa — i trwa do Bożego Narodzenia, dokuczając bez litości parasolom, przechodniom, koniom, skoczkom, ulicznym tenorom, katarynkom — słowem całéj téj zajmującéj pieszéj ludności, która polegając na słowie kalendarza, rachowała na suchy bruk, mieszkalny trotuar, przychylne niebo, jesień wierną swemu urzędowemu zobowiązaniu.

Tak bywa zwykle.

Tegoroczna jesień paryzka niewiedzieć czy skutkiem tego, że zima przeciągnęła się aż do lata, czy skutkiem zapowiedzianych odwiedzin komety którego powitać mamy po trzech wiekowém niewidzeniu, stanowi wyjątek w zwykłéj regule. Pogoda prześliczna trwa bez przerwy — całe miasto w ciągłym ruchu — życie z domów wybucha na ulicę i z podwojoną siłą krąży w powie-

trzu — radość jest na balkonach, kwiaty na terasach, kobiéty w oknach, a słońce wszędzie.

Od rana całe miasto wylega na ulicę i już nie podwójnym ale przechadzkowym chodzi krokiem — *marquizy* ocieniają sklepy, złote napisy błyszczą jak dzienna illuminacya, posągi tuleryjskie zdają się uśmiechać do każdego — Sekwana toczy spokojnie zieloną wodę a bulwary wesołe twarze — wszystkie kobiéty są ładne, bo ubrane w uśmiechy, błyszczące materye i łaskawe wejrzenia, zdają się wszystkie dobre i młode.

Korzystając z wieczora który wydawał mi się jeszcze piękniejszy niż zwyczajnie, wyszedłem i ja na miasto przechadzkowym krokiem, w zamiarze obejrzenia przepysznego nowego sklepu, czyli *Składu dzieł sztuki*, założonego niedawno na Kapucyńskich bulwarach przez braci Bisson.

Zégar, rządca paryzkiéj kawiarni, wskazywał pół do szóstéj wieczorem, godzinę największego ruchu w mieście. Cały Paryż przechadzał się po bulwarach od kościoła Magdaleny aż do nieobecnéj Bastylii. Przed Tortonim przykładni gastronomowie przygotowywali się do obiadu pijąc absint; elegancko ubrana młodzież oczekując godziny szóstéj, zasiadła krzesła, i paryzkim obyczajem bujała się od niechcenia oparta na ich poręczy; inni przechadzali się, niecierpliwie spoglądając na zégarki i zżymając na kogoś co nie przybywał na umówioną schadzkę. Od czasu do czasu piękność jaka oparta na męzkiem ramieniu, szła, przeciskając zręcznie rozłożyste falbany przez to przedobiednie głodne zgromadzenie; wtedy ustawała rozmowa i kiwanie krzeseł — smakosze wstrzymywali przy ustach opalowy kubek absintu, i wszyscy półgłośnym odzywali się chórem: „Piękna kobiéta!“ A tak spłaciwszy ten zwykły haracz, który każden paryżanin składa u nóg piękności, towarzystwo znowu do dawnego powracało porządku.

Minąwszy włoskie bulwary, stanąłem u celu przechadzki.

Narożny skład pana Bisson przedzielony od ulicy nie murem ale jedną kryształową ścianą, słusznie nazwać można kryształowym pałacem sztuk pięknych. Rozmaitéj wielkości posągi białe marmurowe z dala widne, z dala witają przechodnia bladą twarzą; przystąpiwszy

bliżéj spostrzegasz mniéj miękkie i jasne, ale silniejsze i wyrazistsze rzeźby ze starożytnego bronzu, jedne ciemno-czokoladowéj barwy, inne koloru zielonéj śliwki nie otartéj z rodzimego pyłu, inne błyszczące jak złoto — spostrzegasz rozstawione na sztalugach — obrazy olejne w przepysznych ramach — fotografie wielkie na trzy i cztéry łokcie — heliografie wystające jak płasko-rzeźba — sztychy dziwnéj piękności — blade akwatinty, litografie, pastele, słowem wszystko co może stworzyć ręka artysty.

Z razu olśniony tym widokiem, jak motyl przy krzaku stulistnéj róży krążysz, nie wiedząc przy którém z tych arcydzieł zatrzymać się, które najprzód oglądać, bo wszystkie mówią razem i wszystkie wołają: patrz na mnie! Tu umierający Abel, biały, zwraca na cię konające źrenice — tu Mefistofel skośnym zaczepia cię wzrokiem — tu muza stroi lirę, więc patrzysz w nią i słuchasz co zaśpiéwa — tu Ristori deklamuje scenę z „Myrrhy“ — tu Rachel z wymownym gestem rzuca Maksymowi sławne „*Tu m'oses aimer, et tu n'oses mourir!*“—tu tańcuje pełna wdzięku Cerito — tu Hamlet rozmyśla *czy być czy nie być?* tu rąbie Zuaw, bębni stary gwardzista, trąbi pobudkę napoleoński huzar — Hugonot śpiéwa dzieje Roszelli, a dzieci ojczyzny Marseliezę — tu Indyanin strzałę na węża napina — tu wzdycha Dante do patrzącéj w niebo Beatryczy — tu wschód słońca, tam burza — tu bitwa, a tu biesiada — tam kochają, tam mordują, tu szczęście, tam rozpacz — wesele, żałoba, gniéw, szał — cnoty i zbrodnie — wszystkie, wszystkie uczucia zmięszane razem, wszystkie myśli jakie kiedykolwiek wstrzęsły mózgiem człowieka... I od czegóż tu zacząć?

Jużciż od jasnéj gwiazdy co góruje nad tém wszystkiém. Zacznijmy od Matki Zbawiciela, któréj wizerunek wedle Rafaelowskiego wzoru wyrył na stali sławny sztycharz paryzki Henriquel-Dupont. Rzecz to nader rzadka i mało komu znana, gdyż nie jestto kopia wzięta z obrazu, ale z kartonu znajdującego się w muzeum cesarskiém.

Każdy malarz katolicki malował Madonny, i każdy wmieszał coś z własnéj natury do świętego obrazu: Albert Dürrer dał Maryi rysy niemieckie; Moralès hiszpańskie; Gentil Bellin weneckie; jeden Rafael dał jéj wyraz

boski, a wszystko co potrzeba było pożyczyć od ziemi żeby ją uwidomić ludzkiemu oku, tak podniósł i uszlachetnił, że z pomiędzy wszystkich on jeden był i będzie prawdziwym Maryi wyobrazicielem. Każdy rafaelowski wizerunek Maryi, jest jakby strofa litanii do Matki Zbawiciela, jakby wykrzyknikiem adoracyi.

Przypatrzywszy się pilnie Madonnom Rafaela po kolei, jak je stwarzał, badacz spostrzeże wyraźne przeobrażanie się ideału. — Najprzód ukazuje on nam Maryę nieśmiałą, trwożliwą, naiwnie piękną, wśród zielonych ogrodów, klęczącą obok boskiego niemowlęcia i patrzącą weń jakby się oswoić nie mogła z cudem.

Późniéj mistrz porywa ją z pomiędzy kwiatów, i na tronie lub na obłoku maluje w wieńcu niebieskich cherubinów, trzymającą syna przed rozklęczonym światem.

Już to nie jest dziewica z Bethleem, ale królowa Nieba, rodzicielka Boga; twarz jéj przybrała wyraz niewysłowionéj szczęśliwości i spokojnego opromienienia.

Późniéj Rafael ukazuje nam Maryę dręczoną przeczuciem męki, pobladłą od bólu z którego jeszcze sama sobie sprawy zdać nie umie, bo na pogodném swém niebie widzi go dopiero jak czarny nieznaczny punkcik na lazurze.

Późniéj mistrz z Urbinu maluje Maryę patrzącą ze łzami na bawiącego się krzyżykiem Zbawiciela — a nakoniec Wniebowziętą.

Sztych o którym mowa, należy do drugiéj, najszczęśliwszéj epoki z ziemskiego życia Matki Zbawiciela.

Wśród ogrodu Marya siedzi na kamieniu; lekka szata tysiącem fałdów obwija cudne jéj kształty. Po włosach zaczesanych skromnie, spływa biała, przezroczysta zasłona. Na kolanach Maryi leży maleńki Jezus i bawi się fałdami jéj stanika, jak to zwykły czynić świeżo odsadzone dzieci. Marya z uśmiechem zatrzymuje drobne paluszki i obejmuje boską dziecinę promieniem miłości który ze spuszczonych jéj oczu tryska jak żywy promień słońca i pada na twarz Chrystusa.

Sztych ten którego przeźroczystych cieni i księżycowych świateł opisać nie podobna, należy do najpiękniejszych dzieł sztuki jakie w tych czasach pojawiły się w Paryżu.

*Prawda* którą pan Cavelier korzystając z tradycyi

mógł przedstawić nago, liczy się także do piękniejszych utworów. Rzeźbiarz wybornie zrozumiał swój przedmiot. Nic lubieżnego nie razi w nagości téj kobiety mającéj uosabiać *Prawdę*, przedstawia ona ludziom bez żadnéj pokusy swe zimne wdzięki skąpane w studziennéj wodzie, spokojna, bo pewna że zawsze kiedyś zwycięży, nie szuka powabnéj pozy, nie wdzięczy się do nikogo. Na czystem jéj czole błyszczy gwiazda złota, w ręku trzyma zwierciadło niepochlebne, w którém cnotliwy i występny widzi się jakim jest w istocie. Znać że tworząc tę statuetkę pan Cavelier miał ciągle przytomną w umyśle sławną definicyę Platona: „Piękność jest splendorem prawdy.“

Od *Prawdy* do Berangera bliżéj niż gdzieindziéj. Mnóstwo biustów i portretów jego złożono w *składzie artystycznym*. W tym miesiącu dwa nowe modele zbogaciły ten liczny zbiór. Medal gipsowy pana Jacquemin w wielkiéj teraz modzie, przedstawia Berangera jak wygladał przed dziesięciu laty; profil poety otaczają owe pamiętne jego słowa: „*Je n' ai flatté que l' infortune.*“ Bronzowe popiersie wykonane przez pana Magniadas przedstawia Berangera jakim jest dzisiaj; u spodu wyryto napis: *Au Poete national*, *Pierre-Jean Béranger né à Paris le 19 août 1780*. Obok wypisane tytuły wybornych jego piosneczek, jako to: *les Gueux*, *le Sénateur*, *Louis XI*, *Dieu des bonnes gens*, *les Reliques itd.*

Jako *pendant* do popiersia Berangera, p. Jacquemin zrobił popiersie Molliera, chcąc przez to wykazać istniejące pomiędzy nimi pokrewieństwo. Myśl bardzo trafna. Komedya i piosneczka zawsze bliskie krewne, jeszcze ściśléj połączyły się z sobą w bratniem natchnieniu Molliera i Berangera, którzy obaj urodzili się w Paryżu i obaj wyszli z ludu: pierwszy był synem tapicera, drugi krawca. Słychać że twórca tych dwóch popiersi pracuje obecnie nad nowém nader ciekawem dziełem, a natchniony ognistem piórem dziejopisa, modeluje podobno całą galeryą owych istot pięknych, namiętnych i silnych, które odmalował Michelet pod napisem: „*Les Femmes célebres de la Révolution*“.

Ogromne fotografie przedstawiające rozmaite gmachy i widoki Paryża, zdumiewają swą doskonałością. Dwie mianowicie, Luwr i widok Paryża wzięty z *Pont des*

*Arts*, na dwa metry szerokie, a jeden i pół wysokie, są arcydziełem w swoim rodzaju, i zapewne nie znalazłyby sobie równych w całym świecie. Skutkiem doskonałego zbadania potrzebnych środków chemicznych, i wybornych szkieł, które są właściwie wzrokiem maszyny, dokładność odbicia jest tak wierna, że ten ktoby spojrzał na te obrazy przez lorynetkę, nie wiedząc że na papier skierowana, gotów przysiądz iż oknem na Luwr wygląda, lub z *Mostu Sztuk* widzi wspaniałą panoramę stolicy, rozpoczynającą się dwoma wieżycami katedry *Notre Dame de Paris*, a kończącą się zieloną oazą Pól Elizejskich która co raz to blednąc, z zielonych w niebieskawe przechodzi barwy, i wreszcie roztapia się w złotéj kurzawie zachodzącego słońca.

Pominąwszy sztychy w których Francuzi od dawna prześcignęli Anglików, a których nowy zbiór złożony z kopij celniejszych obrazów olejnych, nic do życzenia nie pozostawia, wspomnieć tu jeszcze muszę o litografii, téj nieszczęśliwéj sponiewieranéj sztuce, która pod umiejętną ręką paryzkich litografów nabrała wdzięku, czystości i powabu. Sam Sennefelder nie poznałby swego wynalazku; do tak zadziwiających doprowadzono go we Francyi rezultatów. Mianowicie utwory pp. Leroux i Fanoli, uderzają swą doskonałością.

Piérwszego *Rekruty Arabskie* litografowane wedle obrazu pana Bida, i *la Ronde des Wilis* drugiego, stanowią razem jakby ciało i duszę sztuki litograficznéj. Ołówek pana Leroux pewny, wyraźny i dokładny, odbija jak zwierciadło sceny życia, chwyta rzeczywistość w całéj swéj nieestetycznéj prozie — Fanoli zaledwie dotykając nim płyty, kréśli blade i przezroczyste widziadła kąpiące się w przezroczu księżycowych nocy, przedstawia rzeczy tak wiotkie i nieujętne, iż zdaje ci się dość dmuchnąć w te ramy ażeby w nich czysty papier pozostał. Dzieła Fanolego są zdaniem mojem, szczytem do jakiego może dojść litografia, bo osiągnęły dwa najtrudniejsze jéj zadania: czystość i miękkość.

Olejne obrazy wszystkie nowe, pędzla młodych artystów dotąd nie sławnych, przedstawiają po większéj części sceny z ostatniéj wojny. *Zdobycie wielkiego Redanu* płótno ogromnych rozmiarów, przedmiotem i jaskrawością kolorytu ściąga nieustannie ciekawe tłumy, nie zdaje

mi się jednak żeby na uwagę znawców zasługiwało. Zdaniem ich, najprzedniejszém dziełem z całego *Składu* pana Bisson, jest Mefistofeles, posąg półnaturalnéj wielkości, ulany z zielonego bronzu.

Mefistofeles długi i suchy jak skielet, w stroju takim w jaki go ubrał Goethe, siedzi w gotyckiém krześle; jedno kolano ująwszy w długie kościste palce podobne do szponów sępa, trzyma zgięte na drugiém; po twarzy jego ostréj jak brzytwa i pooranéj w głębokie bruzdy, nurkuje jakiś pomysł szatański, niewyraźny, bo dopiéro jakby rodzący się pod nasuniętą brwią co się jeży nad dwojgiem oczu przez które całe piekło wygląda. Na ustach przykrojonych wedle wyrazu najzjadliwszéj ironii, przebiega wzgardliwy uśmiech . . . zda ci się, iż szatan lada chwila przemówi i powita cię jak Fausta, cedząc przez zęby szyderczą apostrofę: „*Ich salutire den gelahrten Herrn!*“

Ten ideał Złego jest pojęty tak doskonale i tak niezrównanie oddany, że gdyby artysta z równą siłą poczuł i wcielił ideal Dobrego, nazwać by go można słusznie zwiastunem królestwa Bożego na ziemi.

Ale już dosyć o artystach — pomówmy nieco o literatach.

Ostatnie dzieło Wiktora Cousin pod napisem *Madame de Hautefort*, którém zakończył swoją galeryę kobiét siedemnastego wieku, oburzyło całą piękną połowę mieszkańców Paryża. Szanowny członek akademii, Ariost filozofii, opiawszy cnoty przyjaciołki Ludwika XIII, zawiesza lirę i temi słowy kończy swoją epopeę:

„Rzucam pióro! nie będę już malował tych czasów co minęły bezpowrotnie, i tych niewiast, których nie ujrzy więcéj męzkie oko. Żegnam was marzenia, które pieściła młodość moja. — Żegnam was bohaterki, nieodstępne towarzyszki moje aż do podeszłéj starości. Z bólem serca porzucam was. Przy rozstaniu błogosławię ci Muzo! Tyś to mnie nauczyła stronić od wydeptanych ściéżek i powiększać serce, nie fortunę. Dzięki twoim naukom ukochałem dumne ubóstwo, utraciłem bez szemrania wszystkie owoce życia i pozostałem wierny sprawie opuszczonéj dzisiaj, ale wielkiéj w przyszłości. O! wzniosłe niewiasty siedemnastego wieku, dusze silne, promienne i uwielbiane, które rozlawszy tyle blasku,

miałyście odwagę usunąć się w głuchą ciemnicę i zgasnąć... dajcie mi nieco téj siły co umie uśmiechać się do samotności, choroby i śmierci. Uczennice Chrystusa, połączcie się z Mistrzem waszym i powtórzcie mi w imie ewangelii i filozofii, iż czas porzucić rzeczy znikome, i że jedynym dziś przedmiotem myśli moich winna być praca poświęcona obowiązkom i Bogu.“

Cudzoziemiec po przeczytaniu powyższego monologu, nie ma nic do zarzucenia panu Cousin, prócz tego, iż mógł był mniéj napuszystym stylem żegnać muzy, i z mniejszym żalem powracać do Boga i obowiązków — ale paryżanki, zazwyczaj z innego stanowiska zapatrujące się na płody literackie, do żywego dotknięte zostały tą deifikacyą siedemnasto-wiecznych kobiét, tém bardziéj, iż autor oświadcza wręcz bez ogródki „*że takich nie ujrzy więcéj męzkie oko.*“ „Któraż kobiéta, mówi w inném znów miejscu, *jeżeli to miano jest jeszcze mianem czucia, szlachetności i delikatności* i t. d.“ Takich przysmaków pełno; nie dziwota, że nie mogły smakować ładnym usteczkom, i że wielbicielom ich natchnęły krwawe satyry. Ledwie książka opuściła prasę, ozwał się głośny śmiéch krytyków zarzucających autorowi, że wszystkie jego wspaniałe frazesy przypominają bajkę o owym lisie, który nie mogąc dostać winogron, wmawia w siebie, że kwaśne; że się otoczył martwemi ideałami siedmnastego wieku dla tego, iż żaden żywy, dziewietnastowieczny ideał nań nie spojrzy; że prześladuje nazbyt cierpko kobiety naszych czasów, iżby niemożna dopatrzeć w tem obrażonéj miłości własnej itd. itd.

Jakoż rzeczywiście, szanowny akademik tak często podnosi przeszłość kosztem teraźniejszości, iż możnaby go posądzić, że dla tego tylko malował niewiasty siedmnastego wieku, ażeby mógł wykazać niższość dzisiejszych. Nie zważając wszakże na tę stronniczość autora, co łatwo przyjdzie każdemu z nas, mianowicie jeżeli już doszedł do téj smutnéj prawdy, że ani wtedy nie było, ani teraz niema na ziemi kobiet doskonałych, a to co zowią pięknością ich duszy jest najczęściéj złudzeniem optyczném, lub zwierciadłem odbijającem ideał patrzącego — książka pana Cousin czyta się bardzo przyjemnie.

Ciekawy jest opis téj miłości platonicznéj która po kardynale Richelieu miała pierwszy głos w sumieniu wstydliwego okrutnika; ciekawe są intrygi jakich używał kardynał do podniecania lub osłabiania wedle własnych widoków, tego dziwnego uczucia które wyrosło w królewskiem sercu jak biała róża na śmiecisku. — Wszech potężny kardynał który trzymał w swém ręku losy Francyi, zajmował się niezmiernie tą sentymentalną idyllą; uorganizował osobną policyę która mu donosiła każde słowo wymienione pomiędzy panią Hautefort a królem. Pani Hautefort zdawało się, iż jest dosyć silną ażeby mogła walczyć z żelazną ręką co naginała wszystko — jakoż długo walczyła szczęśliwie, ale w końcu złamaną została. Słaba wola kochanka niemogła jéj zasłonić przed ciosem który wypadł z pod kardynalskiéj purpury. Skazana na wygnanie, długie lata przesiedziała zdala od stolicy — na dwór powróciła dopiero po śmierci Richeliego. — Cała ta historya jest rodzajem dramatu, w którym nie bez wstrętu widzimy religię i piękność służącą za narzędzie polityce.

Karr w swojem ostatniem *Bourdonnement*, napisał arcydowcipną satyrę na fajczarzy, w któréj dowodzi, że palenie tytoniu, pominąwszy już wszystkie jego zgubne następstwa, jakoto: oddalanie nas od towarzystwa kobiet, grubienie zmysłów, odurzanie głowy, przytępienie umysłu, zatruwanie powietrza którem oddychamy, itd. ma tę największą wadę, iż staje się potrzebą, a potrzeby są jedynym rzeczywistym tyranem człowieka. Potrzeby zrodziły zależność, konieczność ciągłéj pracy i ubóstwo mass. Każde przyzwyczajenie jest powrozem przyczepionym do nogi człowieka, każda potrzeba łańcuchem. Pokolenie nasze zgubiły wymysły nowych potrzeb; *chléb powszedni* stał się teraz tak skomplikowany przez rozmaite potrawki i rujnujące zaprawy, jada się na takiéj zastawie, na takich stołach i w takich apartamentach, że zdobyć go można tylko albo galerniczą pracą, albo służalstwem — ów chleb powszedni skomplikował się teraz tak dalece, że już nie Boga, ale djabła prosić o niego trzeba co rano.

Przedziwny artykuł powyższéj treści, Karr zakończa powiastką pod tytułem: *Histoire morale du Serin de Canarie*, którą i ja list mój zamykam:

„Kanarek był kiedyś także mieszkańcem lasów; ale od czasu jak się przyuczył do biszkoptów, cukru i faworków, już nie mógł żyć wolny. Zdarza się jeszcze niekiedy że ujrzawszy nie zamknięte drzwi klatki, żółty ptaszek instyktowo wychodzi z niéj, leci na drzewo, siada na gałązce, strzepuje biedne podrętwiałe skrzydełka, śpiewa pewien rodzaj maluchnéj Marseliezy, i z przyjemnością oddycha nie przez kratę. Ale nadchodzi godzina śniadania: kanarek szuka swego żłóbka. Na drzewie niema żłobka zawsze napełnionego ziarnem — szuka biszkoptów, cukru.... niema! Drzewa nierodzą biszkoptów ani rafinowanego cukru — ziarnka są wprawdzie, ale rozsiane na półmilowéj przestrzeni; szuka więc i znajduje — ale znów trzeba pić, a strumień daleko!

„W tem właściciel spostrzega, że kanarek uciekł. Zakłada więc do porzuconéj klatki kawał świeżego biszkoptu, większą miarkę siemienia i kawałek cukru innéj formy — ptasznicy wiedzą, że to najpewniejszy samotrzask na ptaszki.

„Około południa kanarek przestaje śpiewać; w parę godzin późniéj już zupełnie sowieje, bo głodny i spragniony. Ziarna rozrzucone, woda daleko — z resztą i cukru już dawno nie jadł... noc nadchodzi, nie ma gdzie spać... gałęzie drzew chropowate, często kolczyste, urażają w łapki przywykłe do politurowanych prątków klatki. Nadto, jakże tu spać pod gołem niebem? może zjeść kot, oskubać ptak żarłoczny.... trzeba tylko drzemać jedném okiem a czuwać drugiem. W klatce spało się tak bezpiecznie, twardo i smacznie!

„Tak rozmyślając kanarek powoli przysuwa się do klatki; wreszcie po niedługiém wahaniu pomiędzy klatką a niebezpieczną swobodą, wybiera: z wolną, nieprzymuszoną wolą wchodzi do klatki i poczyna śpiewać.

„O! młodzieży która masz nas zastąpić, nieprzyzwyczajaj się ani do cukru, ani do faworków, nie daj się owładnąć sztucznym potrzebom. Pamiętaj zawsze że mądry Diogenes spostrzegłszy raz dziecko pijące ręką, wrzucił swój kubek w morze, mówiąc: jeszcze jedna rzecz bez któréj mogę się obejść.

„Jestto przykład do którego trzeba zmierzać jak do białego punktu, kto chce trafić w tarczę. Ty, młode pokolenie, któremu niezadługo zostawimy społeczność i oświatę,

jeżeli nie będziesz lepszem od nas, nie zaczynaj przynajmniéj od naszéj zgrzybiałości. Badaj starannie każdą rzecz ochrzczoną mianem potrzeby — pytaj każdéj: potrzebo, jestżeś ty rzeczywistą potrzebą? Przyjemności, jestżeś ty rzeczywistą przyjemnością? i jedną jak drugą płać tylko tyle ile warta.“

---

## **Boulogne** w październiku.

Niewiem czy was doszedł pierwszy mój list pisany niby z Bononii francuzkiej; bądź co bądź, piszę drugi. Już to najprzód uczynić muszę uwagę, że jeżeli moda jeżdżenia do wód, takie będzie robiła postępy jak w tym roku, to się może i sprawdzą słowa poety, iż wszyscy ludzie są chorzy, a świat cały szpitalem. Wiecie że ta moda szerzy się szczególniej między nami na północy; powiadano mi, że na Renie, gdzie niegdyś panował niemal wyłącznie język angielski, w tym roku niesłyszano jak polski i rosyjski. Wszystkich para niosła do Ostendy. Gdybyś ich zagabnął dla czego koniecznie do Ostendy? odpowiedzieliby ci z niejakiém pomięszaniem: bo... bo... bo taki zwyczaj.

Ja co nie jestem niewolnikiem zwyczaju, co jeżdżę do morza dla zdrowia, nie pod pretekstem zdrowia, co przekładam spokojność nad liczne towarzystwo znajomych, puściłem się w tutejsze strony. Jakoż kąpiele morskie w Boulogne, kto wie czy nie są najwygodniejsze w całéj Francyi. Łożysko morza równe, gładkie, piasczyste ani jednego kamyka. Woda blisko brzegu, płytka, bezpieczna i szeroka; bałwany obfite i częste.

Temperatura w złych latach żywa, ale daleko znośniejsza od Ostendeńskiej i Scheveningskiéj, bo więcej zasłoniona od wiatrów północnych, przyrząd kąpielny staranny, lekarzy dostatek, aptek co niemiara, na największą skalę. Woda do picia dobra, zawstydzająca Ostendeńską; wygody życia dostępne, artykuły żywności wyśmienite.

Ktokolwiek w tym roku uciekał z Dieppe lub Trouville, dla niesłychanej drożyzny i niedostatku mieszkań, znalazł tu przytułek jakiego pragnął. Miasto posiada do

80 hotelów rozmaitéj rangi i mnóstwo mieszkań prywatnych. Hotele są tak drogie jak wszędzie, ale apartamenta prywatne, złożone z kilku pokojów, niekosztują więcej jak 200—600 fr. miesięcznie. Kto niechce trzymać własnego gospodarstwa, płaci za dobry obiad w hotelu pospolicie 3 franki, bez wina. Za 12 biletów kąpielnych daje się 10 franków, (od dzieci 7 franków) licząc w to bieliznę, strój męzki i żeński, i furmanki zawożące w głąb morza. Kto bierze kąpielnika, płaci mu naraz 10 sous, kobiecie połowę. Kto mieszka w odleglejszej części miasta, nic na tem nie traci, eleganckie omnibusy przejeżdżają się ustawicznie po głównych ulicach, a kurs nie kosztuje więcej jak 2 sous: wydatek wynadgradzający się tańszem mieszkaniem. Pamiętają i o bezpieczeństwie kąpiących się. Towarzystwo dobroczynności utrzymuje tu dom ratunku (maison de sauvetage) opatrzony we wszelkie przyrządy na przypadek nieszczęścia; a jego straże niespuszczają z oka śmiałków którzyby zbytecznie oddalali się od brzegu. Jak wszędzie tak i tu ci tylko toną co umieją pływać.

Pomimo takiego komfortu, port Buloński niewabi do siebie francuzów, a jeszcze mniej polaków. Pochodzi to ztąd, że obfitując we wszystko cokolwiek potrzebne do zdrowia i wygód, mało przedstawia sposobności do rozrywek. Czy to że zostawał długi czas pod panowaniem angielskiém, czy dla bliskości miejsca, anglicy zrobili z niego swoją kolonią. Mieszka tu ich ciągle do 4000, bądź dla ekonomiki, bądź dla łatwiejszego wychowywania dzieci, a w dwójnasób tyle przybywa ich tu w porze letniej, przyprowadzając z sobą konie, pojazdy, a nawet i meble; przepływ z Anglii nie trwa i pół trzeciej godziny. Całe też miasto, składające się z 30,000 mieszkańców, urządzone jest niemal wyłącznie dla wygody anglików i stosownie do ich obyczajów. Francuzi, co narzucają swój język całej Europie, ustępują tu pierwszeństwa sąsiadom, w własnym zakątku. Każdy francuz co łokciem mierzy lub funtem waży, mówi po angielsku, obchodzi się nawet bez napisu, *english spoken*, a z tej swej anglomanii tak jest dumny i szczęśliwy, że jeżeli spytasz o towar po francuzku, mierzy cię okiem z dołu do góry, jakby chciał powiedzieć: „pocóżeś się tu zabłąkał, nie dla ciebie nasze

rzemiosło," francuzkę lub polkę zbywa czém tem, angielce podaje stołek. Gdziekolwiek spojrzysz, niewidzisz jak napisy angielskie: tu *Exchange*, tam *boarding house*, owdzie *Agent office* — *Steam company* — *velvets and silks* — *shoes and boots* — *circulating Library* — *dancing Academy* — *Sebastopol house* i t. d. i t. d. Wychodzi nawet raz na tydzień gazeta angielska.

I w rzeczy samej, głównem żródłem pomyślności miasta są anglicy, bo lubo znaczna ich część żyje tu dla oszczędności, zawsze stanowi najbogatszą warstwę towarzystwa. Daje się to widzieć na widowiskach publicznych. W teatrze francuzkim np. zastajesz niemal zawsze próżne ławki, i nieraz się zapytujesz, jakim sposobem antreprener potrafi utrzymać równowagę w swoim budżecie; niechże się zjawi widowisko angielskie, a sala trzeszczy pod natłokiem lordów i miledych błyszczących blaskiem najmodniejszych toalet, pachnących wonią przepysznych bukietów.

Obok elementu angielskiego, każdy inny musi tu grać podrzędną rolę, której nieprzyjmują inni cudzoziemcy, a najmniej my polacy. My szczególniéj mamy wstręt niezwyciężony do obyczajów angielskich. Anglicy są bardzo ostrożni w zabieraniu znajomości, ograniczają swe zabawy do kół domowych, lubią spokojność, pędzą życie podług form etykietalnych posuwanych częstokroć aż do śmieszności; to słowo *przyzwoitość* ma u nich powagę ewanielii; chociaż przy tém wszystkiém mają wielką cnotę, iż się z swą oryginalnością nienarzucają nikomu; dumni z własnéj wolności, umieją szanować ją w drugich. My przeciwnie, lubimy wesołość, lubimy zgiełk, huczne zabawy, serca nasze otwieramy pierwszemu lepszemu który do nich zajrzy, oburzamy się na wszelki przymus, ale też za to, powiedzmy sobie prawdę, kochamy wolność tylko dla siebie, naszą ruchawością i krzykliwością częstokroć naprzykrzamy się innym, niepojmując nawet, aby to było jaką towarzyską wadą; przytoczę na dowód jedno zdarzenie.

W jednym z tutejszych hotelów, siadło raz do obiadu kilkadziesiąt osób rozmaitego narodu. Zabłąkało się między nich i kilku nas polaków, z których jeden siedział obok mnie na jednym końcu długiego stołu, drugi na drugim. Ledwie się wzięto do łyżek, mój sąsiad

rozpoczyna dialog po polsku, z siedzącym naprzeciwko siebie rodakiem, ale tonem tak głośnym, że całe towarzystwo z zadziwienia jeść przestało. „Zmiłuj się bra„cie — rzekłem do niego półgłosem — nie krzycz tak „zwłaszcza językiem którego nikt nierozumie.“ — „Cóż „to? — oburknął się na mnie—czy mam się wstydzić „własnego języka?“ — „Uchowaj Boże! niewstydź się, „tylko mów ciszej, albo swój dyalog zostaw na poobie„dzie; wszak widzisz jaką na siebie zwracasz uwagę. „Czy krzyczysz kiedy wchodzisz do kościoła? nie krzy„czysz, bo byś ubliżał świętości miejsca. Czy krzyczysz „kiedy wchodzisz na bal dworski, lub na jakie zgroma„dzenie dostojniejszych od siebie osób? niekrzyczysz, „bo wiesz, że zniżony ton mowy, tak obojętny na pozór, „jest oznaką uszanowania. Jeżeli więc krzyczysz tutaj „w obec tylu nieznanych ci cudzoziemców, pokazujesz „że ich niemasz za nic, a zatem ich obrażasz, co nie„cechuje dobrego wychowania.“ Mój młodzieniec, (był to młodzieniec z Wielkopolski, po raz pierwszy podróżujący za granicą) chcąc niechcąc zamilkł na moje argumenta, i dzięki moim siwym włosom, niemiałem awantury.

Z tego wszystkiego wypływa, że do wód tutejszych niemamy wielkiej attrakcyi. Kto tu z nas przyjeżdża, musi sam sobie wystarczać, a do podobnej rezygnacyi nie wszyscy posiadamy potrzebne usposobienie. Całą rozrywką gości, jest tu spacer na wązką groblę prowadzącą do latarni morskiej, widok snujących się po wybrzeżu faetonów lordowskich i kawalkad wyśpiarek, oraz roje dzieci angielskich, postrojonych w najzbytkowniejsze szaty. Dodają życia statki rybackie wysypujące codziennie swój połów przeznaczony do Paryża i ustawiczne pakieboty parowe przywożące lub odwożące passażerów. Zastanowiła mnie tu jedna okoliczność. Rozwożeniem bagażów pasażerskich trudnią się same kobiety. Z razu przypisałem to przypadkowi, lecz później dowiedziałem się, że to jest przywilej wdów po rybakach, składających tu najuboższą klassę mieszkańców. Kiedy się zważy, że tędy co rok przejeżdża kilkadziesiąt tysięcy passażerów, i że każdy zostawia nie mniej jak półtora franka za przewożenie swych rzeczy, naprzód do komory celnej a potem do gospód; powinszować należy

zwierzchności miejscowej, iż wynalazła raz na zawsze tak piękny grosz wdowi. Żaden mężczyzna niemoże dotknąć się kufra, każdy szukać musi innego zarobku i łatwo go znajdzie.

Miasto samo mało się przykłada do rozrywek gości; karmi ich, choduje i leczy, ale nie bawi. Na wieczorne schadzki jest tu tylko jedna sala konwersacyjna w zakładzie kąpielnym, w której parę razy na tydzień dają bale, ale wszystko się kończy na skokach dziecinnych. Dojrzalsze towarzystwo unika spotkania osób podejrzanych, choć może niesłusznie. Magistrat wyprawia niekiedy fety pod gołem niebem, ale i te, jedynie dla dzieci. Teatr miejscowy nieosobliwy; nie tyle dla braku zdolnych subjektów, jak dla nędznego pomieszczenia po spaleniu dawnego gmachu, schronić się musiał do tymczasowej szopy. Mówiłem że na widowiska angielskie jest zawsze tłok, wspomnieć jeszcze muszę, do jakiego stopnia nadużywają tu łatwowierności anglików.

Pewnego dnia ujrzeliśmy po rogach ulic kolosalne afisze z napisem *great attraction* (sic) zapowiadające widowisko amatorskie na korzyść pewnej ubogiej familii, a pomiędzy aktorami same imiona historyczne. Był to dostateczny bodziec do ściągnienia licznych widzów, a na ich czele całego kwiatu towarzystwa. Tymczasem zaraz na wstępie, ukazał się aktor z doniesieniem, iż wydrukowani na afiszu lordowie i gentlemany dla nagłej słabości zdrowia wymówili się od ról, publiczność zatem daruje iż będą zastąpieni przez inne osoby. Wyzstąpili tedy owi zastępcy, ale cóż na to powiecie? żaden z nich nieumiał roli, każdy trzymał kartkę w ręku z której jąkając się, rzecz recytował, dodajcie do tego nieprzystojny ubior, maniery pełne żakostwa, pustoty i efronteryi, a pojmiecie jakie było *desapppointement* modnego świata. Francuzi byliby aktorów jabłkami wypędzili ze sceny, niezważając na ich charakter amatorski, ale publiczność angielska przez wzgląd na rodaków i wysokie uczucie przyzwoitości, niechciała posuwać swego gniewu do tak energicznych kroków. Odezwały się tu i owdzie to śmiechy politowania, to napomnienia *Manners! Manners!* (obyczajność! obyczajność!) zresztą nikt nie dotrwał do końca, i każdy wyszedł, przysięgając, iż się drugi raz złapać nie da. Po-

kazało się, że to była mistyfikacya wymyślona przez kilku angielskich studentów, dla zebrania pieniędzy. Czy te poszły na cel przeznaczony? o tém zapewne władzy miejscowej wiadomo.

Mieliśmy tu i drugie dość oryginalne widowisko z któregoby Kraków był uszczęśliwiony. Niejaki pan Lewis tytułujący się *Afrykańskim Mesmerystą*, ogłosił na korzyść szkół, prelekcyę o zwierzęcym magnetyzmie, obiecując zastósować go praktycznie do tańcujących stolików i wywoływania duchów. Jest to w istocie murzyn w stroju europejskim, posiadający doskonale język angielski i wielką w wykładzie wprawę. Obietnica doświadczeń ze stolikami, sprowadziła mu liczne towarzystwo, szczególniej niewieście. Dopóki tłómaczył teoryę magnetyzmu, przyklaskiwano mu rzęsisto, ale gdy przyszło do doświadczeń, porwały się nici. Chciał uspić widzów to spojrzeniem, to muzyką, sypał iskry z oka, wyciągał ręce, upatrywał ofiary, ale nikogo niezachwiał. Z niewolony do robienia doświadczeń na własnych wspólnikach, usypiał ich jednem dotknięciem palców, rozciągał ich na podłodze, zapytywał czy wierzą że spią, trzyumfował z odpowiedzi, ale z niecierpliwości widzów mógł zgadnąć, że ta przedewszystkiem pragnie stolików i duchów. Przystąpił tedy i do tej materyi, zapraszając publiczność aby delegowała kogo z grona swego do zajęcia miejsca przy stoliku, ale o zgrozo! żaden gentleman, żadna milady poświęcić się nieraczyli; prosił, błagał, zaklinał, perswadował, nic niepomogło, mówił do głazów, czem obrażony oświadczył, iż niechcąc uchodzić za szarlatana, na ten raz posiedzenie zamyka. A że to wszystko trwało niezmiernie długo, każdy wziął chętnie za czapkę, i wyszedł na wpół spiący, nie z magnetyzmu ale z nudów.

Cóż wam jeszcze powiem o tutejszém mieście? Dla literata jest biblioteka, dla naturalisty muzeum zoologiczne, w którém wszystkiego po troszku. Dla archeologa i dla artysty nic prawie. Angielki zajmują się tu połowem ryb i albumami, ale nienapotykają nic więcej jak siecie rybackie, żagle lub pudła popsutych łodzi. Okolica piaszczysta, pagórkowata, prócz nagiej przestrzeni morza, nie przedstawia nic malowniczego.

Nadaremniebyś szukał starożytnych budowl lub historycznych pamiątek. Snują się tu cienie legionów rzymskich, Karola Wgo, Gotfreda de Bouillon, Henryka VIII., Franciszka I. ale namacalnych świadectw ich bytności, niemasz ani śladu, wszystko zatarła ręka czasu. Na sławném polu *złotych namiotów*, (champ du drap d'or) rosną ziemniaki i koniczyna. O tutejszej okolicy trzeba czytać, a nie na nią patrzeć. Jedyną ciekawością, wabiącą dziś turystów, jest kolumna Napoleona I. wystawiona w r. 1804 na pamiątkę armii zgromadzonej na podbicie Anglii, i puste baraki świeżo opuszczonego obozu, którego równie wielkie przeznaczenie poszło z dymem, z powodu nagle podpisanego pokoju.

Na tem kończę mój opis. Gdyby kto u was chciał jechać do tutejszego morza, powiedźcie mu, że znajdzie wygody, znajdzie przystępne ceny, znajdzie może i zdrowie, ale gdyby szukał czego innego, niech się daremnie nie trudzi.

---

## **Londyn** w Październiku.

We wrześniu rozpoczęto kursa naukowe w instytutach mechanicznych, o których często wam wspominałem, i te ciągną się do maja.

W samych początkach przy zawiązaniu się tych instytucyj lat temu niespełna 40, najwięcej ochotnicy wykładali dla ludu przedmioty, jakich potrzebę uznawali; lecz za rozwinięciem się ich w latach ostatnich, dla zachowania większej regularności w odczytach, uznano za rzecz dogodniejszą mieć w nich na nauczycieli stałe i płatne osoby, a znane z biegłości w różnych gałęziach umiejętności i nauk równie jak z popularnego ich wykładu. Ochotnicy wprawdzie i teraz nie są odrzucani, i często można widzieć lordów i członków parlamentu występujących w roli profesorów; lecz tamci właściwie są z powołania uprzywilejowanem na to ciałem. Oni żyją z tego, są wędrowni i jeżdżą od jednego instytutu do drugiego gdzie ich zamawiają do dawania odczytów;— mówię odczytów, bo ten wyraz zdaje się być przez was przyjęty zamiast prelekcyi, chociaż właściwie, rzadko

kto z nich odczytuje z pisma, lubo i tego nie wyłącza się, lecz pospolicie ustnie swój przedmiot wykłada, jakby improwizacyę. Taki sposób uważany jest za stósowniejszy, przemawiając do prostego ludu, i nauka przystępniejszą staje się do pojęcia.

Dla tego co wy nazywacie odczytem, a oni lekturą, niejest ani jednem ani drugiem, ale właściwiej możnaby nazwać rozprawą, albo raczej rozprawianiem, a to tem bardziej, gdyż po skończonym wykładzie zwykle następuje dyskussya między wykładającemi przedmiot a jego słuchaczami, w sposób jak się odbywają dysputacye uniwersyteckie. Wykład przedmiotu zajmuje półtory do dwóch godzin czasu, a po nim dyskusya rzadko kiedy dłużej nad kwandrans. Dyskusye prowadzą się z przyzwoitością, unikając wszelkiej obrazy; inaczej prezydujący głos odbiera.

Uczęszczają do instytutów równie mężczyźni jak kobiety; na literackich i muzykalnych przedmiotach jak uważałem, liczba ostatnich bywa nawet znaczniejszą.

Na większą część odczytów członkowie instytutu wchodzą darmo, a na kosztowniejsze, jako koncerta dawane przez znakomitych artystów stolicy, za pewne opłaty, i każdy członek ma wtedy prawo, wprowadzić jedną osobę nieczłonka za podwójną opłatą biletu; Instytut mechaniczny w Manchester uchodzi za najliczniejszy, liczba członków wynosi przeszło 4,000.

Każdy instytut choćby najmniejszy, ma swą bibliotekę, gabinet historyi naturalnej i innych ciekawości. Utrzymuje pisma peryodyczne i gazety, bo dla wszystkich przyjęta jedna zasada, i też same wszędzie znajdują się urządzenia. Wszystkich ma być do 900 w całym kraju; kompletna rzeczpospolita uczona, niezależna od żadnej władzy; komitety i prezesowie obierani bywają corocznie. Zważając na mnóstwo tych instytutów, i oraz na przedmioty w nich wykładane, lubo nie co dzień, ale podług reguły najmniej raz na tydzień, i dla słuchaczy płci obojej, starszych i młodych, najczęściej od 300 do 500 osób w przecięciu a czasem nawet do 1000 z górą, jaka to masa oświaty staje się udziałem ludu!... A przecież są to tylko zaczątki, ziarnka rzucone, które mają na przyszłość rozwinąć się

*16

w plon. Drzewo wiadomości wzrasta, daj nam Boże, rozeznanie dobrego od złego.

W tych dniach byłem na jednej takiej rozprawie w instytucie, przedmiotem jej były lody — nie kra, ale góry lodowe i to nawet nie północnej półkuli, co bliżej nas; ale lodów pod biegunem południowym. Wykład o nich dawał pan Towson. Poznanie natury tych lodów nader jest ważném dla żeglugi. Niedawno słyszeliśmy, że Ks. Napoleon zmuszony był zaniechać dalszych swych badań pod biegunem północnym, z powodu zbytecznego napływu lodów ku południowi, a które na Europę tyle zimna pod koniec lipca były naniosły. Według pana Towson, mają one w większych nierównie masach znajdować się na półkuli południowéj niż na północnéj, i dalej się rozciągać ku równikowi.

Lodów tych dwa są gatunki: jedne tworzą się od wielkiego zimna pod biegunami i pływają na powierzchni wody jak kra w bryłach — te, choć są zawadą dla żeglugi, nie grożą wielkiem niebezpieczeństwem okrętom, drugie są góry lodowe (*icebergs*) pływające w bliskości obu biegunów po morzu, sterczące wysoko po nad jego powierzchnią.

Natura ich tajemnicza, trudno się do nich zbliżyć i zbadać, bo niebezpieczno. Nie są one jak pierwsze krą, ani powstały jak kra z zmrożonej morskiej wody, bo morska woda jest słona, gdy przeciwnie formacya olbrzymiej wielkości gór lodowych, nie jest ze słonej, lecz ze słodkiej zwyczajnej wody. Wnoszą więc ztąd — gdyż niemożna inaczej wytłómaczyć tej cudownej tajemnicy natury, chyba tym domysłem, iż te pływające góry lodowe, których skład ma być ten sam co lodów *glaciers*, w Alpach ze śniegów utworzonych, a zsuwających się w doliny, były nie czem inném jak tylko odłamkami gór, znajdujących się tuż pod obydwoma biegunami. Ależ jakie to były odłamki! Dość tu dać opis jednego, jaki w drodze do Australii, przy okrążeniu przylądka Dobrej Nadziei o 200 mil angielskich od brzegów Afrykańskich, zdarzyło się widzieć. Był to szereg gór lodowych pływających na morzu, rozciągający się w kształcie półpodkowy, na 80 mil angielskich, (około 20 mil polskich) wzdłuż. Jedne większe, drugie mniejsze, jakby ogniwa łańcucha leżały nieprzerwanie i tuż

wedle siebie. Prawie w samym środku téj półpodkowy był przedział i zdawało się, że morze tam wolne. Tą ciaśniną parowiec angielski próbował przepłynąć w swej drodze do Australii, lecz zbliżywszy się do niej znalazł na kilka stóp w głębi pod wodą grubą massę lodu, która stawiła mu nieprzebytą zaporę do przejścia. Widać było, że te obie połowy łańcucha gór lodowych, które na pierwszy rzut oka wydawały się być rozdzielone, trzymały się razem, składając jedną nierozdzielną massę lodu, niebezpieczną dla żeglugi; jakoż właśnie tam przed niejakim czasem jeden okręt był się rozbił.

Góry te były różnego kształtu i wielkości, większa ich część od 100 do 200 stóp wysokości nad powierzchnią morza, a jedna najogromniejsza miała blisko 300 stóp. Jak głęboko zaś zanurzone były pod powierzchnią morza, to podobno zostanie wieczną tajemnicą, lubo niektóre podobne pod północnym biegunem starano się zmierzyć, lecz one tam bywają nierównie mniejsze. Szerokość zaś tego łańcucha zajmowała w poprzek do 20 mil ang. czyli 4 $^1/_2$ mil polskich. W obec takiej masy, czyli krainy lodów, acz tylko w wyobraźni, na samą myśl o nich aż się nam obecnym w sali chłodno zrobiło, lubo na dworze był upał. Zdjęto fotografię, z tego zjawiska którą p. Towson przyniósł z sobą na pokazanie. Miano też na podoręczu stereoskop, aby za pomocą jego wszystko dostateczniéj widzieć i pojąć. Spojrzawszy przezeń na fotografię tę najwierniersza rysowniczkę przyrody, przedstawiły mi się w perspektywie bliskiej i w nieprzejrzanej dali, sterczące góry, wąwozy, przepaście, tak jakbyście sobie wyobrazić mogli Karpaty wśród zimy, kiedy szczyty ich, urwiska skał, doliny i lasy są nasute śniegiem, bielejące jakby od śmiertelnej koszuli, pod którą cała natura z tem co żyje legła pogrzebaną. W niektórych miejscach dały się postrzegać jakby stawy i jeziora: bo te góry lodów przypłynąwszy pod szerokość zwrotników, z czasem tają od ciepła, tworzą jeziora słodkiej wody, i w końcu — ale lat wielu na to trzeba— rozpływają się w oceanie. Sąsiedztwo ich łatwo rozeznać, bo od legowisk ich wionie naokoło przenikające zimno, albo raczej zima, i termometr znacznie spada. Dziwna rzecz, że one na południowém półkolu znajdują się aż pod 40 stopniem szerokości geograficznej, co

z górami lodowatego morza północnego jest bez przykładu, gdyż przez to klimat całej Europy byłby znacznie zmieniony. A ponieważ góry te wielce są niebezpieczne dla żeglugi do Australii, którą w tej porze Anglia osadami swemi zaludnia; przeto p. Towson przysługę wielką przyniósł nietylko dla Anglii ale w ogóle dla żeglugi wszystkich narodów handel prowadzących, że wynalazł w szerokościach wyższych i ku biegunowi zbliżonych inną bezpieczniéjszą drogę do Australii, a na któréj lubo ta jest dłuższą, takich gór lodowatych nie spotyka się, i okręty nierównie rychléj tam zawijają. Drogę tę nową wynalezioną przez siebie nazwał wielką okrążną żeglugą (Great Circle Sailing) i opisał ją w dziełku wydanem r. 1848 pod tym tytułem. Pan Towson o którym tu tyle piszę, był prostym mechanikiem w królewskich dokach w Devonporcie; lecz przysługa jaką przez swe odkrycie zrobił dla żeglugi, przywiodła go do fortuny i poważania w kupieckich gronach. Kupcy z Liverpool prowadzący handel z Australią, uznając jego przysługi dla żeglarstwa, przeznaczyli mu znaczną nagrodę i dożywotnią pensyę, tak że mógł się zrzec swéj służby i żołdu w rządowych dokach. Nagrody które zasłużeni ludzie otrzymują od rządu angielskiego, bywają w ogólności małe i prawie niczem w porównaniu z temi jakie zyskują się od publiczności. Niezmierny to daje popęd w naukaah i sztukach, ale zarazem i utrudnia zawodnictwo.

Na innem znów posiedzeniu instytutu mechanicznego była rzecz o Szekspirze, wszystkie bowiem odczyty w tych zakładach bywają w wieczornych godzinach jako wolnych od pracy dla ludu. Sala z galeryą na około, obejmowała z górą do tysiąca słuchaczy: mężczyzn, kobiet i dorośléjszéj młodzieży, aby słuchać co się powie o ulubionym swym dramatycznym poecie. Pan Dawson, jeden z owych wędrownych lektorów o których powyżej wspomniałem, zjechał był umyślnie, by udzielić bliższéj wiadomości o ulubionym pisarzu. William Shakespeare tj. Szekspir, jakeśmy jego imie z wymawiania sobie spolszczyli, urodził się dnia 23 kwietnia roku 1564 w Stratfordzie nad Awonemi, dziwnem zdarzeniem umarł w samą rocznicę swych urodzin r. 1616. Synem był rzeźnika, i dom w którym się urodził, starannie

jest dotychczas zachowywany — z resztą mało o nim z pewnością wiadomo. Pierwsza historyczna wzmianka o Szekspirze znajduje się z roku 1589, gdzie mowa o nim, jako o jednym z właścicieli teatru londyńskiego na *Blackfriars*, kiedy miał 25 lat wieku. Wtenczas to pewnie miał on sposobność rozwinąć swój geniusz dramatyczny, i musiał już dobrze być z utworów swych znanym, kiedy we trzy lat później r. 1592, wywołał na siebie zawiść zjadliwego krytyka, niejakiego Roberta Greene, który wyszydzał niewiązane jego wiersze, jako bombastyczne i obmawiał go nawet o grabieże na swych poprzednikach popełnione. Szyderczo nazywa on Szekspira podlotną wroną (*upstart crow*) przystrojoną w cudze pióra. „Z tygrysiem sercem w kuglarza szubie;“ mieni go być Totumfackim (*Johannes Factotum*), a najgrawając się z nazwiska jego i profesyi aktorskiej, przezywa go zarozumiałym w kraju Trzęsi-sceną (*Shake-scene.*) Lecz jak na przekor zawistnym krytykom, Szekspir nie przestawał coraz bardziej wzbijać się w sławę i wziętość, tak że w sześć lat później przez jednego z owczesnych krytyków ogłoszony został największym z dramatyków angielskich w tragedyi równie jak w komedyi. Zdaje się atoli, iż więcej słynął on z dzieł swych jako pisarz, niżeli z gry aktorskiej, kiedy w czasie przedstawienia najszczytniejszego z utworów swoich jakim jest „Hamlet,“ tylko do tak podrzędnej roli jak duch, Hamleta był używany. Wrażenie wszakże jakie Szekspir wystąpieniem swem w tej roli sprawiał na widzach musiało być niepospolite. I któż potrafiłby ją lepiej wydać, jak ów co będąc weświęcony w tajemnice duchów, pojęcia umysłowego świata tak trafnie umiał uzmysłowiać? Całe siły wielkiej jego duszy musiały byćześrodkowane na wydanie tej podziemnej, a przecie nadziemskiej roli. Lecz mówię o tem nawiasem, jako mogące być przydatnem dla czytelników polskich. Lektor Dawson jako przemawiający do publiczności angielskiej obeznanej i z życiem poety i umiejącej pisma jego na pamięć, niewidział potrzeby nad niemi wiele się rozwodzić, pominął je więc całkiem jako rzecz zbyteczną, a całą uwagę zwrócił na krytykę — nie na krytykę samego Szekspira, bo to byłoby bluźnierstwem, jakiego by nikt z słuchaczów niemógł znieść, aniby mu jej też

darował, ale na krytykę tych, którzy śmieli Szekspira krytykować. Naprzód ostro powstawał na tych co jego pisma niedbale wydawali, a potem na tych, co zepsuty tekst poprawić chcieli. Pierwszymi wydawcami niektórych sztuk Szekspira byli właśni jego współaktorowie i jak się zdaje wydali je z niedokładnych kopij, jakie się w ich repertoarze teatralnym znajdowały. Wyszły one bez jego wiedzy — bo Szekspir sam mało podobno dbał o swe pisma — z mnóstwem omyłek drukarskich, bez zachowania właściwej interpunkcyi; wiersze były częstokroć drukowane w jednym ciągu jak prozą, proza jak wiersze. Niedbałość ta tem bardziej nie jest do darowania, zwłaszcza że rękopisy Szekspira ile ich się dochowało, są pisane wyraźnie, czysto i nawet piękną ręką. W ten sposób wiele z utworów jego wyszło z druku, niektóre pojedynczo w całości, inne tylko w urywkach za jego życia, t. j. począwszy od roku 1593, w którym egzemplarz jego „Tytusa Andronika“ podług zwyczaju aż do dziś dnia używanego, był złożony w *Stationers Hall.* Tragedya „Hamlet“ była tamże złożona r. 1602, lecz był to pierwszy jej zarys, bo drugie jej wydanie rozszerzone niemal o połowę więcej i doskonalej wypracowane, wyszło dopiero roku 1604. Jest to Hamlet, w tym kształcie jakiego dziś posiadamy. Nastąpiły potem inne wydania: „Król Lear“ r. 1608, a „Troilus i Kresyda“ tudzież „Perykles“ r. 1609. „Ottelo“ wydany dopiero 1622, to jest w sześć lat po śmierci autora. W rok później, r. 1623, wyszedł nakoniec zbiór wszystkich dzieł jego, in *folio*, nieoceniony skarb, przewyższający wartością wszystko, co kiedykolwiek przed nim było pisane dla teatru.

Pierwotne wydania Szekspira zaginęły z tych samych przyczyn, z jakich u nas tyle dzieł z wieku zygmuntowskiego zatracono. Ile zaś teraz są cenione, dość mi przywieść na przykład to, co w obecnej chwili literatów angielskich mocno zajęło. Jeden tylko egzemplarz „Hamleta“ z roku 1602 był im znany, znajdujący się w zbiorach zabytków księgarskich u księcia Devonshire. Był on ułomny, bo brakowało w nim ostatniej karty. Drugi teraz odkryto egzemplarz drukowany tegoż Hamleta, w pierwotnym, jak go Szekspir był ułożył zarysie, lecz bez początkowej karty, a zresztą dochowany w ca-

łości, i z ostatnią na szczęście, której w pierwszem wydaniu brakowało. Wielka ztąd radość między bibliofilami, że wydanie Hamleta, posiadają całkowite. Egzemplarz ten drugi, zawierający pierwszy pomysł i niejako tylko szkic do Hamleta nabył pan J. Halliwel do swego zbioru, za 120 funt. szter. — niemała to summa za kilkanaście kartek dawnego druku. Rzadkość zabytku uczyniła go tak drogim. Łatwo ztąd pojmiecie, ile Anglicy przywiązują ceny do wszystkiego, co pochodzi od Szekspira. Hamlet bezwątpienia jest największym z jego wielorakich utworów.

Szekspir miał później rozmaitych wydawców i komentatorów, a w ich liczbie nawet takich, jak poeta Pope, Warburton, Johnson i Melon. Każdy z nich—jak p. Dawson dowodził — coś z tekstu, według swego widzimisię przeistoczył, słowa i całe sentencye przemieniał niby poprawiał, a w istocie psuł. Pochodziło to częścią z niezrozumienia poety, a częścią z pedantycznej zarozumiałości opierającej się na klasycznych wzorach. I tak, Jackson drukarz, który r. 1825 najlepszą ze wszystkich edycyę Szekspira wydał, lubo w przedmowie do niej utrzymywał że tekst oryginału jak najsumienniej szanował, przyznał się przecie do 700 poprawek przez siebie zrobionych. Wydawca Seymour któremu wiersz poety nie podobał się, poprzerabiał go całego na dziesięcio zgłoskowy czyli tak zwany aleksandryjski. Jedni wydawali różne sztuki z zastósowaniem do reprezentacyi na scenie, wyrzucając z nich to co się zdawało mniej potrzebnem lub rażącem dla widzów, drudzy robili wydania dla młodzieży — *editiones expurgatas*, jak zwyczajem było drukować klasyków rzymskich we Francyi *in usum Delphini* — okrzesując sztuki Szekspira z miejsc rażących rubasznością, wywołujących rumieniec, i według ich zdania, przeciwnych moralności. Społeczność cała wieku osiemnastego, tak angielska jak innych krajów, była ukształcona na francuzkich wzorach i pojęciach — uczeni i piszący nieznali i znać nie chcieli innych arcydzieł prócz greckich i rzymskich, lub podobieństwo do nich mających, słowem, byli klasykami, a Szekspir był Gotem, wyobrazicielem nie słonecznego południa, lecz pochmurnej północy — tłómaczem pojęć, uczuć i podań brytańsko - skandynawskim pokoleniom

właściwych. Różny on tak od klasyków jak architektura gotycka różni się od greckiej, włoskiej lub francuskiej. Dla tego niedziw, że nie był od nich zrozumiany. Sam Milton, wzniosły autor „Raju utraconego“ nazywa utwory jego leśno-dziką nutą *(wood notes wild)* później Thomson, śpiewak „Pór Roku,“ przypisując mu podobnież dzikość, zowie go po prostu dzikim *(wild Shakespeare.)* Jeżeli taki sąd wydawali o nim anglicy, cóż tedy mówić o cudzoziemcach, a zwłaszcza o francuzach, u których klasycyzm znajdował najdłużej swój przybytek i miał najliczniejszych czcicieli. Według zdania Woltera, Szekspir był potwornym barbarzyńskim poetą. Nieinaczej też zapatrywał się Ducis na jego tragedye, tłómacząc je, albo raczej okrzesując na cywilizowany język i ucywilizowany teatr francuski. Usuwał on duchy, mordy, grabarzy, czarownice, całkiem ze sceny za kulisy, aby ich dziką postacią nieobrażać polerowanego zgromadzenia widzów; odmieniał, by się im przypodobać, same nazwiska osób dramatu na inne jako lepiej brzmiące dla spieszczonego francuzkiego ucha, i ubierał bohaterów w peruki, koronki i mankiety. Nikt nieumiał doskonalej robić parodyi z Szekspira jak p. Ducis — był on w tem mistrzem. A przecież u nas nieznaliśmy Szekspira jak tylko z bazgranin francuzkiego przerabiacza.

Winszuję przeto literaturze polskiéj, że ten wielki dramatyk angielski znajduje w téj chwili u nas niejednego ale kilku naraz tłumaczów. Przez usilność swą, potrafią oni przecie zatrzeć tę plamę w literaturze i zapełnią istniejącą dotąd próżnię. Z pomiędzy wszystkich krytyków, Niemcy najwięcéj oddali należną sprawiedliwość Szekspirowi, mianowicie Schlegel, który zgłębiwszy dostatecznie ducha jego utworów, nie tylko je dobrze przełożył, ale i samego autora wyjaśnił. Geniusz ma swe wewnętrzne prawa, któremi się rządzi: trudno i nie należy mu narzucać innych z obcych wzorów lub z mody, ani z nich wyrokować o jego utworach. Szekspir nie był Eschilem ani Eurypidesem — a mniéj jeszcze Kornelem lub Rasynem, naśladowcami tragików greckich, ale był tém czego po nim geniusz północy i plemienna jego narodowość wymagała. Wyobrażenia i obyczaje, historya i legendy ludu północnéj sfery były jego tematem; na nich osnował „Leara,“ „Makbeta“ i „Hamleta“

swych „Henryków“ i „Ryszarda III.“ Nie pominął on Greków i Rzymian, na dowód czego jest jego „Perykles“ i „Timon ateńczyk“, „Koryolan“, „Juliusz Cezar“, „Antoniusz i Kleopatra“; na każdém z nich jednak tak silne wycisnął swego ducha piętno, iż je Anglii przyswoił, unarodowił. Niepominął także dziejów potężnych wówczas rzeczpospolitych włoskich, dowodem tego: „Kupiec wenecki“ żyd, „Otello“, „Romeo i Julia.“ Najpospolitsze zdarzenia życia nie uszły jego uwagi i osnował na nich liczne swoje komedye, w których uosabiał różne śmieszności i przywary wieku w istotach takich jak Malvolio, Shallow, Dogberry, Touchstone i Falstaff, który rozweselał swym dowcipem tak jak wino.

W co tylko ludność na północy wierzyła, i nawet co było czystym utworem własnej jego bujnej wyobraźni, jakoto: czarownice, Ariel, Caliban — to wszystko na widownię wyprowadzał; bo uniwersalność jest udziałem geniuszu. Uniwersalnością tą przeszedł Szekspir swych poprzedników i nie znajdujemy równych mu następców. Przekłady jego sztuk dramatycznych znajdują się we wszystkich główniejszych językach europejskich. W tych dniach dowiedziałem się, że Juliusz Cezar przetłómaczony został na francuzkie, rozumie się poprawniej, by się nie wstydzić za p. Ducis. Drugi zaś przekład tej tragedyi gotuje Anglik pewien w języku łacińskim. I tak za lepszem pojęciem rzeczy i zdrowszym smakiem, widzimy północny gotyzm, albo jak go inaczej zowią, romantyzm, występujący teraz w kroju i w mowie południowego klasycyzmu. Ciekawą rzeczą coby na taką przemianę pomyślał *Populus Romanus*, ów lud rzymski, przyzwyczajony słyszeć na swej widowni Plauta i Terencyusza, i jakby przyjął owe słowa przez brytańskiego tragika włożone w usta Brutusa, przemawiającego do ludu: „*Not that I loved Caesar less, but that I loved Rome more. As Caesar loved me, I weep for him; as he was fortunate, I rejoice at it; as he was valiant, I honour him; but, as he was ambitious, I slew him. There is tears, for his love; joy for his fortune, honour for his valour; and death for his ambition. Who is here so base, that would be a bondman? If any, speak; for him have I offended. Who is here so rude, that would not be a Roman? If any speak; for him I have offended.*

*Who is here so vile, that will not love his country?..*“ *)

Ta mowa tak trafiła, podług Szekspira, do przekonania Rzymian, że nietylko przyjętą była z powszechnym okrzykiem, ale nadto powstały wołania: „żeby nikt po niej słowa nie mówił.“ Po Szekspirze Wolter pisał Cezara, lecz gdy go się przeczyta, lubo Wolter miał wzór angielski przed sobą i mógł z niego korzystać, — wydaje się ckliwą jego parodyą. Tak angielski Cezar nad francuzkim góruje.

Powiedziawszy tyle o poezyi i o poetach, pozwólcie mi cokolwiek dodać o naukach ścisłych. Obszary ich w naszym wieku rozległe. Mam tu na myśli najnowszą i najważniejszą ich zdobycz: *Telegrafy elektryczne.* Wypada mi o nich mówić z okazyi uczty danej tu przed niewielu dniami dla profesora Morse, któremu Ameryka zawdzięcza urządzenie telegrafów swych w różnych kierunkach na 40,000 mil angielskich, a którego system w całej już zaprowadzony Europie. Zajmuje się on teraz połączeniem telegrafem Anglii z Ameryką przez morze Atlantyckie, prowadząc drut z Irlandyi do New-Foundland, gdzie Ameryka i Europa najbliższe siebie, a morze najmniej głębokie. Drut na ten cel już przygotowany, leży zwinięty — dno morza, jego wzgórza, zaklęsłości i równiny głębin, są zbadane na całej linii, którędy ten misterny drut ma być puszczony. Drugi podobny telegraf, jak wam wiadomo, przygotowuje się na morzu środziemnem, dla połączenia Europy z Afryką; a trzeci uprojektowany w Anglii na wschód, dla komunikacyi z Indyami wschodniemi. W ten sposób rzucają się fundamenta do szybkich komunikacyj na całej kuli ziemskiej, szybszych niż kolej żelazna, gdyż ta służy tylko dla ciała i materyi, gdy przeciwnie tamte mają służyć dla myśli i ducha. Są to jeszcze same początki

---

*) „Nie iżem mniej kochał Cezara, lecz żem Rzym więcej kochał. Że Cezar mię kochał, płaczę za nim; że był szczęśliwy, cieszę się z tego; że był walecznym, szanuję go; lecz że był wyniosłym, zabiłem go. Mam więc łzy dla jego miłości; radość dla jego szczęścia, cześć dla jego waleczności, a śmierć dla jego wyniosłości. Któż jest tu tak nikczemnym, coby chciał być poddanym? Jeśli jest, niech przemówi, bom go obraził. Któż jest tu tak nieokrzesanym, coby nie chciał być Rzymianinem? Jeśli jest, niech przemówi, bom go obraził. Któż jest tu tak podłym, coby nie kochał swojej ojczyzny?...“

telegrafów, które z czasem obejmą całą ziemię w swą sieć; a wtedy myśl błyskawicą rozlatywać się będzie po jej przestrzeniach, sięgając najodleglejszych ich krańców. Siła elektryczności należy bezwątpienia do najcudowniejszych w przyrodzeniu, a użycie jej do telegrafów jest tryumfem umiejętności naszego wieku. Nie wie świat uczony komu przyznać palmę tego wynalazku: spór zacięty o to się toczył w dziennikach. Ile z mów przy obiedzie mianych wyrozumieć było można, przypisuje się on jednocześnie trzem lub czterem osobom, między któremi na czele stawiany był prof. Wheatstone; wspomnienie też zrobiono o Oesterdzie duńczyku, jakoby on był świadomym teoryi telegrafów. Przedmiot ten zostaje więc niewyjaśniony, a profesor Wheatstone choć zaproszony, nie był na obiedzie.

On jeden mógłby może najlepiéj tę zagadkę rozstrzygnąć. W całéj téj sprawie można to powiedzieć, że jedni niezawodnie przyczynili się więcéj do teoryi, a drudzy więcéj zastósowaniem jéj w praktyce. Prof. Morse w mowie swéj mianéj na uczcie a nacechowanéj skromnością jaka przystoi prawdziwéj zasłudze, nieprzypisywał sobie żadnéj chwały pod względem teoryi, niepoliczał się do pierwszych jéj wynalazców; lecz że jedynie starał się ją zastósować do potrzeb życia. Mówił on o sobie skromnie, że człowieka przeznaczeniem jest być narzędziem dobrego, jeźli tylko chce dopełnić swego posłannictwa. Temu co mu dał popęd i wskazał cel, należy wszelka cześć i zaszczyt. Dla niego samego jako narzędzia, dość zaszczytu, że jest współpracownikiem w podrzędnéj sferze w celach tak zbawiennych dla świata.

Kiedy taka niepewność panuje w tak ważnym przedmiocie i kiedy spór wiedzie się o wynalazek teoryi tak ważnéj jak telegrafu elektrycznego, gdy go odmawia sam sobie prof. Wheatstone, któremu go przysądzają, iż wynalazek ten w Anglii w praktykę wprowadził, — winienem przytoczyć, że pierwéj nim co o telegrafach elektrycznych w Londynie lub gdzie indziéj słychać było, to jest na parę lat zanim się do nich wzięto, jeden z naszych rodaków z ich teoryą się nosił; mnie samemu ją tłumaczył, o korzyściach ich marzył. Ten sam Polak wszedł dla polepszenia swego losu, w obowiązki

inżynierskie u prof. Wheatstone w Londynie, i jak mi sam nieraz powtarzał, nie tylko przedstawiał mu swą teoryą, ale na drutach praktyczność jéj objaśniał. Lecz cóż na to profesor powiedział? Oto te słowa: „Wszystko to dobre, aleby się przydało tylko do korespondowania z żoną w drugim pokoju.“ Jednakowoż profesor nie był tak ograniczony jakby się wydawało. Nasz rodak wkrótce otrzymał korzystną posadę jako inżynier do budowania mostów i dróg (ponts et chaussées) w Rzpltéj Wenecuelskiéj w Ameryce, z najlepszemi zaświadczeniami od prof. Wheatstone. Dopiero po jego wyjeździe posłyszeliśmy o rozpoczętych robotach nad telegrafami. Nieujmuję w tem zasługi prof. Wheastone, że teoryą w praktykę zamienił; lecz z tego co się mówiło, wynalazek sam zdaje się do kogo innego należeć. Wymieniam tu naszego rodaka po imieniu, zowie się on *Wojciech Lutowski*, niegdyś uczeń Instytutu Politechnicznego w Warszawie, gdzie również dobrze był mi znany. Od czasu wyjazdu jego do Wenezuelli, nieotrzymaliśmy od niego żadnéj wiadomości.

Od epoki wędrówki narodów niewidziano takiego ruchu ludności na zachód, jaki był w ciągu lat ostatnich. Rzecz zastanowienia godna, ile to jéj wychodzi z Europy, z starego do nowego świata, biorąc tylko Stany Zjednoczone Ameryki. Od r. 1819 ogół emigrantów do Stanów Zjednoczonych wynosił 4,212,624 dusz, z nich 2,343,445 zrodzonych w królestwie W. Brytanii. Najwięcéj ich wyszło w ciągu roku 1854, bo 427,833 osób, a w ich liczbie 206,054 z Niemiec. Przeszłego roku 1855, było wszystkich wychodźców 200,877 tylko, włączając w to 66,219 Niemców. Z całéj téj emigracyi od roku 1819 na 2,343,445 poddanych angielskich, liczono 1,747,930 samych Irlandczyków. Niemcy wydały 1,242,082; Francya 188,723; Szwajcarya 32,071; Szwecya z Norwegią 29,441; Chiny najwięcéj do Kalifornii, 16,714, Włochy 7,185; Rosya 938; Polska 240, a Turcya 123. Wiele także przenosiło się do Stanów Zjednoczonych z sąsiednich krajów Amerykańskich, np. z Meksyku 15, 960, z posiadłości Angielskich w Kanadzie 91,699, z wysp Zachodnio-Indyjskich 35,317. Z Indyj Wschodnich było 101, z Przylądka Dobréj Nadziei 2, a 20 z Australii. To poniekąd tłomaczy przyczynę nadzwy-

czajnego wzrostu ludności w Stanach, kiedy taki był jéj napływ zkądinąd.

Letnią porą najmniéj w Anglii pism wychodzi i najmniéj ich się czyta. Dla tego tą razą literaturę wcale pomijam. Nadmienię tylko o stratach jakie w przeszłym miesiącu poniosła. Umarł w bardzo podeszłym wieku Admirał Sir John Ross znany z swych morskich ekspedycyj roku 1818 do Baffins zatoki w celu odkrycia północno zachodniéj drogi do morza Spokojnego. Wydał o tem dzieło: „*Voyage of Discovery*“ a między innemi pismami jego znajduje się także jedno o żegludze parowéj. Wszedł do służby morskiéj r. 1786, i okryty był 13 ranami, które w różnych bitwach otrzymał. Sprawował też przez kilka lat urząd konsula w Sztokholmie. — Umarł także p. Becket pisarz humorystyczny, jeden z piszących do *Puncha* czyli angielskiego „Charivari“, i autor dziejów pod tytułem: *The Comic History of England.* Był sędzią w sądach policyjnych. Trzecim zmarłym wspomnienia godnym jest Yarvell naturalista, autor najgruntowniejszego dzieła o ptakach i rybach brytańskich, i pisarz rozmaitych rozpraw w zakresie historyi naturalnéj ogłaszanych w rocznikach Towarzystw Linneuszowskiego i innych zoologicznych. Posiadał znaczny zbiór ksiąg i gabinet historyi naturalnéj. Pan Yarvell miał rozwiązać zadanie od wieku Pliniusza utrzymujące w wątpliwości naturalistów, a tyczące się węgorzy, bo doszedł, że one należą do rzędu noszących jajka (ovipara). Czwartą stratą jest Sir R. Westmacot, jeden z najznakomitszych snycerzy i członek Akademii królewskiéj. Do arcydzieł jego dłuta liczą Psychę i pomniki Foxa i Abercrombie w Opactwie Westminsterskiem, a lorda Collingwood w kościele ś. Pawła. Kolosalna bronzowa statua Achillesa w Hyde-Parku, na pamiątkę zwycięztwa odniesionego przez Wellingtona pod Waterloo, jest także jego dziełem. Żył 82 lat.

---

Do T. IV (z 1856) pa m. 257
za październik

# GAZETKA LITERACKA.

**Kraków.** Z trzech drukarni Krakowskich założonych na obszerną skalę, mimo że ciągle są w ruchu, mniéj daleko wychodzi książek niżby wychodzić powinno. Dla tego liczba drukarń niemoże być wziętą za miarę literackiego ruchu. —

Do najswieższych nowości należą Kalendarze na r. 1857. *Kalendarz dla rodzin Katolickich* wydany przez W. Wielogłowskiego odznacza się dowcipnemi rysami z życia towarzyskiego;— *Kalendarz powszechny* Juliusza Wildta, ozdobnem wydaniem, drzeworytami, zbiorem potrzebnych wiadomości i wskazówek gospodarczych. - *Kalendarz Krakowski* Czecha, słynie z przepowiedni, które nigdy nieprzestaną się sprawdzać, dopóki na swiecie słońca i zimna, dészczu i sniegu, ciszy i wiatru.

Wydawnictwo katolickie ogłasza niezmiernie zajmujące *Obrazki z obyczajów ludu Wiejskiego*, napisane p. W. Wielogłowskiego: Jest ich już trzy; teraz cwarty i piąty, wychodzi z druku pod napisem: *Wsiowi Złodzieje*, i Szkodnicy, oraz: Niedbali Rodzice i Występne dzieci. Literatura tak zwana ludowa przybiera tu właściwą sobie formę przystępną dla ludu.

W témże wydawnictwie kończy się druk bardzo wziętéj dziś powieści kardynała Wiesemana: *Fabiola*, przetłumaczonej na polskie. Pomimo wielu scen głębokiego czucia i dramatycznego efektu, napisana jest ona właściwie dla protestanckich Anglików, aby im pokazać że Sakramenta nie są pózniejszym wymysłem kościoła, ale wypływają z ducha pierwszego Chrystyanizmu, o czem katolicy są w gruncie przekonani. — Toż wydawnictwo zajęło się wydaniem pośmiertnych pism X. Metropolity Hołowińskiego; z téj liczby drukuje się już przekład Hymnów kościelnych, wierszem rymowym.

Do nowości mających się niebawem ukazać, należą dwie trajedye wierszem białym: *Samuel Zborowski* i *Jadwiga*. Ma to być owoc wieloletniéj pracy męża znanego z pism swoich na polu historycznem.

W drukarni *Czasu* wyszły w odbiciu z Tygodnika Rolniczo-Gospodarczego: *Notaty Gospodarskie* Gostomskiego; jest to przedruk staréj i rzadkiéj broszury, pełnej staropolskiego ro-

zumu i prostoty prawdziwie rolniczéj; pod względem języka rzecz arcy szanowna. Wydał ją i objasnił Jan Radwański.

— Karol Langie ogłosił *Sprawozdanie* z wycieczki do Szląska górno-pruskiego i do Łużyc Saskich, w r. 1856 odbytej. Ciekawe znajdujemy tu postrzeżenie co do powtarzania się tych samych nazwisk siół u Łużyczan, jakie znajdują się w Krakowskiem — i tak koło Budyszyna są wsie: Smierdząca, Nowa wieś, Kasów, Chrost, Cholesów, Kwaczyca — a niepodal od Krakowa także jest: Smierdząca, Nowawieś, Kasów, Chrośna, Cholerzyn, Kwaczała.—Podobnych przykładów podaje wiele — coby mogło naprowadzać na myśl że Wendowie dali początek wielu osadom Krakowskiego. —

— C. k. Towarzystwo Naukowe Krakowskie zwołane na d. 25go Października zajęło się wyborem prezesa, sekretarzy i prezydujących we wszystkich trzech wydziałach: Nauk moralnych, przyrodzonych i Archeologii. — Prezesem został wybrany Kasztelan Franciszek Wężyk.

— Teofil Żebrawski kończy druk 9go Tomu Histor. Lit. polskiéj Wiszniewskiego. Mając on dane sobie urywki tylko wypisów i notat, podjął się uporządkować i uzupełnić krytycznie ten tom ostatni, a oraz przydać *Index* któryby ułatwiał znalezienie się w téj massie nazw i szczegółów.

— Dowiadujemy się, że Wincenty Pol dał już do druku swój poemat *Wit Sztos* -- niemniéj robi trzecie wydanie *Mohorta*, i nowe wydanie Benedykta Winnickiego, powiększone poematem zupełnie nowym: *Stryjenka*. Wróciwszy także z ostatniéj swojéj wycieczki z nad Dnjestru i z *Pokucia* pisze obecnie obrazki z Pokucia w sposobie notatek z popasu.

— Dr. Zygmunt Helcel doprawdził już do 65 arkusza druk swego działa mającego tytuł: *Pomniki* Ustaw, praktyki Sądowej i nauki dawnego prawa polskiego. —

Texta obejmujące 54 arkusze druku, składają się z następujących zabytków Kaziemierzowskiego prawodawstwa: Statut Wiślicki i Summa do niego — Ordynacya Salin. – Przywilej lokacyi Sądu wyższego prawa Niemieckiego na Zamku Krakowskim. — Przywilej Akademii Krak. — Statuta Mazowieckie Xiążąt linii Płockiéj od r. 1426. — Dyplom inkorporacyi ziemi Gostyńskiéj do Korony. — Wyciągi z najdawniejszych ksiąg Sądowych Ziemstwa i Grodu Krakowskiego. — Statut Wartski Wład. Jag. — Statuta Synodalne prowin. Gnieźnieńskiéj od 1233—1406. Wszystko to poprzedza Wywód historyczno-krytyczny o prawach Kazimierzowskich. Owoc wieloletnich badań uczonego męża, który tem dziełem postawi niepożyty pomnik prawodawstwu polskiemu.

**Lwów.** W zakładzie naukowym, Imienia Ossolińskich, odbył się coroczny obchód uroczystem posiedzeniem na d. 13 października. Kurator zakładu hr. Maurycy Dzieduszycki zagaił posiedzenie rysem stanu tego zakładu, który w początkach gdy biblioteka sprowadzona została do Lwowa r. 1826 liczył ksiąg 35 tysięcy, gdy dziś ilość dzieł wynosi 48 tysięcy a liczba tomów 80 tys. — Rękopismów było w ówczas około 700, dziś 1367; rycin 1445 dziś 5241; atlasów i map 133, dziś 316; malowideł 26, dziś 347; dyplomów ledwie 30, teraz 168; rzeczy muzealnych i archeologicznych kilkadziesiąt, a obecnie 341; mała ilość autografów wzrosła do liczby 2170;

medalów i monet liczono wtenczas 1128, a teraz samych polskich 2016, a zagrnicznych do 8000. Najsilniéj wsparł zakład X. Henryk Lubomirski wcielając swoje zbiory, niemniéj i inne osoby powodowane obywatelskiem uczuciem zamiłowania nauk. — Urzędnicy zakładu tego zajęli się, jak wiadomo, poprawném wydaniem Słownika Lindego; pierwszy tom wyszedł w roku zeszłym; drugi obejmujący głoski *G* do *L* włącznie, już jest gotowy. Tom zaś trzeci tak daleko posunięty, że się składa jedynasty arkusz — Po Kuratorze przemówił August Bielowski, zastanowiając się nad źródłami dziejowemi polskiemi, które sięgają tylko po wiek 13; głębsze zaś wieki, mianowicie 10, 11 i 12, przedstawiają się oku dzisiejszego historyka jak biała karta, na któréj ręka współczesna ani jednéj głoski nie wpisała. Z tego powodu pomników pisemnych dla naszej historyi szukać należy u postronnych narodów; jakoż p. Bielowski przedsięwziął podobną wycieczkę do Niemiec, gdzie zwiedził różne biblioteki, i opowiedział co znalazł. W końcu odczytał przełożony przez siebie Żywot Ś. Wojciecha, wykryty w bibliotece królewskiéj Monachijskiej, a napisany tamze ręką z 11go wieku. Kodex zaś w którym się znalazł pochodził z klasztoru Benedyktynów w Tegernsee. Żywot ten ma się różnić od dotyczasowych żywotów i podaje z wielką dokładnością szczegóły męczennictwa ś. Wojciecha i sprowadzenie zwłok jego do Polski.

Na końcu odczytał p. Szajnocha, znany autor *Jadwigi i Jagiełły* rozprawę wyjasniającą początek przysłowia: *Sprawić komu łaźnię.*

— Księgarnia Jąbłońskiego zamierzywszy wydawać: *Dzieła znakomitych pisarzy krajowych*, zeszytami — zaczęła od pism Józefa Dunina Borkowskiego, których ukazał się już zeszyt trzeci — w dotychczasowych zeszytach mieszczą się drobne wiersze oryginalne, przekłady, rozmaitéj, często względnej wartości.

**Sanok.** Nieporozumienia między wydawcą Biblioteki Polskiéj p. Turowskim a jéj nakładcą p. Pollak, księgarzem, zdaje się, że już załatwionemi zostały na drodze polubownej, bo prenumeranci odebrali własnie trzy, swieżo wydane działa; to jest: resztę *Kroniki Marcina Bielskiego*, a właściwie Joachima Bielskiego, z obszernym dodatkiem podającym bibliograficzne szczegóły zebrane z różnych rozpraw o tych historykach, a mianowicie wyborną pracę T. M. Sobieszczańskiego; następnie wyszło w jednym zeszycie bardzo rzadkie pismo An. Max. Fredry: *O porządku wojennym i o pospolitem ruszeniu małem* — a nakoniec *Bajki i przypowieści* Krasickiego.

**Warszawa.** Znany pisarz historyczny, Julian Bartoszewicz, pracuje nad obszernym żywotem Hozyusza. Znakomita postać kardynała, tego obrońcy kościoła przeciw różnowiercom, nastręczy szerokie pole historycznemu pióru, do wystawienia ówczesnej Polski, na którą mąż ten niepośledni wpływ wywierał. Ważną pomocą będzie dla niego zapewne żywot Hozyusza przez Eichorna wydany w Moguncyi.

S. Orgelbrand, księgarz, zamyśla wydawać Encyklopedyę powszechną, wcielając w nią najwięcej artykułów mających związek z Polską. Całość obejmować będzie 15 tomów. W dziele takiem zależy głównie na jedno-

litej podstawie, inaczej bowiem byłby to zbiór artykułów, jakto mówią od Sasa i Lasa.

— Zeszyt *Biblioteki Warszawskiej* na miesiąc październik, mieści następujące artykuły: Zwycięstwo Jana Sobieskiego nad Turkami pod Lwowem w r. 1675 przez K. Szajnochę.— Pamiętniki p. Sabinę z G. G. — Instrukcya o konduktorach, z franc. przeł. Teofil Cichocki. — Kronika Zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. — Spominki historyczno-artystyczne. Ed. Rastawieckiego Nowy zwrot poezyi francuzkiej — Poezye: Branki p. W. Korotynskiego. — Spowiedź zakonnika, p. Henryka Cieszkowskiego. — *Kronika literacka:* Przegląd muzykalny, Onslow, — Dobrzyński, jego kwintety, przez M. K. — Mohort, rapsod rycerski, W. Pola, przez Leopolda Jakubowskiego. O społecznościach gromadzkich i gminnych w dobrach rządowych w Cesarstwie (dokończenie) i t. d.

— Księgarz Natanson wydający illustrowane *Romanse i powieści* Kraszewskiego, ogłosił już *Kordeckiego, Pod włoskiem niebem*, a najświeżej *Ostrożnie z ogniem*. Nieprzyjemny ten format w niczem nie wynagradza dawniejszych wydań, tańszych i dogodniejszych do czytania, które jeszcze są na składach edytorów; i tak p. Bobrowicz w Lipsku ma mieć jeszcze kilkaset exemplarzy *Pod włoskiem niebem*, a edycya lwowska powieści: *Ostrożnie z ogniem*, kosztowała coś około 2 złotych, kiedy w *illustrowanem* wydaniu o jednym obrazku, kosztuje złp. 4.

— Prof. gimn. lubelskiego p. Feliks Jezierski, przygotował do druku przekład dwóch poematów Longfellofa: Złota legenda i Ewangelina.

— Gust. Zieliński, znany śpiewak: Kirgiza, Stepów, wydał teraz poemat dramatyczny: *Czarnoksiężnik Twardowski*, dwa ustępy z dramatu osnutego na podaniach gminnych. Wiersze prześliczne, dykcya porywająca, lubo sam mistrz Twardowski cokolwiek przypomina Fausta. Zawszeto utwor noszący cechę wyższego poetycznego talentu.

**Wilno.** Wydawnictwo Orgelbranda ogłosiło *Słownik języka Polskiego* do podręcznego użytku, wypracowany przez Alex. Zdanowicza, Michała Bohusza Szyszkę, Januarego Filipowicza i Waleryana Tomaszewicza z udziałem Bronisława Trentowskiego. W słowniku tym jak mówi program, objęte będą wszystkie nowe nabytki języka Polskiego, napotykane u nowszych pisarzy, niemniej terminologia filozoficzna, prawna, matematyczna itd. także wyrazy mitologii plemion słowiańskich, które B. Trentowski wypracował, również jak terminologią filozoficzną. Dobry to pomysł, że słownik ten nie obejmie więcej nad 1-n tom w 8-ce większej. Z pierwszym października miał się ukazać 1szy zeszyt. Co do terminologii naukowej, tę można mieć obawę, aby takowa nie była inną w Wilnie, inną w Warszawie, inną w Krakowie, a inną w Poznaniu.

— W drukarni Marcinowskiego wyszły dotąd w 3 zeszytach *Przechadzki po Wilnie* i jego okolicach, przez Jana ze Sliwna (Kirkora), z podłużnym widokiem Wilna, litografowanym podług rysunku Dmochowskiego. Systematyczna ta monografia, wiele zawiéra szczegółów z historyi i archeologii.

— Komisya archeologiczna wileńska dostała w darze dwa rękopisy: jeden mieści w sobie listy (autentyki) do Michała Korybuta Wiśniowieckiego, wojew.

wileń. ostatniego z rodu Wiśniowieckich, pisane przez Jakóba Sobieskiego (królewicza). Franciszki Orszuli Radziwiłłowej, znanej ze swoich zapomnianych dramatów, Jabłonowskiego kasz. krak. i innych znakomitych osób z czasów Aug. II. Drugi rękopism jest kopią z rękopismu Zoriana Chodakowskiego: Słownik geograficzny ziem słowiańskich.

—Pierwszy tom Pamiętnika archeologicznego wileńskiego ma niebawem opuścić prasę. Obiecują tam wiele ciekawych objaśnień historycznych i starożytniczych.

— Piszą nam, że p. Adam Kirkor, czynny członek kom. archeologicznej, rozkopywał 9 kurhanów w gub. wileńskiej i mińskiej; poszukiwania te przyniosły 219 bardzo ciekawych przedmiotów; wiele srebrnych a nawet złotych ozdób znaleziono przy urnach. Oglądaliśmy rysunek zdjęty z niektórych ciekawszych ozdób i widzimy wyraźne znamie wysoko podniesionej sztuki, która razem idzie z cywilizacyą.

—Najważniejsze z dzieł co się pojawiły w Wilnie temi czasy, są *Studya Historyczne* Michała Balińskiego, gdzie znajdujemy ciekawe i wybornie skreślone ustępy: Jan Sniadecki i Czacki. — Napoleon i Jan Sniadecki. — Dopełnienie pamiętników o królowej Barbarze.— Spytko z Melsztyna i ród jego — Zgon Żołkiewskiego. — Paprocki i Panosza — i Dopisek o Szkicu P. Szajnochy: Barbara Radziwiłłówna. Baliński co pisze, odznacza się zdrowym i jasnym poglądem na rzecz, niegoniąc za oryginalnem jakiemś pojmowaniem przeszłości, tem trafniej umie ją odgadnąć i wytłomaczyć. Zgoła pisarz, który nie sadząc się na to, aby historya jego była stekiem samych kuriosów i osobliwości, niemniej jednak przywięzuje do siebie czytelnika. — Niektórzy brali mu za złe, że nie pozwolił na otrucie Barbary — czy dla tego, żeby się niektóre trajedye utrzymały? wszakże i bez tej katastrofy traicznej, umiał on pamiętniki o niej zrobić bardzo interesującemi.

**Poznań.** Światły opiekun badań historycznych i wydawca wielu dzieł, Tytus hr. Działyński, ogłosił *Dyaryusz sejmu unii Lubelskiéj* in 4to. Ozdobne to wydanie, dołączony ma drzeworyt, wzięty ze statutu Łaskiego a wyobrażający sejm polski.— Wyszły tam także *Zarysy* towarzyskiego życia z XIX stulecia, przez L. P. Niemniéj *Obrazy* z pisma Świętego, Ludwika Niemojewskiego, które są często rozwlekłą parafrazą szczytnéj i zwięzłéj prostoty ksiąg pisma Świątego.—Jagielski przetłumaczył *Frytiofową Sagę*, wierszem nierymowym, przekład ze Szwedzkiego Izajasza Tegnera. Jakkolwiek poemat ten nie zbyt interesujący w oryginale, tem więcéj stał się ciężkim i ciemnym, przez ubieganie się za archanizmami i wyrazami kutemi przez tłumacza. — Czasopis poświęcony naukom przyrodzonym, pod napisem: *Przyroda i Przemysł*, wydawany przez Zaborowskiego, utrzymuje się ciągle i miewa zajmujące artykuły.

**Paryż.** Znany rytownik A. Oleszczyński, wykonał piękną rycinę portretu Jana Zamojskiego wyrównywającą wielkości jego Kopernika i otoczonego stósownemi emblamtami. W górze nad portretem jest napis: *Johannes Sarius Zamojski, M. Cancellarius Reg. Poloniae Supremus Dux Excricium Musarum Sarmatiarum Cultor ac tutor Pacis, ac belli Artibus clarissimus.* Pod portretem u dołu: *Andreae Sario*

*Comiti Zamojski Industriae ac opum suorum fautori grata patria conscia sibi manu Antonii Olesz. dicat et consecrat 1856.* W samym owalu portretu z prawéj strony, herb Zamojskich i rok urodzenia i śmierci hetmana. z lewéj fac simile jego podpisu. Nad głową dwóch aniołów trzyma tablicę na któréj wypisane są nazwiska najznakomitszych mężów wyszłych z Akademii Zamojskiéj. W czterech narożnikach umieścił artysta postacie rycerzy w kostiumach dawnych.

— Hr. Adam Tabasz Krosnowski wydaje w języku francuzkim pismo wychodzące raz na miesiąc pod napisem: *L'Exemple* (Przykład), zawierające rysy odwagi, poświęcenia się, dobroczynności, itd. Dotąd wyszło 5 Numerów. W ostatnich zeszytach jest powieść napisana przez Hollenderskiego pod tytułem: Katarzyna Szołajtis. — Pismo to ma na celu ogłaszać wszystkie przykłady cnót, aby przez to obudzić chęć do naśladowania ich; co nie zawsze potrzebne, bo prawdziwie cnotliwy czyn nie lubi rozgłosu.

---






Antoni Kłobukowski Redaktor odpowiedz. Antoni Czapliński Rząd. Druk.